(Antologia)

KWIATY RODZINNE.

WYBÓR POEZYI POLSKIEJ

ułożony przez

NARCYZĘ ŻMICHOWSKĄ.

1000182626

BIBLIOTEKA Lipki. PODHORSKICH

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.
1882.

A. 31813

Lit 13a

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

K 659/61/2

Kraków. Druk Wł. L. Anczyca i Sp.

Żeby zamierzony zbiór poezyj w charakterze ściśle albumowym utrzymać i od licznych innych wypisów go odróżnić, trzeba głęboko przejąć czytelników tem poczuciem, że jest tylko na upodobanie ich obliczony. Upodobanie zależy od wrażeń chwilowych, dla tego też intencyą wydawnictwa oznaczyć można, układając upominek na różne chwile życia, ażeby cel wskazać wyraźnie, a tem samém usprawiedliwić w dalszym ciągu zaprowadzony podział.

Podział albowiem jakikolwiek, w jakimkolwiek dziełku jest zawsze równie potrzebny, jak mniej lub więcej symetryczne ustawienie sprzętów w salonie, pokoju, czy izbie. Kilkanaście arkuszy, choćby samych najpiękniejszych utworów bez ładu, razem, w jedną książkę zebranych, zawsze robią nie miłe wrażenie.

Przypominam sobie, że sama nigdy nie miałam cierpliwości podobnych kollekcyj od pierwszej do ostatniej kartki przerzucić, a widziałam, że inni z tego powodu nieraz, wiele też rzeczy istotną wartość nawet mających, przeoczali. Im więcej się nagromadzi oderwanych ustępów, tém konieczniej właśnie ugrupować je odpowiednio do jakiego celu należy. Tutaj celem nie

jest nauka, więc o żadnym naukowym, choćby bez nadpisu podziale, mówić nie warto. Pomijając wiele innych, na zewnętrznych warunkach, np. długości wyjątków, lub mierze rytmicznej opartych, sądzę, że najwłaściwszym będzie podział, zastosowany do zmienności usposobień duszy, w których (przypuszcza się, że) poeci pisali, a czytelnicy odczytywać sobie lubią niektóre ich utwory. Dałoby się tym sposobem poodznaczać całe serye wierszy przeznaczonych:

I. Na chwile religijnego nastroju.
II. Na chwile wspomnień historycznych.
III. Na chwile poranne.
IV. Przy świetle słońca, trochę dydaktyki; na dnie powszednie, trochę opisów natury.
V. O zmroku, rozmyślania i psychologiczna liryka, pod kolorem tej chwili zdjęte niektóre krajobrazy.
VI. Koło północy, fantazje, ballady, strachy, legendy.
VII. Na chwile smutku.
VIII. Zapału i uniesienia.
IX. Żartu i ironii.
X. Głosy zniechęcenia.
XI. Rozpaczy.
XII. Nadziei.

Nie dość wszelako na tym porządku, chciałabym jeszcze, dla zapewnienia czytelnikom trochę rzeczywistej korzyści, dla przejęcia ich, o ile to możebném się okaże, duchem poezyj całego narodu, zaprowadzić dość ściśle przestrzegany porządek w szeregowaniu autorów. Przedewszystkiem namyśliłam się, aby tylko autorów bieżącego stulecia podawać. Wybrane poezye, choćby z najwięcej upowszechnionych autorów, powinny być jak najmniej właśnie przez powszednie wypisy spo-

wszechnione, o ile się da mniej znane od umianych na pamięć. Obok nich dopiero trzeba stawiać jak najwięcej mniej znanych poetów i jak najwięcej pięknych a mało znanych poezyj. Na to pod ręką dobrze mieć ściągnięte różne albumy, dawniej wyszłe, efemerydalne dziełka Romanowskiego, Jabłońskiego i t. p., a gdyby i wychodzące między 1836 a 1850 rokiem w różnych stronach z literackim czysto charakterem pismo jakie peryodyczne, byłoby to odnalezieniem prawdziwie złotodajnej żyły. Wiem, że trudno się dzisiaj z temi rzeczami spotykać, aleć ostateczne niepodobieństwo jeszcze nie zapadło. Z pomocy czasu i stosunków trudności dadzą się usunąć.

Narcyza Żmichowska.

Warszawa, dnia 6 lipca 1875 r.

(Dyktowane na parę dni przed zgonem).

Staraliśmy się w tym albumowym zbiorku wiernie zastosować do jego tytułu i z głosów poetów naszych dopożyczyć tej nóty ogólnej, która w różnych godzinach życia, różnie, choć ze wszystkich stron kraju podobnie się odzywa.

W ciągu życia nabyliśmy przekonania, że dźwięk ten spływał się zawsze harmonijnie, a jednak teraz, gdy przyszło zbierać wybitniejsze utwory znakomitszych pisarzy, okazało się ogromne bankructwo, gdyż z tych

wszystkich pieśni tyle nieledwie zaginęło, ile ich uratowanemi zostało. W tem, cośmy tu wybrali, brakuje nam jeszcze mnóstwo takich, które dla nas osobiście wiele miały uroku i wdzięku; druk ich zaginął, a pamięć nie zachowała....

Gabriella.

Warszawa, dnia 22 grudnia 1876 r.

S. p. Narcyza Żmichowska, przyjąwszy zobowiązanie wydania albumu poezyj polskich, wzięła się gorliwie do odszukiwania tych utworów, które żywiej przemawiały do jej duszy. W wypełnieniu jednak codosłownem zamierzonego planu spotkała się z nieprzepartemi trudnościami, ponieważ Spółka Wydawnicza nie mogła jej dostarczyć potrzebnych źródeł — z tego też powodu piękny i szeroki program został spełnionym w nieco ciaśniejszych ramach, niż był pierwej obmyślany. Gdy niemoc coraz więcej ogarniać ją zaczęła, wśród ostatecznych cierpień przywołała trzymającą w niniejszej pracy pióro, podyktowała ostatnie swoje słowa do czytelników i wskazała, jakich utworów jeszcze szukać i gdzie je umieścić należy.

Zakres niniejszego zbiorku pomijał zupełnie jej własne poezye — powodowana uczuciem autorskiej skromności, miała zamiar nie umieścić żadnego ze swoich utworów. Gdy jednak książka ta ma być oddaną czytelnikom już po jej zgonie, a zatém, skoro nikt już

o próżność pomówić zmarłej nie może, ośmielamy się dołączyć tu kilka z mniej znanych jej poezyj, sądząc, że całości szkody nie przyniosą, a stanowić będą raczej jeden nieodzowny ton w ogólnej harmonii tej pieśni, o której w przededniu śmierci jeszcze duch jej marzył — której słuchał w przestrzeni. —

Marya B.

W roku 1875 Spółka Księgarzy Warszawskich zawezwała śp. Narcyzę Żmichowską do ułożenia poezyj polskich. Autorka „Poganki“ zawezwanie przyjęła. Różne okoliczności nie pozwoliły wydać tego zbioru, który dopiero obecnie wychodzi, uzupełniony utworami poetów, pierwotnie pominiętych.

SPIS RZECZY

WEDŁUG AUTORÓW.

BOŻE NARODZENIE.

Bezbrzeżne czasu obiedwie otchłanie,
Początku — otchłań, ku otchłani końca,
Grzmiały od wschodu do zachodu słońca,
W nocy, jak we dnie grzmiały: „Ojcze Panie!
Kiedyż Twój święty Duch znijdzie na ziemię,
Rodziców grzesznych rozradować plemię?

Jęk przeraźliwy, rozciągły, sierocy,
Przez wieki wieków nawoływał Ducha;
Drżał w sercu ludzkiem, a nieszedł do ucha;
Wieść jeno cichą chwytali prorocy,
Zwycięzcy ciała, postem wynękani,
Z puszcz pobrzmiewali za jękiem otchłani:

„Raduj się ziemio! hozanna! hozanna!
Pan Odkupiciel — Emmanuel idzie.
Nasienie Boże w Jakóbie, Dawidzie,
Niepokalana, Przenajświętsza Panna,
Ewa Królowa, nastąpi na węża!
Słowo się staje ciałem i zwycięża!

Błogosławionaś zaprawdę Niewiasto,
Między niewiasty jaśniejąca wieńcem:
Albowiem święty Duch Twym oblubieńcem!
Drobne Betlehem niepośledniеś miasto,
Miedzy miastami! Ujrzysz wielkie rzeczy:
Bowiem mieszkańcem twoim Syn człowieczy!

Uderzmyż czołem godów uczestnicy!
Świętych Proroków iszczą się nam słowa:
Syn Boży z nami; wieść Gabryelowa,
Oto ów Owoc Żywota Dziewicy;
Lilija biała, wonna Betlehemu,
Służy Dzieciątku i Panu swojemu!

I Ojciec z Nieba świeci rószczką cudów,
Wielka rumieńce zapłoniona Zorza,
Zwiastuje blaskiem na wszech ziem przestworza,
Że się narodził Pan wieków i ludów:
Stolica jego niepyszna lepianka;
Król królów w żłobku — i na garści sianka.

Spieszą pod jasnej przewodnictwem zorzy,
Sercem, skłonieni ku najczystszej Wierze:
Lud ubożuchny, prostacy, pasterze;
I spieszą zdala — pokłonić się skorzy,
Z mirrą i złotem — żyjący duchowie,
Trzej święci mędrcy, jako Trzej Królowie.

Gotuje Herod wyrok swój zbrodniczy,
Złość stu kolcami wskroś duszy mu bodzie:
Spełnienie proroctw! Nowy król w narodzie!
Gdzieś — jakieś Dziecko — co go wydziedziczy!
Kłaczystą brodę targa i szaleje.
Pustoszą jego katy Galileję.

Słychać głos w Rhamie. Straszny jęk niewieści
Najdalszy kraju odbija zakątek
Pomordowanych swoich niewiniątek
Żałują matki w niezmiernej boleści,
We dnie i w nocy z mokremi oczyma,
Niepocieszone, przeto że ich nie ma.

Ojciec bluźniącym dobrodziejstwo czyni,
Pieści na łonie rówieśników Syna!
„Prostujcie ścieżki". — Jan już upomina;
Poprzednik mistrza tęschni ku pustyni.
Mistrz z matką swoją, daleko na chwili
Czeka — aż pomrą — którzy nań godzili.

Obiedwie czasu bezbrzeżne otchłanie,
Jako rozjęte po modlitwie ręce,
Klaszczą ku sobie roznośniej w podzięce:
Tysiąc pokoleń woła: Ojcze! Panie!
W Synu my Twoim radujem się wielce.
Niech nas obdzieli krwią swą po kropelce!

„Arka wypada z domu Izraela"
Synowie jęcząc błądzą rozproszeni:
Czcicielów sobie wzbudzą z kamieni,
Któryż z narodów upodoba wiela.
Kędy sercami, usty i pokłony,
Aż do dnia Sądu — będzie uwielbiony?

Bohdan Zaleski.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z Tobą ja gadam co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko — zgryzota i skrucha:
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli nie wysłucha;
Najdalej władasz, i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach; w sercu mém na krzyżu!

I każda dobra myśl, jak promień wraca
Znowu do Ciebie źródła, do słońca,
I nazad płynąc znowu mnie ozłaca,
Śle blask, blask biorę i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca:
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dzieci
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś król! o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany:
I każda chęć zła, jak gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa.
Cierpisz, jak sługa panu zaprzedany:
Jak Ty na krzyżu, Twój pan Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy:
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwrócił oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy, niźli jęk ciepienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał.

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem.
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

Adam Mickiewicz.

ARCY-MISTRZ.

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie,
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie,
I w głębi ziemi odlał je z metali:
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednej myśli tworzyciela.

Jest Mistrz wymowy, co bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem,
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłomaczył głosem, czynem, cudem.
Dotąd, Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
Dziś świat Nim gardzi — poznawszy w Nim brata.

Sztukmistrzu ziemski, czém są Twe obrazy,
Czém są Twe rzeźby i Twoje wyrazy?
A Ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spójrzyj na Mistrza, i cierp Boży Synu
Nieznany, albo wzgardzony od gminu.

A. Mickiewicz.

UŁAMEK NAŚLADOWANY Z GLOSSY
św. Teresy.

Przed życiem czuję, nie przed śmiercią trwogę,
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że ten ziemski, grobową żałobą —
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojém niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Ślij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tém mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!
Jedynej ulgi na moje męczarnie,
— A jedna tylko i Śmierć się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszém jeszcze konam znicestwieniu!
— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana —
— Nikt nie rozerwałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mém sercu jak w grobie —
— Jam się jak Bezmiar szerzyła ku Tobie!

Przez nieskończonej Łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie,
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam na ziemi i niebie.
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych niema.
Głos Twój słyszałam, lecz nie ziemskim słuchem
Wszystkom widziała i słyszała — duchem!
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przedemną
Jakby słońc słońce, w którém kształt człowieka!
Ach! światło dzienne nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu, co z twych skroni ścieka.
— Choć mi cielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde, co z ust Twych spływało
Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk ssan przez uszy
Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w Przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami cudu —
Lecz jakim bywasz śród aniołów ludu,
Tam gdzie nad światem królujesz z Świętemi!
Takim Cię, takim, tu miałam, na ziemi!
— Lepiej od Świętych widziałam Cię Panie!
Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tém kocham goręcej,
Im więcej męki, tém miłości więcej,
W tem piekle bożém, Bożego kochania,
Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —

Bo chwilą później Tyś znowu daleki,
I nim powracasz upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
Leżą na ziemi grobowym kamieniem —
A przed tym głazem mej niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz twojej woli w tych chwilach nie zmienię!
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś, kiedyś — znowu po raz drugi!
A mimo twoją, o Ty mój, przestrogę
Ja tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nadgrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody;
Za palmy, harfy, i cuda, i dziwy,
Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie, żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś tu wszystko co boli,
Że zniosłeś wszystko co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham, żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: „O, jam opuszczony!“
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej niż za zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi;

Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały —
Stopą powietrzne przelatujesz smugi!
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam już wprzódy to wzgórze
I krzyż ten zbroczon w krwi Twojej purpurze,
Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
Co tam tak jęczy — to jam chyba była!
Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
I rozpacz moja, tak straszna, głęboka,
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie, ona Ciebie więcej nie kochała —
Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość, między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może

— Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko — a ja razy tyle!
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza;
I z po za wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W której śród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel wobec wszechstworzenia!
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny
I na tém drzewie oglądam Twe ciało

Ostatkiem światła jeszcze tlące biało,
Gdy wszystko w okół, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja Panie — nikt więcej — my sami —
Tak bliscy siebie, a tak rozdzieleni,
Bo ja tu w dole pod Twemi stopami
A ty nademną, w tej strasznej przestrzeni,
Do kłód tych z cedra przybity gwoździami!
Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała,
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca Twych dłoni,
W boku mnie szarpie, boku Twego rana
I choć tam w dole takem z Tobą zlana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

Zygmunt Krasiński.

WESTCHNIENIE DO BOGA.

O Boże! Ja w Ciebie wierzę,
Ja Ciebie kocham, o Boże!
Jabym tak chciał kochać Ciebie,
Kochać i wierzyć tak szczerze,
I z taką siłą, jak tylko ten może,
Komubyś zdarzył być chwilę w Twem niebie.

Od Ciebie tylko w tej chwili
Pełność mej wiary zależna —
Tobie dar taki jest niczem —
Daj mi go! Oto do Twych stóp się chyli

Pada przed Tobą pokutném obliczem:
Dopełnij mojej miłości i wiary!

Jam nigdy nie wchodził w sprzeczkę,
Że co mam tylko, to są Twoje dary.
Ja zawsze widzę Twoją cząsteczkę —
W każdém uczuciu mego istnienia,
Uznaję siłę Twego ramienia.
Za każdą rozkosz sumienia
Wielbię Twą dobroć jedynie;
Czuję Ciebie w każdej cnocie,

W każdym wieszczego natchnienia polocie
Alebym pragnął jaśniej, wznioślej, szczerzej
Czuć, kochać, wierzyć — pragnąłbym bez miary.
Dopełnij mojej miłości i wiary!

Podnieś lot mej duszy wyżej,
Postaw mię przy sobie bliżej,
Zabłyśnij mi choć na chwilę,
Choć jedną iskrę Twoją Wszechświęty!
A ostatnią moc wysilę
Choćbym miał zdeptać nogami
Najkosztowniejsze ziemskie ponęty.
Stargać tę wstęgę, co serce wiąże
Z najdroższemi sercami, miejscami:

Choćby natychmiast to ciało
Trupem ze mnie opaść miało,
Pójdę do Ciebie, podąże:
Byle tylko to sumienie,
Które tak Ciebie przeczuwa, zgadywa;
Byle ta dusza, co tak niecierpliwa
Puka ku Tobie w podniebne sklepienie,

Stanęły rychlej przed Twoim tronem
Ujrzały Ciebie okiem bez plam nocy
I uderzyły wiecznym pokłonem
Twojej po trzykroć Świętej Wszechmocy.
Rok 1836. *S. Goszczyński.*

MODLITWA.

Kiedy Helijasz, podany gonitwie
Upadł na puszczy, wołając:
„O dosyć Panie! Oto już nie mogę;
Weź duszę moją, skończ już moją trwogę!“
Zemdlał boleścią. Lecz Anioł mu rzecze:
„Jeszcześ nie odbył pracy swej, człowiecze“.
I dał mu pokarm na drogę.

Jeśli i ze mną, niegodnym, o Panie!
Taka jest wola Twoja? Niech się stanie.
Niechaj Ci jeszcze zły sługa Twój służy;
Tylko umocnij kroki drżące, chore,
Tylko mi zeszlij na pokarm w podróży:
Cierpliwość, miłość, pokorę.
Stefan Witwicki.

NIEWIASTY U GROBU PAŃSKIEGO.

Skonał na krzyżu w cierniowej koronie!
Skonał na krzyżu żółcią napojony!
One widziały i stopy, i dłonie
Gwoździmi przebite, i bok przebodzony.

One widziały, jak pochylił głowę,
Wołając: Boże! czemuś mnie opuścił?
Widziały szaty Jego purpurowe
Na los rzucone — i to, że nie spuścił
Bóg swych aniołów. A kiedy nareszcie
Ukrzyżowany oczy już zawierał,
One słyszały, że tylko niewieście
Jęki w powietrzu łkają. Gdy umierał
Tylko się ziemia trzęsła — w Bożym domu
Tylko zasłona świętości padała:
Ołtarz się nagim został, ale gromu,
Cudu nie było!... Ta, która leżała
U krzyżowego podnóża, ta drżąca,
Co krople Jego krwi czuła na sobie
I włos stargawszy o zaćmieniu słońca
Grób pokochała gdy go kładli w grobie.....
Ta i dwie drugie mdlejące, zbolałe,
Co przez noc całą łkając u ogniska,
Rano ujrzały nędzne mary białe,
Że nic zarzewia w popiele nie błyska;
Te trzy dziś spieszą się przecież. Tak wcześnie
Wstały po drugiej nocy swej boleści.....
Czy Pana swego zobaczyły we śnie....
Czy do żałosnej ich duszy niewieściej
Szept jakiś cichy przyszedł przez powietrze?
Przyszedł przebudził — powstały i biegą,
Coś na nie woła w przedporannym wietrze,
Rozdarte serca coś im rwie do niego.
Spieszą, bo muszą tam być, bo nie mogą
Płakać już dłużej w zasłonach na twarzy.
Balsamów puszki wzięły.... straszną drogą
Po strasznych śladach idą. Już się żarzy
Czerwona łuna brzasków, w sinej fali
Golgota stoi. Lecz jedna drżąc pyta:

— „A kto nam kamień grobowca odwali,
Kto nas do Niego puści? Dzień, co świta,
Jak nam ukaże Tego, który w grobie
Leży skrwawiony, i zimny, i blady?
Czy nie rozedrzem szat naszych na sobie,
Ran Jego ciężkich zobaczywszy ślady?
Czyż nie uderzym jękiem o niebiosa,
Patrząc, że w prochu położyli Boga?“
Tak pyta jedna, lecz ta złotowłosa,
Która upada w płaczu, ta nieboga
Już tego nie wie — nie wie co się stanie
Z nią i jej sercem — czy nie pęknie w łonie?
Ona zobaczy znowu Ciebie Panie!
Ujrzy smętnego w cierniowej koronie!
I pod przebite przypadnie Ci nogi,
Starganą swoją obetrze je kosą.
Na co jej balsam aloesów drogi,
Ona namaści Cię łez swoich rosą...
Lecz cicho biedna Maryjo płacząca:
Twój Pan Ci przyrzekł, że się cud uczyni....
Wśród drżących świtów wstającego słońca,
Klęknij na głazie, jak anioł w świątyni....
Klęknij żałosna i do Boga w niebie,
Mów drżącą skargę, że smutno na grobie;
Lecz nie rzuć grobu, aż cicho do ciebie
Twój Pan przystąpi i pokój da tobie.

Marya Ilnicka.

. . . .

Marya pokutna najpierwsza ocknęła.
Ona najpierwsza u grobu stanęła
Tęskniąca, rzewna, cała zapłakana,
Ona najpierwsza przyszła widzieć Pana,

Najpierwsza żąda uczcić święte Ciało,
Które na krzyżu z miłości bolało,
I jako dawniej łzami — balsamami
Zlać i złotemi otrzeć je włosami,
Pomnąc, że taka ofiara czyniona
Miłą mu była już w domu Szymona.

Marya u grobu gorzko rozpłakana
Nic nie dostrzega, jaka w koło zmiana:
Że radość rzewna we wszystkiém jaśnieje,
Że każdy listek z po za łez się śmieje,
Że każdy kwiatek kielich ku niej chyli,
Niby zwiastując koniec strasznej chwili.
Ani nie słyszy Alelui pienia,
Śpiewanej wszędzie przez wszystkie stworzenia.
Lecz zobaczywszy, gdzie Pan był złożony,
Złamaną pieczęć i głaz odwalony,
W niemej rozpaczy do grobu zagląda,
I straszną prawdę sama poznać żąda.
Ale o dziwy! w grobie dwaj anieli
W jasności niebios przed smętną stanęli,
I rzekli: „Kogo szukasz zapłakana?"
Ona odpowie: szukam mego Pana!
Lecz nie wiem nędzna, kędy mi go wzięli!
I nie zważając, że przed nią anieli,
Czująca tylko boleść swego łona,
W ciężkiej żałości całkiem zatopiona,
Zakrywa oczy i we łzach odchodzi.
Lecz ten, co wszystko i koi i słodzi,
Ten, co dla smutnych pełen jest miłości,
Zaszedł jej drogę cieszyć ją w żałości. . . . .
Maryo! — zawołał — a ona poznała,
Kogo w tej chwili tuż przed sobą miała.
Nauczycielu! woła uniesiona,
I wyciągnąwszy ku Niemu ramiona,

Dawnym zwyczajem chce objąć kolana
Swojego Boga i swojego Pana.
Ale On z cicha odzywa się do niej:
„Nie tykaj Maryo! ujęciem twej dłoni
Już nie uchwycisz, nie przytrzymasz ducha....
Lecz gdy go wzywasz — udasz, że on słucha,
Że on wołany przychodzi do ciebie,
Więc choć już będę w błękitów mych niebie
Wołaj, o wierna, w serca twego ciszy,
Wołaj, a Bóg twój zawsze Cię usłyszy.

Stefania.

TRÓJŚPIEW ANIOŁÓW.

My, wiary, miłości, nadziei anioły,
Polećmy od nieba na ziemi padoły,
Nad stokiem Boskości rozwite tu kwiaty,
Przeczyste lilie, nadziei bławaty,
I żarem miłości te róże płonące
Zanieśmy w polocie, nim stoczy się słońce.

Polećmy nad ziemię śniegami pokrytą,
Nim słonko wiośniane roznieci promienie,
I zdejmie z niej mroźne okowy — obfito
Wybłysną z niem kwiecia nad maju zielenie,
Po zimy zawiejach, dla ciebie o ziemio!
My nieba posłańce z Bożemi darami
Zlatujem, niech otchną Boskości woniami.
I niech ci, o ziemio: Anielstwo rozpleni.

ANIOŁ WIARY.

Ja, wiary zesłaniec, rzucam ci lilije
Dziewiczym, przeczystym lilii zawojem,
Wiekowe twych mogił wyżyny obwiję
I świętej je wiary rozjaśnię pokojem!
I z lilij kielichów blask wiary rozleję,
A troską do koła schmurzone oblicze
Rozsępią ziemianie i niebo zadniejc,
A serca ich będą niebiańskiem dziewicze.

Bo w mrokach zimowych, w grzechowym zamrozie
Zbyt długo ich serca niewiara ziębiła,
Aż pierś się zakrzepła, źrenica stępiła,
I żyli w zmartwiałej bezwierze i grozie.
Gdy się ich źrenica mych blasków napije,
Noc z serca ich spadnie, jasnością opłyną,
I pierś ich na nowo tchem wiary odżyje
Dla nieba odżyją — dla ziemi nie zginą!
Boć święta-to dola, gdy człowiek wierzący
Zaświeci przeczystą sukienką duchową,
A zakon słów Pańskich jak lilię dzierżący,
Wierzy i wypełnia żywe wiary słowo!

Rozkwitaj, o kwiecie na ziemi padole,
Na niebie pokrewne radują się duchy
Widząc niewiary zdeptaną niewolę
I w otchłań lecące szatana łańcuchy.

ANIOŁ NADZIEI.

Ja, anioł nadziei: z jutrzenką na skroni
Rozrzucam me kwiaty na obszar tych błoni,

Na pola, co w lecie żyzną spłyną falą,
Zasiewam bławatki, jako gwiazd obicie,
Anielskich to źrenic odblask na błękicie,
Co ślicznie się w fali pszenicznej kryształą!
I tęskno mrugają modremi rzęsami
Na siostry gwiazdeczki, z jasnemi oczkami.
W ich wianki się dziewic sępna skroń ukwieci,
W ich stroju, nadzieją spromienią się lice,
I odblask ich wieszczeń ognisko roznieci
I staną się wieszcze przyszłości dziewice!
Łza rzewnej tęsknoty, co spływa w niedoli
Za niebios oblaskiem, nie zastygnie szronem,
Lecz wsiąknie do serca, jak w słonku śród roli
Wsiąkają kropelki na kwieciu zroszoném.

O kwiatku, gwiazdami modrawych twych oczu
Przyświecaj ziemianom do lepszej wciąż doli,
A w wieszczem nadziei kryształnem przezroczu
Niebiańską śniąc przyszłość, zapomną co boli.

ANIOŁ MIŁOŚCI.

Nad lilie przeczyste, gwiaździste bławaty,
Śliczniejsze poniosę dla ziemian równianki,
Różyczek płonących żarami: to kwiaty,
Jak młodszych mych braci tam główki kochanki
Co w koło przeczystej Dziewicy, jak tęczą,
Promienno, wesoło, polotnie, ognisto,
Owiały jej skronie — a duszą swą czystą
Do źródła przedwiecznej miłości się wdzięczą,

Ot ciskam ich pączki — jak kule ogniste
Z przedwiecznej miłości wszech słońca rzucone,
Niech ognie i wonie rozleją przeczyste,
Na łono tej ziemi lodami zmrożone.

Przesłodkie nieznane owieją cię wonie,
O ziemio! tak dawno zastygła lodami,
Aż w jasnej, płomiennej, różanej koronie
Zaświecisz niebiańskiej miłości żarami.

Gdy ludzkość się cała tej woni napije,
Gdy ludzkość ogniami miłości rozpłonie,
To w bratnich uściskach dla nieba odżyje,
W słonecznej anielstwa zaświeci koronie.

Już kwiecia rozsiane, na prośby twe święte
Przeczysta Dziewico! tej ziemi Królowo!
Rozkwitną, zawonią, ożywią jak słowo
Twej łaski Dziewico! co z ducha poczęte.

A ziemia się cała ich szatą odzieje
Świetlaną jak wiara, jak miłość różaną,
Jak błękit ją modre opłyną nadzieje,
I będzie na gody niebiańskie wybraną.

O chwała Ci! chwała! Królowa Dziewico!
Ojcowską miłością dziecino owiana
O chwała nad wami duchu Gołębico!
O chwała Ci Ojcze przedwieczny! Hosanna!

Franciszek Żygliński.

Z PSALMÓW POKUTNYCH.

PSALM 31.

Błogosławieni, których Pan nie pytał
O ich nieprawość i zakryte wady;
Błogosławiony, co mu nie poczytał
Grzechu — a nie masz w duchu jego zdrady.
A, iżem milczał, gdym wołał dzień cały,
Kości się moje, Panie, zestarzały;
Boć ociężała i we dnie i w nocy
Nademną, Panie, ręka Twej wszechmocy!
I nawróciłem się do Ciebie wiernie,
Gdy w mym ucisku, we mnie tkwiło ciernie....
Przetomż oznajmił grzech mój, Panie, Tobie!
I co nieprawe, nie taiłem w sobie.

Rzekłem: wyznawam niesprawiedliwości
Przeciwko sobie, Bogu mej pociechy!
A Tyś odpuścił moje nieprawości,
A Tyś odpuścił, Panie, moje grzechy!

Dla tego będzie w serdecznym pochopie
Wszelaki Święty mąż, czasu przygody,
Modlił się Tobie — wszakże w wód potopie
Już nie przybliżą do Niego się wody...

Tyś mą ucieczką w utrapienia chwili,
Które mnie bardzo, bardzo ogarnęło!
Wyrwij mnie od tych, co mnie otoczyli!
Radości moja! Czyń miłości dzieło!

Rzekłeś mi w Twojej obietnicy Panie!
„Dam Ja ci rozum i sprawię twe zdanie,
„I wskażę, kędy twa droga się toczy,
„I sam umocnię nad tobą me oczy!
„Nie będziesz, jako koń i muł bywają,
„Którzy rozumu i woli nie mają!“...

Wiele jest Bożych biczów na grzesznika,
Ale kto ufa, nie ulegnie marnie:
I ufający ujdzie przeciwnika,
I miłosierdzie Boże go ogarnie!
Przetoż się w Panu weselcie szczęśliwi!
I radość bierzcie ludzie sprawiedliwi!
A wszyscy chwałę odnoście wybrani,
Co prawe serce przynosicie w dani...

Wincenty Pol.

MODLITWA O DOBRĄ WOLĘ.

Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże!
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twém królestwem, Ojcze, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Czasów przyśniętych otoczeni kołem,
Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę.

Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o! Panie! świętemi czynami,
Śród sądu tego wskrzesić samych siebie.

Zygmunt Krasiński.

OSTATNIE WESTCHNIENIE.

Boże, zmiłuj się nademną!
Bo w mej duszy jeszcze ciemno.
Składam korne, szczere dzięki,
Za wsze dary z Twojej ręki,
Za ochronę mojej chatki,
Za wyrosłe, lube dziatki,
Za powszedni kawał chleba,
Za codzienną rosę nieba,
Za jutrzenki uśmiech wonny,
Za światła strumień niezgonny,
Za srebrzystych tych gwiazd krocie
W błękitnym świata namiocie!
Szorstkie skały, ślizkie progi,
Odsuwałeś z mojej drogi
Przez czas długi, czas daleki,
Mocą świętej Twej opieki!
Skądże ta żałość głęboka,
Co grobu nie traci z oka?
Dobra matka moich dzieci
Jak Opatrzność wiernie świeci.
Dzieci, wnucząt wianek świeży,
W chłód starości ciepło szerzy,
Sławy trochę, a czci wiele
Biorę nareszcie w udziale,

Skądże śmierci chęć gorąca
Co w niepokój myśl potrąca?...

O niewdzięczność Ty mój Boże
Sąd Twój skarżyć mnie nie może,
Bo ja tylko sercem całem
Ciebiem przeczuł i poznałem!
Życia mego strumień wielki
Już się spłynął w dwie kropelki:
Miłość Boga — miłość dzieci!...
Pierwsza tęczą w Niebo leci,
Drugiej klejnot w sobie mieści
Tyle pociech, co boleści,
Tyle troski o tym kwiecie,
Co się w głębi duszy plecie,
Że słabnąca z wolna władza
Chęć spoczynku w końcu zdradza.

Niegdyś w bezwiednej ciemnocie,
A raczej dzikim zawrocie,
Kirem niewiary okryty,
Zapoznałem święte szczyty
Promienistej Twojej chwały —
Śmiałem nawet, płaz zuchwały,
W czarnej bezmyślnej ślepocie,
Przeczyć Boskiej Twej Istocie!...
A Ty jednak, o mój Panie,
Miałeś wielkie zmiłowanie,
Wydobyłeś z błędnej matni
Gdzie nadziei kres ostatni.
Jak w puszczy dziecię zbłąkane
Matce w kolebkę oddane,
Tyś uśpił serca piosenką,
A ocknął Wiary jutrzenką!

Z Boskiej krynicy czerpnięty
Miłosierdzia ponik święty
W moją duszę się przesączył
I w jezioro Wiary złączył,
Niezachwianej niczém wiary,
W mądre, wielkie Twe zamiary!
Wiecznie tworzącego życia
Z nieprzejrzanego ukrycia
Nie chcę śledzić tajemnicy —
Ale w pojęcia granicy
Wołać muszę: Ojcze! Panie!
Niech się Twoja wola stanie!

Aleksander Fredro.

II.

II

WSTĘP DO DUMEK.

Wstańcie odgłosy o rodzimej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i cisza wiejska was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa;
W jedną się wiążcie pieśń!

Wstają: tu wrotka wiekiem skażona
Owdzie zmącona wieść;
Jak zdrój z czystego wytryska łona,
Poiła wdziękiem długie plemiona;
Cicha i miła
Do cnót budziła,
Wpajała ojców cześć.

Tam tęskne córy z mokrą powieką,
W piersi znamiona burz,
Owioń ich myśli błogo i lekko,
Szanuj ten smutek i łzy, co cieką
Cichym i czystym
Żalem ojczystym,
Ojczystą nutą wtórz.

Oto skrzydlaty rój przez zagony
Długi zaściela kir;
Szumią i gwarzą kawki i wrony.
To naszém ciałem tłum wypasiony
W radośnym chórze
Zwiastuje burze
I nowy wietrzy żyr.
Tam ruch i wrzawa kona w uboczy,
Ściany pokrywa mech;
Ciężko i dziko czas się tam toczy,
Wieczystym mrokiem przygasły oczy,
W łonie znędzniałem
Przewlokłym skonem
Leniwy ślęczy dech.
Już, już znękany żywot rozplotę,
Wieczny powitam dzień:
Pieśni! zaludniaj więźnia samotę,
Roztaczaj przed nim skrzydła swe złote,
Niech w barwach tęczy
Świat się mu wdzięczy,
Nim wiecznie wzleci zeń.
Tam, gdy w dziedziny zawitał nasze
Stary Jagiełłów krzew,
Medyckich gajów swobodne ptasze
Szle powitanie w gościa poddasze,
I w noc samotną,
Piersią szczebiotną,
Znany mu nuci śpiew.
Wiekiem stępione budzą się zmysły,
W dźwiękach utonął słuch;
Z wdziękiem Jadwigi w duszy zabłysły;
Na łono spływa
Głowa sędziwa,
W niebo uleciał duch.

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i cisza wiejska was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa;
W jedną się wiążcie pieśń.

August Bielowski.

BITWA.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
I księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z blizka
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy wpółobręcz stanęli wsławionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu, zbiegało się z skrzydłem.
„Ałła hu!“ wrzasły hordy i tysiączne roty,
Na opasanych strute wypuścili groty.
„Hura!“ krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała, w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym wszędy tłumem
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,

UMCS

Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi, konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije,
Zapał głowy ogarnął, stal błyska, krew broczy:
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginąć hufcom polskim, młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mięszanina; każdy obskoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony.
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latające blaski...

. . . .
. . . .

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeżo hufce czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, wydatnej postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie;
Jak lwica, opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłem męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy:
Jak matka, o wygnaném straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje;
Z takiem zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świszczącym w ręku, z lotem błyskawicy,

Zdziwionym, zlękłym oczom, gdyby jakie mary,
Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
Jego hufiec tuż za nim, jego przywitanie,
Tobie należy naprzód, napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,
W bezczynnem zachwyceniu patrzą, co się zdarzy.
Jakiś czas Miecznik zmudził: uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy:
Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem,
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy — pierzchają — koń Hana,
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają.
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

. . . .
. . . .

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę, co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie,
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie,
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.
O jak ślicznie przez pola młody Wacław bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca, malutka się dwoi.
O jak ślicznie, w wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z tęsknioném sercem do swojej kochanej!

I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony, brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej, żywej i tkliwej muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiém tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała;
Wtedy matka natura wszystko z człekiem dzieli,
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli;
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu dobroć, w ustach — przebaczenie.

Antoni Malczewski.

GRAF GERO

przez

Mieczysława Romanowskiego.

I.

UCZTA GERONOWA.

Pieśń wam zaśpiewam! w pieśni prawdę szczerą:
Był u Ottona wielki margraff Gero,
Nad pobitemi postawion Sławiany,
A w każdej sprawie rycerz zawołany.

I miał ten Gero murowany dwór,
Co wieżycami wspinał się do chmur,

Miał jasną zbroję i stalowy miecz,
Co w bitwach głowy z karków zmiatał precz,
I zgraję knechtów na wszelkie rozkazy,
Krwawych jak wilcy, a zimnych jak głazy.

A pierś Gerona była jako stal!
Nie znał litości, nie tykał go żal!
Niech drży pobity — niechaj znosi dań,
Jeśli mu miła nieprzerżnięta krtań!
Więc już o buntach zaprzestano marzyć,
Nawet lirnicy nie śmieli się skarżyć.

I była radość pomiędzy Germany,
Że legł Sławianin, jak lew okowany.
W Merzburgu Otto na cesarskim tronie
Ściskał margrafa zakrwawione dłonie,
I poczcił złotym łańcuchem Gerona,
I kazał nowe podbijać plemiona.

Siadł więc graf Gero w murowanym grodzie
I śpiewał Panu psalmy o zachodzie:
I kazał sobie podać wina dzban,
I pił, i marzył, jak go podniósł Pan!
Ha! nie dość jeszcze, więc zamarzył graf,
Jakby do Lachów Odrę przebyć wpław.

A tam już długo chowa się z tém w łonie,
Tam chce Graf usiąść na udzielnym tronie,
I władnąć berłem po zaborach wzdłuż...
Marzył — i z rodu króla liczył już.

I o dłoń szorstką wsparł brodatą twarz,
W tem w róg zagrała przedmurowa straż:
„Kto?“ „Goniec Grafie“ — Goniec w drzwiach już stoi,
Jeno się wieści wypowiadać boi.

I drżąc wyjęknął: „Grafie, ciężko nieść
Do Twoich uszu taką srogą wieść:
Patrz! Lach Sławianin, co tak bardzo spał,
Jak głodny niedźwiedź z pazurami wstał;
U bożych świątyń porozwalał drzwi,
I skąpał ręce w Grafa Hajka krwi".

Lecz Graf stał zimny. Choć u granic wróg,
Nie zbroi knechtów, ani wiernych sług.
Każe nieść wina, miody i bić woły;
Każe do uczty stawiać sute stoły:
Do lackich książąt zaprosiny śle
Jakby w najlepsze i przyjazne dnie.
Czasami tylko ściągnie czarne brwi
I mruczy pod wąs: „Napiłbym się krwi!"

A ledwie zeszło w trzeciej dobie słońce,
Od lackich książąt powrócili gońce.
Gero rad z wieści... Hej już dzwoni róg,
Już wchodzą kniazie w Geronowy próg;
Trzydziestu książąt, szczera lacka krew —
Szerokie czoła, ciemna w kabłąk brew.
Otwarte lica, w źrenicach błękity,
U bioder szable, a na głowach szczyty.

W świątecznej szacie Gero we drzwiach stał,
Powitał kniaziów — dłoń każdemu dał,
Czarnego ducha tak ukrył postacią,
Iżby rzec można brat wita się z bracią.
I w dom prowadzi, i wyrządza cześć,
I każe misy przed kniaziami nieść,
Prosi, by na bok odłożyli bronie
I stół zasiedli po obojej stronie.

Ucztują kniazie, w sali rośnie gwar,
Coraz weselej od pieśni, od czar,
Coraz serdeczniej, co wychylą dzban,
Podaje świeży hojny zamku pan.
I zapomniało szczere lackie plemie,
Że chciwy Gero dybie na ich ziemie;
Że krew już płynie u Odrzańskich wód,
Taki graf zdziałał gościnnością cud.
A Gero wstaje i woła do sług:
„Niechaj zadzwoni paź w złocisty róg!
A ja ten puhar wznoszę Wam kniaziowie!“
I pełny puhar pił za kniaziów zdrowie.

A gdy pił Gero, paź na rogu grał
Dziko, jak wicher wiejący wśród skał —
Na ten głos knechty z morderczém żelazem
Wpadli i kniaziów otoczyli razem,
I krępowali sznurami ramiona,
Cięli im gardła i kłuli im łona.

A możny Gero nad trupami stał,
Uśmiech na ustach, w dłoni puhar miał.
„Siądźcie za stołem, wołał, bracia moi!
Gero się buntu wyrżniętych nie boi!“
I wnet ze sali każdy smętny trup,
Poszedł za okop sokołom na łup.

Sokoły niosły wieść za lackie pola,
Że wodzów taka spotkała tu dola.
I siadł graf Gero w murowanym grodzie,
I „de Profundis“ śpiewał o zachodzie,
I kazał sobie podać wina dzban,
I pił, i marzył jak go podniósł Pan!

A potém senną głowę wsparł na łonie
I o złocistej zamarzył koronie.

Taka to była owa uczta sławna.
I tak Germany wojowali z dawna.

II.
GERO NA LACHACH.

Z chaty do chaty leci wieść,
Zachodni wiatr ją począł nieść,
Płacze nią w polach — w możny dwór,
Bije nią jako piorun z chmur,
Przeraża panów, rycerzy, kmieci —
Zatrważa starców, matki, dzieci;
Pomordowanych książąt wdowy
Ze snu takiemi budzi słowy:

— O! płaczcie wdowy; płakać czas,
Nie ma już komu bronić was!
Nie ma już komu bronić grodu,
Ni kmiecej strzechy, ni narodu. —
Mężowie wasi, wasi kochani,
W domu Gerona pomordowani.
I zapłakały wdowy wraz:
„Nie ma już komu bronić nas!“

A mężny Gero syna do się zwie,
„Sygfrydzie, rzecze, młody ty mój lwie,
Trzoda bez stróża łupami dla zwierza,
Naród bez wodza łupem dla rycerza,
Wybiłem wodzów z nadodrzańskich stron —
Waleczny synu — pójdźmy zbierać plon!“

Tak wyrzekł Gero, i na ławie siada,
Lecz Sygfryd stoi i nie odpowiada.

Więc Gero znowu: „Nasz cesarz i Pan,
Znany z potęgi a i z łaski znan;
Lecz pańska łaska, to szalony koń,
Dziś mu ta miłą, jutro owa błoń.
Dobrze, gdy pomny Pan swojej czeladzi,
Lepiej, gdy sługa sam o sobie radzi.

— „Dziś ja margrafem, Otto możny król;
Dla mnież to nie ma na królestwo pól?
Otto po Łabę — moje państwo dalej —
Synu! Sygfrydzie, będziem królowali,
Prześcigniem samą Ottonową moc.
Zbierz lud, na Sławian wyruszymy w noc“.
A Sygfryd rzecz: „Ojcze, Bóg ukarze;
Pomordowanych śniły mi się twarze,
Śniły się w nocy w strasznym, wieszczym śnie.
Ojcze, ty zgubisz i siebie, i mnie!“

Lecz Gero powstał, zmarszczył czarną brew,
I rzecze groźno: „Myślałem, żeś lew,
A ciebie widzę trwoży jasna stal —
Młodej ci żony i uścisków żal“.
Więc poszedł Sygfryd zbierać lud do wojny,
A Geron usiadł i dumał spokojny.

A gdy na zamek spadła noc,
Stanęła rzędem grafa moc.
Stanęła licznie po rozkazie,
Od stóp do głowy w żelazie.
I rżą rumaki, biedz gotowe,
Tylko graf Sygfryd spuścił głowę.

W oknie go płacze żona młoda,
Szkoda mu żony, lat mu szkoda.

Lecz Gero skinął — skoczą wraz,
Od setnych kopyt zagrzmiał głaz,
Od okna biała
Chustka powiała,
Powiała może ostatni raz.

I lecą, palą grody, wsie,
Do grafa kolan lud się gnie,
A którzy klękną, już nie powstają;
Mężów Gerona knechty ścinają,
Dziatwę i żony gonią w plon,
Tak graf buduje sobie tron.

A gdy już w Odrę mieli skoczyć wpław.
„Sygfrydzie, synu, rzecze dumny graf —
Coś tak posępny — czego stronisz mnie?“
„Pomordowanych znów widziałem w śnie“.

„Ha — ha! to dobrze — dobrześ synu śnił,
Jutro Lach będzie u nóg mi się wił“.
A Sygfryd rzecze: „Ojcze, Bóg ukarze.
Pomordowani mieli groźne twarze“.

Lecz graf nie słucha. Spiął się pod nim koń —
Pognał przez pola, skoczył w modrą toń —
Szeregi za nim śród spienionych fal.
Dobili brzegu. Gero wznosi stal
I woła: „Synu! jutro z Lachem boje —
Jutro królestwo oddam w ręce twoje“.

Rozbili obóz; zaszła cicha noc —
Graf się zadumał, waży swoją moc.

Sygfryd obchodzi obozowe straże,
Radby zapomnieć pościnanych twarze
I usnąć radby, lecz się lęka śnić.
Usnęli...

Rankiem zorzy złota nić
Obiegła mgłami zaciemniony wschód
I budzi obóz u odrzańskich wód.
„Synu — graf rzecze — czego patrzysz w dal?“
„Patrzę jak w zorzy błyszczy Lachów stal“.
„Gdzie? pokaż? wzrok mroczy się od snu“.
„Patrzaj mój Ojcze, zbliżają się tu“.
„Na koń! graf krzyknął — Lachów książe sam
Do kolan dzisiaj pokłoni się nam!“

I stają męże, Gero stawia szyki,
Z borów wychodzą lackie wojowniki,
Oblani zorzą wznoszą jasną broń;
Piękny — dorodny każdy mąż i koń.
Mieszko ich wiedzie na hufy Gerona —
Przy Mieszku z orłem chorągiew czerwona.

„Naprzód Sygfrydzie! nie długi tu trud!“
Zawołał Gero — i już zwarł się lud.
Skruszyli kopije, miecze chwycą wraz,
W tarcze i w hełmy wiodą silny raz,
Skruszyli miecze, chwycą za topory;
Szczęk się rozlega przez pola i bory.

„Ojcze Geronie, ciężka z Lachem gra —
Dzielnie Lach walczy — twarde ramię ma“.
„Tem większa sława dla nas synu mój.
Koronę da nam ten rycerski bój!“
I poskoczyli do boju ochoczo,
Pewni, że z Lachów wszystką krew wytoczą.

I znowu rzecze Sygfryd: „Tu nam kres!“
„Nie — nie mój synu, Lacha weźmnie bies.“
I znowu walczą, lecz wtém pęka szyk —
„Sława Mieszkowi“ Lachy wznieśli krzyk
I tną Germanów toporami w koło;
Gero i Sygfryd jeszcze stawią czoło.

Lecz wtem: „Sygfrydzie!“ Jęknął graf i zbladł —
Pod ciosem Mieszka młody Sygfryd padł.
Padł z rozłupaną wpół toporem głową
I oblał się krwi strugą purpurową.
O! grafie, jakaż boleść ciebie zgina?
Innej purpury chciałeś ty dla syna.

I w drżące ręce syna chwycił graf—
Skoczył do Odry — przebywa ją wpław:
Za nim rycerstwo, knechty skaczą w toń,
Resztę tnie w polu sroga Lachów broń.
Tak się skończyła wyprawa Gerona,
Tak go minęły sława i korona.

A kiedy wrócił, zbroję z siebie zdjął,
Odział się kutą, kij do ręki wziął,
I szedł w pielgrzymkę jak uczynił ślub —
Potém dla syna wymurował grób,
I wraz z synową klękał na tym grobie,
I płakał rzewnie, i złorzeczył sobie.

Mieczysław Romanowski.

WSTĘP
do
Witoldowych bojów.

Dlaczego duchem po rodzinnej ziemi
Błądzę ja zawsze, rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,
Życia wśród prochów, śmierci, wśród żałoby?
Dlaczego idę ze świata uporem
Na Anafielas, gdzie naddziadów cienie,
Z łukiem na plecach, a w rękach z toporem,
Z siwemi brody siadłszy na kamienie,
Płaczą i patrzą ku rodzinnej stronie
Szklannemi oczy, bez łzy i uśmiechu,
Sparłszy na oręż spracowane dłonie,
Sparłszy na ręce piersi bez oddechu?
Dlaczego duch mój nie pójdzie z żywemi
Życiem dzisiejszém serca rozweselać,
I bujać z niemi i rozśmiać się z niemi,
I ich rozkosze i radość podzielać?
Dlaczego w górę zwracam tękne oczy,
I szukam duchów, co w nieba wzleciały,
W kraj nieśmiertelny, smutny, a uroczy?
Dlaczego z niemi i w nim żyję cały?
Dlaczego w pieśni umarłych, co ludzi
Piersi nie grzeje, serca nie porywa,
Wiecznie się głos mój wysila i trudzi,
I ledwie ustał, znowu się odzywa?
Czemu sam jeden na Anafiel lecę,
Napróżno ciągnąc zimny lud do siebie;
Wskazując przeszłość, stary ogień niecę,
Sam tylko, Litwo, mając łzy dla ciebie?

Czemu? nie powiem i wy nie powiecie,
Bo nikt z was nie wie słowa tej zagadki:
Z piastunki ręku czemu drobne dziecię,
Płacząc się ciągnie do grobu swej matki?
Matką mi przyszłość a piastunką życie.

J. I. Kraszewski.

Z MOHORTA.

(Wyjątek).

Dwa były stada: jedno zwał hetmańskiém,
W niém rosły konie polskiego zawodu,
Drugie nazywał zazwyczaj sułtańskiém,
To już drobniejsze, choć wielkiego rodu.

Kiedyśmy stada objeżdżali w koło,
Zawołał ku nam pan Mohort wesoło;
„No, tu jest arkan, więc panowie młodzi,
Kto chce mieć konia, niechaj arkan rzuci,
I weźmie konia, co w tabunie chodzi,
I niech na obiad do nas na nim wróci!“

Więc jaki taki w rzemiośle nieznaném
Probował szczęścia i rzucał arkanem,
Ale daremnie —
„Hej! hej! szczęście nasze,
Że dziś z Tatarem nie wojuje Lasze“ —
Zawołał w końcu, gdy spłoszone konie
Już się poczęły rozbiegać po stronie;
Lecz gdy po chwili rozsypane z rzadka
Stanęły znowu — rzekł: — „Oto jest matka!“

Ta klacz wilezata, co tutaj na przedzie,
I ona wiecznie całe stado wiedzie;
Dziśby zginęła, wzięta z tego stada,
I żadna matka tak już nie przepada
Za swojém dzieckiem, jak za końmi ona,
I jako lwica, nieustraszona,
To postrach wilków, i chociaż już starka,
Utłucze wilków więcej od Kafarka...
A ta tu druga z małą strzałką, gniada,
To już ostatki Wiśniowieckich stada,
Krew arcy-pańska! tego rodu koni
Łapać na arkan, ni ujeżdżać trzeba,
Bo same z młodu przychodzą do dłoni,
Gdy je chcesz użyć, podaj z solą chleba,
Ogłaszcz, oklepaj i załóż wędzidło,
Siądź i jedź światem, byleby nie zrywać.
U każdej nogi u nich orle skrzydło,
Lecz się tych skrzydeł nie godzi używać,
Chyba już tylko w potrzebie ostatniej,
Kiedy ma wyrwać ze śmiertelnej matni;
U mnie jak dzieci na ręku się rodzą,
I za człowiekiem nie wiązane chodzą.

„Oto jej córka, zwie się Korybutka,
Jak na rzut oka niby trochę krótka,
Ale jak nie ma krótkiego pałasza,
Bo jeśli krótki, to pomknij się bliżej,
Tak kiedy trzeba, ni dłużej, ni chyżej
Sumak nie skoczy jak perła ta nasza.
Przed kilku laty zginęła ze stada,
A po trzech latach sama wraca rada;
Lecz sądzisz książe, że do koni może?
Nie! mnie starego szuka na futorze,
I rży i lata, że aż ziemia dudni;
Poznałem rżenie, wychodzę z nawrotu,

A ona do mnie, i aż drży do lotu;
Więc głaskałem i wziąłem do studni;
Ktoś jej dopiero jedną okuł nogę,
Więc rozkuć zaraz kazałem niebogę.
A potém sobie przed namiotem legła,
Jakby się sama obcej ręki strzegła.

„A to Giżycka, co chodzi po stronie,
Jacy Giżyccy, takie ich i konie,
Czém starsze, tęższe, a pewne po smaku,
Stąd nie ma równych do stepu i szlaku.

„A to już sławny jest ród Sahajdaczny,
Biały jak mleko, ale skóra czarna,
Hardy i twardy, i zrazu opaczny;
Ale jak ręka uchodzi go karna,
Całemu wojsku na przednią straż stoi;
Ktoby uciekał na nim, nie ujedzie;
Lecz się nie lęka ni ognia, ni zbroi,
I kto naciera, ten będzie na przedzie;
Daleko widzi, i słyszy na milę,
A dalej jeszcze wietrzy i przeczuwa,
Nigdy nie legnie, chyba przy mogile,
I inni kłusem, gdy on stępem suwa;
Kędy raz przejdzie, nie zmyli już drogi,
Sam na sam hardy, lecz przyjaciel duszny,
I jako ręka człeku jest posłuszny,
Kiedy już przyjdzie do okazyi srogiej.
Wtém spytał książe — A to co za hetki?“
Gdy troje koni myszatych pomknęło
Na to rzekł Mohort: — „To inwentarz letki,
Ot i sam nie wiem zkąd się w stadzie wzięło.

„Odkąd ma dusza końskiej maci rada,
Zawsze się myszka przybije do stada,

I jakaś niby napaść oczywista!
Nie lubię myszki, bo maść narowista.
Ale ksiądz Rektor myszki tylko chowa,
Bo grubo-płaskie — więc i trudna rada.
Dawniej'm odganiał tę hańbę od stada,
Lecz teraz trudno powiedzieć i słowa.
Gdy klasztorowi myszka tak na czasie,
To niechaj sobie i ta sierć się pasie.
A jeśli gorszy księcia to myszate,
Jakże się wyda izabelowate,
Co tam spokojnie po stronie się wlecze?
Cóż Mości Książe o tej klaczy rzecze?
To moja iskra — „Kahorlicka córa",
Z stada Tarnowskich, z łachmanów hetmańskich,
Nie sierść, lecz jedwab — pargamin nie skóra,
Zdatna do harców, tylko arcy-pańskich.
Ktoby chciał wiedzieć, jaka cnota w rodzie,
Niech ją użyje w rycerskiej przygodzie;
Dopóki młode, ma to krowie nogi,
Podobne osłu — coś później do muła;
Rok siódmy, ósmy dodaje ostrogi,
I wież i oko, i zagra krew czuła.
A gdy chrzęst broni i trąbkę usłyszy,
Rozdziera nozdrza, i aż rży, aż dyszy,
I czuć wyraźnie aż w sercu przez siodła,
Kto tej krwi panem, i co w bój go wiodła.

„Po Izabelce, nie ma już w tem stadzie,
Jak ta tu z grubą hreczką co na zadzie,
To ród sułtański dalekiego wschodu,
Gdzie struś w pustyni gniazdo swoje kładzie;
Więc orle piórko nie wychodzi z rodu.
Wielkie na koniu Bóg położył znaki,
Jednak i wicher bywa nie jednaki,
Poniżej oczu podły wicher wszelki,

Powyżej oka wielkiego przymiotu,
Bo rozum znaczy, na szyi znak lotu,
A już na piersiach znak odwagi wielkiej,
I koń o jednym wichrze to już dobry
O dwóch, ma narów — ale znowu taki,
Coby miał razem trzy niebieskie znaki,
To już i mądry, i lotny, i chrobry;
I wielką łaskę ma u Pana Boga,
Komu do boju padnie na nim droga,
Bo nie da dotknąć jeźdźca gdy na przedzie,
Wszystkich wybiega; gdy wyciągnie szyję,
Nie ma co rąbać, bo piersią rozbije;
A jak wnijść umiał, tak samo wywiedzie.
Nie darmo w świecie to pustynia słynie:
Póki w ojczyznie jeszcze nie zaginie
Koń do pęciny od łba żyłkowany,
Póty i rycerz będzie jeszcze znany...

„Ten brudny kasztan, co tam jeden chodzi,
To syn sułtański, a koń pod Hetmana,
Trzy orle piórka i tam gdzie się godzi,
I biała nóżka do tego sudanna,
Więc nic lepszego!“
I krzyknął: „Arkana!...
To koń dla księcia, bo to wichrów czoło!“
Skoczyli ludzie — czyhają w około,
Wzrok się zapalił panu Mohortowi,
Zabrawszy arkan, podjechał z nienacka,
I jak pierścionek tak go rzucił z gracka!
A gdy padł prosto na szyję koniowi,
Kiedy koń ruszył, Mohort arkan ima
Wziął go o kulę, pod nogę i trzyma!
I jękła ziemia, i przypadli ludzie,
A w mgnieniu oka i koń się powalił.

Że się z nas każdy nad nim aż użalił;
Ale tabuńczyk po niedługim trudzie
Już go ochełznał, i tak się uwinął,
Że siadł na niego i z oczu nam zginął.

Długo pan Mohort patrzył za nim w pola;
I rzekł nareszcie: — „I to Boża wola;
I pójdzie ręką, gdy się tak prowadzi,
Bo poszedł równo, a jak strzała sadzi“.

A gdy wysoko książe ten dar ważył,
Taki był kontent, że już dnia owego
Nietylko starszych, lecz i nas każdego
Koniem ze stada swojego obdarzył.

Wincenty Pol.

MARATON.

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z niemi wskrzeszę świat stary, zamarły,
Może choć wtenczas przy waszej niesławie,
Z wstydem przyznacie, że jesteście karły...

I.

Ha! Sardes gore! a spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzémie.
I osmolone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,
Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył
I nóż ocierał co się krwią obroczył.
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,
Ha! Sardes gore!
Z płonącego miasta,
Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni,
Jęk konających przy uchu mu dzwoni.

I leciał nocą osłoniony mrokiem;
Czasem przed siebie trwożnem rzucał wzrokiem
A wiatr przez góry żarem za nim dmuchał.
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał...
Może mu teraz wróg braci wyrzyna,
I starą matkę napawa krwią syna,
I chatę niszczy ogniem i żelazem.
— Hej! nie ma czasu. Z Satrapy rozkazem
Pędź dalej, gończe! Jeszcze drogi wiele!
Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele.

Zerwał się goniec znękany boleścią,
Ruszył przez puszcze z nakazaną wieścią
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca,
A gdy na czatach zszedł innego gońca,
Hej! Sardes gore! do Suzy! do Suzy!
Krzyknął i wrócił, a tamten przez gruzy
Jak struś popędził rozwinąwszy skrzydło,
I znikł przed słońcem, jak nocne straszydło.

II.

Suza, wiosenna królewska stolica,
Jako wybrana młoda miłośnica
Rozpieszcza pana; o, bo jej kochany
Zatęskni w lecie do swej Ekbatany,
A ztamtąd w zimie mknie do Babilonu,
A gdy się skłoni do wiecznego schronu,
W Persepolisu skałach grób wyrąbie
I na wiek wieków uśnie w katakombie.

W Suzie, na dworze, król Darjusz ucztuje,
Sto cudnych dziewic jemu usługuje,
Sto niewolników na klęczkach się wije,
On innej wody przy stole nie pije,

Tylko z Choaspu dalekiej krynicy,
A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,
A wino jego to aż z Chalibanu,
Sól z puszcz Afryki, ze świętego chramu
Zewsa-Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgnina,
Co ma najlepsze z drugimi pospołu,
W pokorze znosi do pańskiego stołu.

A tak gdy Darjusz rozległ się za stołem,
Przybieżał goniec i padł przed nim czołem,
I woła: „Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes, ten klejnot w twej złotej koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy,
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy
I palą miasto!“
A drugi nadbieży
I woła: — „Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynię,
Winem napełnia święcone naczynie,
I tobie królu przy uczcie urąga!“

Król wściekły gniewem wielki łuk naciąga,
I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do bogów, aby tę zakałę
Krwią obmyć dali. I jednego sługę
Odstawił, aby każdą rwiącą strugę
Wrzawnych uczt jego tamował wykrzykiem:
— „Pomnij się panie mścić nad Ateńczykiem!“
A potem Magów rozkazał przywołać,
I pyta: — „Grekom godzien też podołać
Naród to wielki, gdy taki zuchwały?“
A oni rzeką: — „Królu! kraj ich mały,
I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa;
Łatwo ich w jarzmo zakować poddaństwa.

To szczypta ziemi, tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
A gdybyś kazał ostremi pazury
Rozerwać stare Babilonu mury,
To mógłbyś panie zwirem i kamieniem,
Zasypać kraj ten z całém pokoleniem".

Magowie prawdę mówili ci królu,
Naród to mały, lecz jak pszczoła w ulu.
Każdy z osobna o swym domie radzi,
A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
O kraj to mały — tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
O kraj to mały, niby szyba tarczy,
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy!

III.

W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie
Stoją na rynku i w nieznanej mowie
Coś ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał —
Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
Wstąpił na kamień i zaczął tłumaczyć
Na język swojski, a to miało znaczyć:
„Darjusz, król Persów i Medów — Pan świata,
„Na harde ludy plaga i zatrata,
„Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
„Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię;
„A może da się pokorą przebłagać,
„I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać!"

Za każdem słowem lud jako lew mruczał,
A potem śmiechem szyderskim zahuczał,
Plwał w oczy Persom i szaty rozdzierał,
Ciskał kamieniem — Pers z trwogi umierał,

A lud jak rzeka ogromna w wylewie,
Rwał ich ku sobie, szalał w wściekłym gniewie,
I wlókł ich drżących aż za miasta bramy.
Tam między skalnych przepaści rozłamy
Wtrącił heroldów i w ciemnię głęboką
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;
W dzikiej radości, aż zębami zgrzytał,
Widząc, jak Pers się po urwiskach chwytał
I czepiał cierni i okrwawiał ręce,
I wył jak szakal w przedśmiertelnej męce,
A potém — ścichło — potém jęk; — o skały
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,
Szydził, nad jamę stojąc pochylony:
— „Tam podostatkiem i ziemi i wody!
Jedzcie i pijcie!“
Temistokles młody
Wystąpił z tłumu i rzecze: — „Ojcowie!
Słuszną ponieśli karę heroldowie,
Lecz między nami jest Grek winowajca:
Niechaj więc ginie, jak oni, jak zdrajca!
Niech więc i tego nie ominie kara,
Co plugawemi wyrazy barbara
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.
Ojcowie! on nam nasz język znieważył!
On jego świętość pokalał i zbrukał,
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał!
Od kiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
Jeszcze się w niej tak nie wiązały słowa;
On nierozważnie o jej męty trącił,
I czyste źródło mowy naszej zmącił“.

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie:
„W przepaść z nim, w przepaść! niech ginie! niech ginie!“

I ciągną Greka. — On błaga ze łzami,
Żeby go razem nie grzebać z Persami,
Żeby nie mięszać jego wolnych kości
Z kośćmi heroldów. W oznakę litości
Dwaj przyjaciele i bracia najszczersi,
Własną mu ręką rozpłatali piersi.
On błysnął okiem w bezmownym podzięku
I upadł trupem bez skargi, bez jęku.

IV.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy,
Medy z Egiptem, Pers z Indyanami,
A Artafernes i Datys wodzami.
Aż wichr się zrywa od wiania buńczuków,
I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,
Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
Tak wielka koni i ludzi nawała.
Możnaby niemi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: „Do Aten! do Aten!"

I mają rozkaz surowy wodzowie,
Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie,
I wiele, wiele przysposobić łyków,
Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą — z pięknego Miletu
Zostało jeno ogryzki szkieletu.
Na szyjach niewiast szczerbiły się miecze,
Chodzono w zakład, kto więcej wysiecze.
Naxos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach,
A starce z dziatwą chronią się po górach.
Morska Eubea w perzynie osiadła.

Harda Eretria do ziemi przysiadła,
I cała Grecya struchlała i zbladła.

V.

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera,
Wierny swój naród opuściły bogi,
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch lub hańba — lub śmierć i mogiła.

I jedni szepcą: „nieprzyjaciół siła!
Na cóż się przyda ofiara i męztwo?"
A drudzy krzyczą: „Śmierć albo zwycięztwo!"

Śród nich Milcyades, jak zesłannik bogów,
Jak ona Pitya z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha,
Lud go otoczył, zwiesił skroń i słucha.

— „Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza,
Pan niedaleko — niech mu do nóg pełza,
I tam głaskany, a potém wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony.
Niech jak pies głodny czołga się bez końca
Za pańskę nogą, która nim potrąca!"

„A my zostańmy! My w nieszczęściu razem,
Albo wytępim Persów tém żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą.
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
Lub bladość trupia — nie wstydu rumieniec".

„Wy się trwożycie tą liczbą ogromną,
I tą przemocą, co się zda niezłomną?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed mężnych obliczem“.

„Jakąż nad nami może mieć przewagę
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą prawo nie włada, lecz pycha?“

„A u nas wielkie praojców posągi
Do świetnych czynów wzywają jak ongi,
Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą“.

„A u nas wszystko do boju porywa,
Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swojém łonie tyle sławy chowa“.

„Bogowie z nami! jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
Bogowie z nami! oni nas prowadzą,
Oni nam siłę Tytanów nadadzą,
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!“

A lud wykrzyknął: — „Śmierć albo zwycięztwo!“
I śród radości weselnych okrzyków
Posłał do Sparty i do Platejczyków
Prosić pomocy.
Odmówiła Sparta,
Bo jej zabrania święta ustaw karta,
Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,
Na bój wyruszać w księżyca początku;
Ale Platea nie bacząc na gwiazdy,
Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

VI.

Nad Maratonem
Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonem.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy,
Biją skrzydłami, niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu zobaczą.

A przeciw Persom stoi garstka ludzi,
Persom się zdaje, że ich oko łudzi.
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska,
Med pomrukuje: „Szaleni! szaleni!
Jeden na tysiąc!? my niezwyciężeni.
Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą:
I na znak dany miecze się podnoszą.
Noga wprzód sunie, mur się tworzy z tarczy,
Od strony Medów już milion strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biegą,
Szczęk, jęk, kurzawa
Niech bogi ich strzegą!

VII.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie, dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i pługi,
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli,
I za kraj może w tej chwili polegli,
I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,
Że nie wyrodnym ojczyzny był synem.

W Atenach pusto, śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzał w trwożnym niepokoju,
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać; i słońce zagasło,
I gwiazdy... cyt — cyt... w pobliżu coś wrzasło,
Prędkiemi kroki po bruku ktoś bije,
I woła: „Tchu! tchu! głosu! Grecya... żyje!
Cześć! Cześć! Milcyades! Tchu! zwycięztwo z nami...!“

Kobiety z domów wyszły z pochodniami,
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył,
I padł wołając: „Zwy-cię-ztwo!“ — Już nie żył,
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję; całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany.
Na pobojowisku
Po całodzienném morderczém igrzysku,
Po krwawym trudzie, po skończonej wojnie
Tysiące ludzi usnęło spokojnie,
Grecy z Persami na jedném posłaniu
Leżą bez gniewu w wieczném pobrataniu

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,
Czy okrytego nieprzyjaciół szańcem,
Nie ujrzą ojca, kochanka lub męża.

Wschodzący księżyc bije w lustr oręża,
To Sparta idzie obaczyć ciekawa,
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,
Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie
Teraz bezwładny, spokojnym snem drzymie.

Kornel Ujejski.

NOC NA JEZIORZE GOPLE.

Wśród rodzimych wód odmętu,
Śród ojczystych fal,
Z rozbitego łódź okrętu
W ciemną płynę dal. —

W ciemną płynę dal i z ciemną
Myślą dawnych strat,
Świat nademną, świat podemną,
Ale nie mój świat.

Tam gwiazd krocie, księżyc w chmurze,
A tu chłodny grób;
Trupy w dole — tajnie w górze
I ja żywy trup.

Ja trup żywy między niemi:
Gdzie ja płynę, gdzie?
Tu mnie boleść gnie ku ziemi,
Tam nadzieja rwie!

Gdzie bądź płyniesz, wód sokole,
Łodzi moją płyń —
Jeźli ginąć, to w żywiole
Fal ojczystych giń!

Śród ojczystych fal żywiołu
Naprzód, naprzód leć!
A wy trupy wstajcie z dołu,
A ty gwiazdo świeć!

Wstajcie trupy i grobową
Gnajcie ku mnie woń,
Gwiazdo losów, nad mą głową
Promieniami płoń.

Gwiazda płonie — trupy wstały
Gdzieś z pod moich stóp —
Straszno, straszno, jak wspaniały
Ten przeszłości trup!

Wstał i patrzy — jeden drugi —
I w około mnie,
Tam łeb turzy — cep — maczugi,
A tu łapy lwie.

Jakie kształty, jakie barwy,
Krwią zbroczone w pas!
Precz odemnie straszne larwy,
Nie poznaję was!

Precz odemnie, bo mi serce
Zimny ściska mróz.
Zdejmcie za mnie, staro-wierce,
Ten wzrok pełen gróz!

Zdejmcie, zdejmcie, a wy ku mnie
Posuwacie krok:
I tak gniewnie, i tak dumnie
Ten wasz szlecie wzrok!

Precz, precz, wołam, oh! daremnie —
Przedwieczności lwy,
Czego chcecie wy odemnie,
Czego chcecie wy?

„Czego chcemy? — Stare Bogi
Dawnych chcemy sił!
Wróć nam, wróć nam czas ten błogi,
Gdzie lud czołem bił!

Co bił czołem, wznosił modły,
A dziś w głębi wód
Zgroza, zgroza! — ten gad podły,
To nasz cały lud!“

To lud cały? — śmielej, prędzej
Łódko moja leć!
Stare Bogi, Bogi w nędzy,
Gwiazdo moja świeć.

Słyszysz, słyszysz, jak tam gwarzą
W długim grobów śnie?
Widzisz, jaką groźną twarzą
Napastują mnie?

Czego chcecie stare Bogi,
    Trupie czego chcesz?
Stare Bogi, trupy z drogi!
    Prędzej łódko, spiesz.

Naprzód, naprzód! Bez ołtarzy,
    Czém jest stary Bóg?
A wy słabi, a wy starzy,
    Precz nam młodym z dróg!

Nie słuchają i tłumami
    Prą naprzeciw fal —
Próżno, próżno, pokój z wami
    I te łzy i żal.

Lecz daremnie przemódz chcecie
    Straszny czasów prąd,
Potępieni na tym świecie
    Przed odwieczny sąd.

Bez nadziei Bożku stary,
    W niepamięci głąb!
A ty duchu nowej wiary
    Zstąp ty na mnie, zstąp!

Zawołałem i jęk wielki
    Powstał w koło mnie —
I w grób Bogów dwie kropelki
    Łzy rzuciłem dwie.

Ryszard Berwiński.

NA CZEŚĆ KOPERNIKA.

Mojżesz, lud chroniąc od niewoli zgonu,
Sam, głowa ludu, po niebios orędzie
Dotarł — do stopni Przedwiecznego tronu...
I dał nam poznać Boga, jako Sędzię.

Chrystus, przebywszy ludzkich cierpień drogi
Z padołu świata, z boleści ogrojca
Wstąpił do niebios, jak w domowe progi,
I w Bogu wskazał wspólnego nam Ojca.

Kopernik, żeglarz słonecznych szkarłatów!
W potędze myśli, niby w lotnej chmurce
Duchem się przeniósł do pracowni światów...
I tam oglądał Boga, jako Stwórcę.

Kolumbie niebios! Za twoim przewodem
Człowiek umysłem w nieskończoność wzlata...
Przeczuwa wspólność z wszechświatów narodem
I już się nie ma za pana wszechświata.

Już mu pokłonów nie bije na niebie
Słońce z gwiazdami przez złudne obroty,
Już odtąd więcej nie ubóstwi siebie.
Tyś go otrzeźwił z zawrotów ciemnoty.

Przestrzeniom światów sam Bóg się użalił
I zatlił słońce, gdy noc była głucha...
Tyś drugie słońce wszechczasom zapalił
Na zaciemnionym widnokręgu ducha...

Stało się światło! Ztąd usty wdzięcznemi
Cześć ci największa dziś rozbrzmiewa wszędzie:
Bo ludzkość czuje, że odtąd na ziemi
Już nigdy ciemno nie będzie.

Stefan z Opatówka.

TESTAMENT ŻÓŁKIEWSKIEGO
podług autografu wielkiego hetmana.

Zawsze w pamięci każdego człowieka
Ma stać przytomnie: niepewność godziny,
Śmiertelność ciała, i ów co nas czeka,
Sąd boski, straszny, za żywota winy.
Toż i ja, pomny ludzkiej nędzy zmiany
Tem więcej teraz, gdy wyruszam w pole
I radbym śmierci słodkiej z bisurmany,
Tu mą ostatnią daję poznać wolę...
Abym przed grobem, jeno deptać wroga,
A nie miał innej sprawy ze żywemi,
A zaś po śmierci — abym się ku ziemi
Już nie oglądał, gdy pójdę do Boga.

Małżonko moja! najmilejsza, wierna,
Bogu Cię zlecam, ze wspólnemi dziatki
Żebrząc, by ręka Jego miłosierna
Nie opuszczała moich sierot matki!
Byłaś wżdy cnoty pełna białogłowa,
Pewienem przeto, że nad mym popiołem,
Z wstydliwém, czystém, i bez skazy czołem,
Stać będziesz, jasna jak zakonna wdowa,
Do porównania z gromnicą wspaniałą,
Co ciemnych grobów jest pociechą całą!

Żywot małżeński spędziliśmy razem
Jak dzień pogodny, jak jeden, tak właśnie
Proszę po zgonie, gdy spocznę pod głazem,
Pamiątka moja niech w tobie nie zgaśnie,
W żałoby wdowiej niech nie więdnie cieniu...
Dziateczki lube miej w czułem baczeniu,
Niechaj to wzrasta, jak pod słońcem w maju,
Hoduj te płonki dla Boga i kraju,
Wszystkich spraw innych odbiegłszy z ochotą;
Boć najprzedniejszy owoc ludzkiej pieczy:
Syny i córy, gdy zapłoną cnotą!
Za fraszkę chwała wszystkich innych rzeczy!

Jeszcze ci jedno do serca zlecenie
Małżonko kładę: Zrobiłem legata,
I leżą tam już na wzgórku kamienie
Pod kościół, co miał stanąć tego lata.
Wybuduj ty go ze szpitalem razem,
Opatrz obficie srebrem i żelazem,
Marmurem, złotem, niech krzepko i świetnie
Stanie na ziemi, a wieżą prze chmury,
I z Panią naszą wzbija się w lazury!
Kosztu nie żałuj, Bóg go wróci setnie,
I duszy może da losy łaskawsze...
Wszem zaś potomnym (jakich bądź doczeka),
Ma gmach ten świadczyć od wieka do wieka,
Że człek rycerski trzymał z Bogiem zawsze.

Ciebie też moja córeczko, Kasieńko,
Starą hetmańską błogosławię ręką,
Nie bez łzy w oku, a w której się mieści
Tren ciężki wszystkiej ojcowskiej boleści!
Bo jeśli jakie, miałem ja tu swoje
Rozkosze rajskie, i anielskie śmiechy,

To pewno z tobą, anielątko moje!
Rośnij więc zdrowo, na wszystkie pociechy
Ojczyzny, matki i przyszłego męża!
Niech Bóg nad tobą swą łaskę rozmnoży,
Ćwicz się w pokorze i bojaźni Bożej,
Pomnij, że Panna starła głowę węża,
Że prawa Polka — święta białogłowa.

A teraz do cię już ostatnia mowa
Janie! mój synu! gdy rękę podnoszę
I na twej głowie składam krzyża znaki,
O jedno tylko Pana Boga proszę:
Aby prostował życia twego szlaki!
Bo tylko prosta jest uczciwych droga,
A choć w zawałach twarda i uparta,
Zawsze to jedna, co wiedzie do Boga,
Inne, acz lżejsze, prowadzą do czarta.
Tej się więc prostej trzymaj zawsze drogi,
Przy wierze, królu — podobien opoce,
Stój, a nie chwiej się — nie ustępuj z nogi,
Choćby cię parły wszystkich piekieł moce!
Przyjdzie ci na harc, miej serce mężnego,
I idź przed znakiem — naprzód — w Imię Boże!
Byś też i poległ, to osobliwego
Nic przy tém więcej spotkać cię nie może;
Ginąć za wiarę słodko i poganom,
Ale już rozkosz wielka chrześcijanom.
Życie ma walor, a i śmierć zaiste!
Kiedy otwiera bramy wiekuiste.

Pamięć spraw dobrych, na cnoty zadatek
Zostawiam w spadku, a nie rejestr długi
Kluczów i włości, choć i tych dostatek
Miałem i swoich, i z krwawej zasługi.

Wszakże na ciągłą potrzeb pospolitą
Szły me intraty i (mówię bez pychy)
Część mienia dałem wcale znakomitą,
Tak, że fortuny szmat tam został lichy.
Ale mi nie żal! Bom zawżdy rozumiał,
Że grosz dla kraju, to na lichwę datki
W Boską skarbonkę, a wreszciem nie umiał
Odróżnić od swych potrzeb wspólnej matki.
Radzęć i tobie taki dóbr szafunek,
Bo łatwy z niego przed Bogiem rachunek.

Ten najszczęśliwszy, kto rzucił swe zwłoki
W twardy kurz bitwy na czasy wieczyste;
Toć mauzoleum nad wszystkie zaiste!
Gdzie puchem piasek, kotarą obłoki.
Pewnieć mnie takie nieśmiertelne łoże
Byłoby drogie, i z serca go życzę,
Lecz niezbadane są wyroki Boże!
Więc co pogrzebu mego ciała tycze,
Proszę cię synu, nie czyń duszy sromu!
Nie wodź tych koni, tych hajduków tłumnie,
Jeżeli umrę w pokoju i w domu,
To złóż me kości w prostej czarnej trumnie,
I chowaj w ciszy, z powagą, dostojnie.
Lecz gdybym głowę położył na wojnie,
Wtedy nie kirem, nie płaszczem żałoby,
Ale mnie obrzuć całego szkarłatem,
I nie dla dumy, ni pysznej ozdoby,
Nie! nie dla pompy tam marnej przed światem,
A na radości znak, żem mógł obfitą
Dać krew za wiarę i rzeczpospolitą.
Tak ja ze świata chcę iść w ojców groby
I w tej koszulce czekać zmartwychwstania.
Chwała bądź Trójcy w godzinę skonania!!
Amen!!

Stało się! stało. Cecoro struchlała,
Widziałaś głowę odciętą od ciała,
Głowę hetmańską, szlachetną, sędziwą...
Widziałaś wbitą na zniewagi włócznię,
Widziałaś motłoch, jak śliną zjadliwą
I wściekłym wrzaskiem plugawił wciąż hucznie,
Sierotę siwą wlokąc do Cargrodu,
Kiedy na haku w pałacu sułtana
Resztka siwizny u sklepień obwodu
Zawisła sina, pocięta, krwią zlana,
Jak potwór straszny dla Stambułu stróża,
Dla nas... jak pełna... jak męczeńska róża.

Stefan z Opatówka.

HELLAS.

Patrz! Ateny przed tobą — dalej Teb zwaliska,
Metropolia Korynny — dzisiaj — gród żałoby,
A tam w dali nad morzem stromych gór urwiska,
To Oeta — Termopyle: trzystu Spartan groby.

Milczy głuchy Maraton... w Jowisza świątynię
Piorun bije bezkarnie — wszak to głaz wiekowy,
Już się z jego głębiny piorun nie wywinie,
Zadrży olbrzym spróchniały i brzęknie okowy.

Grecyo! matko natchnienia, dziś biedny wędrowiec
Błądzi okiem zamglonem i szuka olbrzyma,
Z twojej sławy wiekowej został się — grobowiec.

Wzrok dziejów nad nim tylko dzisiaj się zatrzyma.
Gdzież twe syny Hellado? — pytam się — odpowiedz,
Głuche w koło milczenie... Hellady już nie ma...

Aleksander Kraushar.

KRÓL ŚMIAŁY.

Był król, żelaznej mąż prawicy,
Przesilny w każdém dziele,
Lud czcił go, drżeli przeciwnicy,
Pan go miłował wiele.
Żelazny miecz dał w dłoń mocarza,
I rzekł mu: — Miecz ten cuda stwarza,
Lecz strzeż się w złej godzinie:
Od blasku złota miej go precz,
Złotem się szczerbi cudów miecz,
Żelazo złotem ginie!

Przed królem wprędce, ze wszej strony
Narody głowę kłonią.
On, gwoli prawu, berła, trony,
Rozdawał szczodrą dłonią.
W pychę go wbiły cudów sprawy,
Aż olśniał sam od własnej sławy
Wybraniec Panu miły,
I raz zdobyty biorąc gród,
Uderzył mieczem w odrzwia wrót,
A wrota — złote były.

W grodzie tym nierząd miał stolicę,
Rozkosz, co jadem wzdycha,
W jedwabiach żądze krasnolice,
W klejnotach miękkość licha...
Szatanem stał się król z anioła,
Więc lud koronę wziął mu z czoła,

Moc go odeszła Boża,
Stępiony miecz porzucił z dłoń,
Pokutnym prochem potrząsł skroń
I przepadł w gór bezdroża.

I rzekł do króla Pan, grzmiąc w chmurze:
Synu mój! cóż się stało?
Dałem w twe ręce dobra duże,
Patrz, czyś je wrócił cało?
Naucz się prawdy w przykrej toni:
Żelazny miecz w żelaznej dłoni
Żelazne cuda działa...
Człek tylko jedno bierze z dwóch —
Żelazem prawda, chwała, duch,
Złotem jest wielkość mała.

Felicyan.

DZWON WAWELSKI.

Słyszycie — w Zygmunta dzwonią!
Powietrze wstrzęsły rozdźwięki,
I ciężkie poważne jęki
Falami Wisły się gonią.
W miedziane dachy uderzą,
Walą się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą,
A dźwięk się wzmaga, rozrasta —
Drżący wzlatuje nad wieżą,
I w czarnej chmury uścisku
Pochwalne hymny śle niebu,
Czy smutne psalmy pogrzebu,
Czy straszne krzyki ucisku?

Słuchałem długo wieczorem,
Duch mój tak wsłuchał się cały,
Że dźwięków tych rozhoworem
Dziwne w nim pieśni zagrały:
To się w przeszłości zagłębił,
To w blasku słońca zapalał,
Szumami wichrów rozszalał,
I w chłodach grobów oziębił.

A dzwon mi mówił powieści:
Jak wiele razy w przeszłości
Brzmiał rozgłosami: wielkości,
Tryumfu, wesela, chwały,
I takim jękiem boleści,
Że go dwa morza słyszały.

On mówił: „Mam pierś spiżową,
Jak piersi mego narodu,
Serce żelazne, jam głową
Wszech dzwonów starego grodu,
Serce żelazne — gdy go burza czeka,
Serce żelazne — gdy się dąsa piekło,
A jednak serce wielkiego człowieka,
Bo choć tak wiele uczuć z niego ciekło,
Tak wiele uczuć tajemnie w pierś biło,
I wiekuista pleśń na niej osiadła,
Jednak uczucie łona nie stopiło
I rdza mi serca nie zjadła".

„Ja czuję za wszystkie dzwony,
Pamiętam za wszystkie księgi,
Gdy brzmiące wyrzucę tony
I wspomnień roztoczę wstęgi:
Na dźwięk mój, jak na zaklęcie,
Przeszłości spęka się trumna,

A ona — jasna i dumna
Duch ludzi w swoje objęcie,
W uścisk pochwyci uroczy
I sen w nich zbudzi proroczy.

Słuchałem dzwonu i na przemiany
To się płoniłem — to bladłem;
Potok przeszłości płynął wezbrany
Przed duszy mojej zwierciadłem.
Jak w zachwyceniu, jak w śnie proroka,
Jasne obrazy, miłe rozgłosy,
Tak się cisnęły do ucha — oka,
Spadały w duszę kroplami rosy,
Że odświeżona z tęsknoty pleśni,
Z przeszłości, jakby z pajęczych tkanek,
Snuła nić dźwięków, wiązała w pieśni
Jak kwiaty w wonny, błyszczący wianek.

R. 1520.

Onego czasu król dzwon kazał ulać
I wybudował mu wieżę wysoką,
A król potężny miał sławę szeroką,
Chciał, by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By echo dzwonu aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił,
I aż na północ zabrzmiał jego chwałą.

I dzwon ulany — na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaści błękitu
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.

Głos leciał w górę, w pełnych, brzmiących kołach,
I wstęgę dźwięków jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po dumnych gór czołach,
I do stóp Boga zapłynął;
A od imienia króla mu nadano
Na chrzcie tym „Zygmunta“ miano.

R. 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał,
W gałązkach dębu siwa jego głowa,
A w oczach ogień zapału tlał:
A przed nim szło sześćdziesiąt dział
I u stóp króla usiadły,
I za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły,
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły.

I zstąpił z tronu ów król sędziwy,
Jana do serca przycisnął,
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
Łzą rozczulenia zabłysnął.

I kiedy starzec ściskał starca dłonie męzkie,
Dzwon rozgrzmiał po powietrzu swe hymny zwycięzkie,
A naród uchem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
I wzrok mu się rozogniał, i serce mu rosło.

Edmund Wasilewski.

TATARZY.

Piosenka.

Zkąd to jedziesz? z nad Dunaju,
Co tam słychać w naszym kraju?
— Oj źle matko, bieda z nami!
Trzeba hulać z Tatarami.

A Tatarzy lud psiej wiary,
Chytrze kryją się w Czachary,
Napadają, w dyby kują,
Krwi nie szczędzą, łez nie czują.

Ej! w dalekiej Ukrainie
Płacze Kozak po dziewczynie,
Bo dziewczyna ukochana
Dziś Tatara ma za pana.

Ej! w dalekiej Ukrainie
Płacze matka po swym synie,
Matka biédna, matka stara,
A syn zginął z rąk Tatara.

Ej! w dalekiej Ukrainie,
Kędy siny Dnieper płynie,
Wszędzie ciężka duma chodzi,
Każdy płacze i zawodzi.

Ej! w dalekiej Ukrainie,
Gdzie popatrzysz — to pustynie,
Tylko mogił tam do licha,
Przy mogiłach Licho czycha.

Bruno Bielawski.

OSTATNIE CHWILE ZYGMUNTA AUGUSTA.
(Opowiadanie starego dworzanina).

Właśnie godzinnik którąś, nie pomnę, uderzał,
Lecz już dobrze w noc było, gdym na zamek wbieżał
Zdyszany, z lekka ugnę oponę komnaty,
A chociaż w cieniu szedłem, wydał szelest szaty
I ciąg, co pofalował damaszkiem kotary.
— Kto tam?
— Ja miłościwy Panie!
— Ty mój stary?
Masz z sobą wizerunki? — rzekł słabo.
— Mam Panie!
Ino co z Tykocina... Wielkie radowanie,
Gdy z lampy jaspisowej padł odblask bladawy,
Dostrzegłem w licu króla na wieść mojej sprawy.
Dał znak: myśmy schorzałe podjęli mu ciało,
Oparłszy o wezgłowie. Potém, gdy się zdało
Duszno w komnacie, ręką Biskupa odprawił
Krakowskiego, toż Mniszchów,—mnie tylko zostawił.
— Pokaż Waść! — Jam skrzyneczkę misternej roboty
Klęknąwszy, podał; kluczyk otworzył ją złoty;
I król wyjmował... Co zaś malarz tam nakreślił,
Niewiem; gdyż patrząc w Pana, srodzem się zamyślił
I zdumiał, zkądby zmiana? bo ono oblicze
Tak zwiędłe, przybrało się w kolory dziewicze,
A oczy, by dwa szkiełka, nie z siebie świecące,
Zagrały gwiazd żywością, i ręce mniej drżące
Zdały się, gdy po długu nad łożem je trzymał
Z wizerunkiem, co pańską pierś szeroce wzdymał
I łzę dobywał. Dziw-to! istne babie lato
Ono wspomnienie, co nam bramuje bogato

Jeszcze żgło nasze, jakby do wiecznej pościeli
Kwiaty co najkraśniejsze rzucali anieli...
To też go odmłodziło lepicj bezoarów,
I praktyk onych nocnych i z Zuzanną czarów;
Bo zrywając się z łoża siłą nadzwyczajną
Wołał: Komorny, szaty! słyszysz, szaty daj-no!
Płaszczyk hiszpański z krézą, łańcuch z karbunkułem,
Jako na gody. Słyszysz... muzykę poczułem;
Bekwarka lutnię... o nie! dźwięczniejszy nad lutnię,
Głos-to mej Basi... słyszysz! jak woła okrutnie...
Trzymajcie — mdleje... Matko! czego chcesz Królowo?!
I, niby odpychając, zrywał się na nowo
Z wezgłowia, chcąc za oném już lecieć widzeniem;
Lecz go w pół ciała wziąwszy, z pańskiem przeproszeniem,
Wtłoczyłem w łoże, kędy, na poły omdlały,
Opuścił głowę, iście pod kosą kwiat biały...
Mnie strach zdjął, nie wiedziałem, wołać-li lekarzy,
Lub księdza z wijatykiem, panów dygnitarzy?
Tylkom nie puszczał z ręku, słuchał, czy puls bije
Długo, długo, aż westchnął, pot oblał go... żyje!
Chciał mówić, usty ruszał, by pragnął ochłody;
Podałem kordyał, wypił — znów zdał się jak wprzódy
Jedną myślą trapiony; raz w raz ku oponie
Wzrok rzucając, to znowu wyciągając dłonie,
Zagabał: Czyśmy sami?

— Sami.

— Niech nie waży

Nikt wchodzić.

— Komornego stawiłem na straży.

— Dobrze! — Wskazał na skrzynkę: porusz te sprężyny.
Jam ruszył i otworzył.

— Co tam?

— Pergaminy

Zwinięte jakieś.

— Wyjmij i czytaj co stoi.
Rozwijam, biorę czytać, a w oczach się dwoi,
Tak dziwne konterfekty i wejrzeniem takiém,
Żem mimowolnie krzyża przekreślił je znakiem,
I rzekł z ciężkością, pomnę, mniej więcej te słowa:
„Cichy sługa sług pańskich, Opat z Jędrzejowa
„Baejus, prophetico spiritu natchniony,
„Wiedzion chwałą kościoła i zdrowiem Korony,
„Takowe vaticinium z gwiazd i książek wiela
„Zebrane, ostatniemu z Jagiełłów udziela“.
— Ostatniemu! król krzyknął — a już lat trzydzieści,
Jako ta przepowiednia w mym skarbcu się mieści;
Ostatniemu! więc onej postułki proroctwo
Jak raz odgadło domu mojego sieroctwo!...
Tak marnie! wielki Boże!... tu oko posępne
Łzą stanęło... po chwili jam czytał następne,
A raczej opowiadał dziwne one znaki,
Zodyakowe Panny, Lwy, Niedźwiadki, Raki,
Wagi i Ryby — i ztąd różne konjunktury
Wywodząc a szeroko: czem zagraża który
Przy zbiegu z niebieskiemi gwiazdy i planety,
Zkąd złe grozi, a jakiej chronić się kobiety;
Jakie herezye ścierać, a w jakiej trwać wierze;
Z kim bój prowadzić, a z kim zawierać przymierze,
Bo grożące tronowi i krajowi szkody,
Wzbierają już w wnętrznościach jak śmiertelne wrzody;
I innych rzeczy dużo; lecz pod figurami.
W końcu rzekłem: o Panie! nie trwóż się baśniami,
Astrolodzy nie zawsze z prawdą się popiszą.
— Cóż dalej? król zapyta, a piersi mu dyszą
Od wzruszenia. Cóż dalej?!
— Już wszystko, co było,
Odeprę.
— Wszystko? jakże marnie się skończyło!

I złożył na krzyż ręce, by modlił, żałował,
Że bezpotomnie nogą do grobu zstępował;
A może z sokołami przegamracił losy
Korony... Strach pomyśleć! mnie aż wstały włosy,
Gdym widział, jak zgryzota siadła mu nad brwiami,
I co cierpiał. Westchnąłem. Zmiłuj się nad nami
Boże i nad nim! gdy w tem oko padło z trafu
Znów na pergamin.
— Panie, małom paragrafu
Jednego nie prześlepił; dopisan jest z boku,
I dopełniać się zdaje tajemnic wyroku...
— Więc to nie koniec? widzisz, nie koniec, mówiłem;
Czytaj...
„W lat dziesięć znowu horoskop sprawdziłem,
„I gwiazdy swych wyroków nie cofły na jotę...
„Z ostatnim Jagiellonem gasną wieki złote...“.
A król: przestań — na rany Zbawiciela, cicho!
Zwinął pięście i groził... Myślę, czy mi licho
Nadało czytać. — A on: kłamie prorok, kłamie!
Kłamią gwiazdy! — i, silnie schwycił mię za ramię,
Że znak będzie do śmierci... Lecz zaraz osłabiał
I bledszy upadł na wznak.
Jam panów pozwabiał
Do komnaty: toż wbiegli... szmer stał się: król kona!
Sam ksiądz biskup krakowski dłoń przytknął do łona:
Jeszcze biło i wargi drgały, lecz bez dźwięku,
I błogosławieństwo niby w podniesionem ręku
Zdało się spływać na nas... Poklękliśmy wszyscy;
W tej ciszy coś bełkotał; ci, co byli blizcy
Słyszeli: kłamie prorok!... nie pojęli treści,
Jam jeden pojął, milczał... Gdy w tem krok niewieści
Lekko z bocznych drzwi sunąc, mignie się przedemną.
Poznałem: to jéj postać... choć pod szatą ciemną,
Ruch żywy, a na ustach uśmieszka tak wdzięczna,
By z pod białawej chmurki obrączka miesięczna.

Byłbym wstrzymał, zgorszony zjawiskiem nie w porę,
Lecz oto już u łoża oparła się, w chore
Ciało królewskie patrzy, czaruje i zda się
Mówić: pójdź w me objęcia, przypomnę ci Basię!...
Na to jakby w odpowiedź wstrzęsła się kotara:
Oto masz, przy skonaniu jeszcze trapi mara!
— Precz Syreno! wnet przytnę; dość twoje praktyki,
Precz ztąd musisz! — Chcę wywieść, aż tu głośne krzyki:
Król ducha oddał! — wstrzęsną komnaty ścianami;
Aż tu ryk wielki z głosem kapłanów, z dzwonami,
Cały zamek ogarnia, wylega na błonie
Głośniej, donośniej, rzekłbyś po wszystkiej koronie...
Żal mną rzucił o ziemię... po czasie, źrenice
Gdym podniósł i ku łożu toczył — blask gromnice
Z jednej strony twarz zżółkłą oświecał, a z drugiej
Przez okno otworzone wpadał promień długi
Słońca, co już wschodziło nad Knyszyńskim borem,
I szkarłatnym pół lica oblało kolorem...
Patrząc w to, — iściem widział jak anielskie skrzydło
Odganiało od duszy doczesność obrzydłą,
A z bram raju głos spływał: święty! święty! święty!
W żalu i pokajaniu, rzekłem skróś przejęty:
Owo tak ziemskie wieszczby wszystkie się kończycie:
Niebieskim przepowiedniom wieczne schodzi życie!

Lucyan Siemieński.

W ZBROJOWNI.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznem okryciu
Na boje ich niosły, turnieje i łowy,
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośne jak bitew fanfary,
Do świętej szli ziemi po śmierć lud po sławę,
Pod krzyża białemi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach lub twarzy,
Ze złotym księżycem pogańskie proporce
U pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach,
A jeśli się bali — to czarów.
Po wojnie przy wielkich dębowych swych stołach
Ze złotych pijali puharów.

*
* *

Dziś mądre ich wnuki, co z czasów się śmieją,
Bojowym się znojem nie trudzą,
I jeżdżą wygodnie żelazną koleją
W kraj cudzy, gdy w swoim się znudzą.

I z nudów, gdy chwilę poświęcą muzeom,
To rzadkim tam dziwią się rzeczom,
Ogromnym puharom, pancerzom, trofeom
I ciężkim pradziadów swych mieczom.

Adam Pajgert.

DZIEWCZĘ.

Panowie bracia! dalej na konie!
Daleko mamy pohasać
Tam w owej stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać".

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni,
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
A gdzie dokoła, plądruje sioła
Zawolczyk — czartów swawola.

„Hej, bracia wiara, męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!"
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

„Ho, ho, gdzie nasza zafurknie pika
Próżno się bronisz psi synie,
Hartowna pika, w krwi Zawolczyka
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie zuchwali grom naszej stali.
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półksiężyce się świecą.

„Wiara wesoło! wpadli na czoło
I już na karkach im siedzą.
Szyki złamali, w trąbki zagrali,
Tatarzy gdzie ujść nie wiedzą.

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna.
„Hej, za mną dzieci!“ Kordem zaświeci,
„To moja córka jedyna“.

Ten żwawo goni, ów szybko stroni,
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie,
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa, Boga przyzywa,
I pchnie Tatara na tonie,
Konia zwróciła, na brzeg skoczyła,
I już u ojca na łonie.

Ludwik Jabłonowski.

GIERMEK.

Złoci wieczór łan Podola;
Ciągną wojska, tabor, wozy;
Tętnią całe lasy, pola;
Stoją groźne dwa obozy.

Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiej — wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
Słońce krwawym zaszło blaskiem;
Bój to będzie straszny, krwawy!

Ledwie pierwszy mrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkiem na koń siada
I objeżdża czaty nasze.

Jedzie, patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru, rżenia koni,
Pyta, zważa, ognie liczy,
I już w myśli łamie, goni.

O! nie ciesz się wodzu stary;
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary;
Słuchaj! patrzaj! co się dzieje.

Hura! hura! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci,
Giermek za broń, wódz do korda,
„Na koń!“ woła, „na koń! dzieci!“

Spieszą, biegną do swych szyków,
W pośród nocnych pędzą cieni,
Gdy wtém, z grzmotem nowych krzyków,
Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie;
Rąbie hetman, giermek łamie,
Całą młodość, ogień, życie,
W wojujące przelał ramię.

I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega swoja wiara,
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatara.

Wzięty hetman, giermek wzięty;
Krzyczy, huczy, motłoch dziki;
Bucha gniewem han zacięty,
Patrząc na swe niewolniki,

Wre i zemstą ryczy srogą,
Każe jednem skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą
I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale na cóż bym wam nócił
Ich boleści, ich marzenia?

Kto w pogańskim, podłym tłumie,
Nie wlókł ciężkich lat niedoli,
Ten nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo duma o swej ziemi.

I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy,
Gdy wtém nagle w swej ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie.

I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie... odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.

„Wolnyś“, rzecze, „straż — zaspana,
Uchodź, ocal swą krainę,
Spiesz i pobij wojsko hana,
Ja z radością tutaj zginę“.

Powstał hetman i wzniósł dłonie,
I rzewnemi łzy się zalał,
Żegnał, boskiej zdał obronie,
Ścisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wreszcie han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi, jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie straże;
Cnota dzikość zwyciężyła;
Każe leczyć, darzyć każe,
I do Lachów go odsyła.

W świetnym dworzan wodzów gronie,
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula,
Ujmującą postać wspiera —
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze;
Kornie przed tron przystępuje;
Król z wezgłowia szczerbiec bierze
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtém w pośród wodzów koła
Hetman nogę niesie złotą;
„Oto herb twój!“ król zawoła,
„Wysłużony twoją cnotą“.

Franciszek Morawski.

TYRTEUSZ.

Arystomenes w świątyni Ateny,
W pośrodku miasta, puklerz w boju zdarty
Zawiesił nocą... Radość śród Messeny,
Szalony popłoch powstaje wśród Sparty.
Z murów, co dotąd nie zaznały trwogi,
Sromotny przestrach dawne męztwo płoszy,
Uchodzą wstydem pohańbione bogi.
Arystomenes Lakonią pustoszy,
I w serce miasta śle okrzyk zwycięzki,
A tam jęk — rozpacz!...
Ustały igrzyska.
Wojennej młodzi — wciąż klęski i klęski,
A z nikąd zbawcza nadzieja nie błyska.
Przy wspólnym stole nikt głośno nie gwarzy,
Bo strach niewoli usta lodem ścina,
I tylko radzą i radzą wciąż starzy,
I szlą do Delfów, do wróżb Apollina.

W przybytku syna Zeusa i Latony,
Gdzie wieszczka bogów w tajemniczej mowie,
Uchyla Grekom przyszłości zasłony,
Stają z darami spartańscy posłowie.
Nie znać w nich jednak tej spartańskiej buty,
Co ludom Grecyi w oczy kurz miotała;
Wzrok mężów chmurny, do ziemi przykuty,
A twarz od sromu blada i nieśmiała.

Wieńcami strojni i bielą odziani,
Słudzy Apolla zalegli świątynie —

Pada zwierz liczny do koła otchłani,
Nad którą trójnóg w mgłach kadzideł ginie,
A na nim Pythia.
W proroczym zachwycie
Z ust jej bezładne, dziwne płyną dźwięki,
Apollo głosi: „Spartanie, wam życie
I wolność wróci tylko z Aten ręki,
Ich więc błagajcie!“
Błagać? — O złowieszcze
Słowo! Śmierć raczej z rąk mściwej Messeny!
Sparta ma błagać? Błagać?! Kogo jeszcze?!
Zazdrośne wiecznie i wrogie Ateny?
Sparta nie znała ni srebra, ni złota,
Wymyślnej strawy, ni pysznego stroju,
Tylko żelazo: — a najpierwsza cnota
Spartańskich synów, ginąć za kraj w boju;
Sparta ilekroć za oręż porwała,
Zawsze zwycięzka: Uległy Arkady,
Padła Tyrea i Messena spała
W niewoli lata. — Śród całej Hellady
Jedne Ateny stały jej na drodze,
Na każdym kroku czyniąc Sparcie wstręty:
Ateny Sparcie, to cierń w krwawej nodze...
I dziś ich błagać?!!
Ale wróg zawzięty
Pod samo miasto rozpuszcza pogonie,
Kwiatem młodzieży gęsto zasłał pola,
I szydząc, poi w Eurotasie konie,
A Sparcie tylko już śmierć lub niewola —
Śmierć lub niewola!...
O jeszcze zawcześnie
Umierać Sparcie, choć przedśmiertne dreszcze
Przebiegły ciało, i duch porósł w pleśnie,
W schorzałej piersi bije serce jeszcze.

I krzew laurowy, gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i zda się już ginie...
Lecz gdy wiatr spędzi nawał chmur z daleka,
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur nową siłą odżyje wspaniale,
Świeże listeczki gałęzie odmłodzą.

A co niewola? — nie wie Sparta wcale,
Bo niewolników jej córy nie rodzą.

Gdy nawą fala rozhukana miota,
Czyż hańbą szukać zbawienia wśród burzy?
„Z rąk Aten przyjść ma zbawienie żywota,
Z rąk Aten wolność Apollo nam wróży:
Słuchajmy Bogów!“
Wnet Messeńskie straże
Omylił sternik, szybko z wiatrem leci,
Do Akropolu prostą drogę wskaże,
Bo Erychtona wóz na niebie świeci.
Nim księżyc nowym błyśnie Grecyi rogiem,
Straszne pioruny zagrzmią z gór Attyki,
Athene Aten, Ares Sparty bogiem.
Przed tém przymierzem, drżyj najeźdźco dziki!

Nim wrócą posły, Sparta bogów błaga,
Czaty jej wbiegły na wzgórza, mórz brzegi,
Śledząc, czy rychło wionie zbawcza flaga,
Albo z gór spłyną ateńskie szeregi.

Złudne nadzieje — biegą dnie i noce,
Cisza — nad miastem krążą sępów roje,
Czasami w dali żagiel zamigoce,
Lecz skrzętnie mija Lakońskie ostoje.
Złudne nadzieje — próżno uchem męże
Pytają ziemi — w ziemi spokój głuchy...

Czasami zda się, że dźwięczą oręże,
Nie: to wół w jarzmie potrząsa łańcuchy...

I wiele rzeki, wiele wód uniosły,
Z Aten, ni flota, ni zbawcze zastępy,
Ni nawet własne nie wracają posły:
Tylko z północy gęsto ciągną sępy,
I na wyżynach zasiadłszy Tajgetu,
O nagie skały poostrzają dzióby.

Za cóż wiatr wiosnę niesie od Miletu,
Chloris po smugach rozściela ozdoby?
Za cóż gród słońce pozłaca uroczo,
W powietrzu drgają cudne kwiatów wonie;
Gdy syny Sparty zwątpiały wzrok toczą,
A córy we łzach załamują dłonie...

* * *

Z woli Eforów zbiera się lud mnogi,
A przed nim pyłem okryty mąż stawa,
I rzecze: — „Sparto, witam twoje bogi,
Jestem Ateńczyk!—"
Cisza i wnet wrzawa
Rozbija chmury, — woła lud zdziwiony:
„Gdzie zbrojne hufce?"
Ateńczyk im na ten
Wykrzyk odpowie: „Przychodzę w te strony
Sam — mnie wysłali Archontowie Aten.
Młódź nasza w domu stali grotów ostrze
Przeciw Megarze, a najwyższa rada
Z lutnią i pieśnią w pomoc Sparcie, siostrze,
Szle mię, poetę Tyrteusza".
„Zdrada!"
Ryknęły tłumy: „szydercy okrutni,
W strasznej niedoli, zamiast zbrojnych szyków,

Ślą nam pieśniarza. — Precz! nie dźwięków lutni:
Krwi nam potrzeba, krwi! krwi Ateńczyków!...
Śmierć Tyrtejowi!"
I już tłum rozżarty
Z okrzykiem: „śmierć! śmierć!" leci, już z wszej strony
Miecz błyska... a mąż rzecze: „Ludu Sparty,
Wszak jam bezbronny!"
I lud zawstydzony
Cofa się nagle sromem mordu tknięty;
Szmer tylko z piersi, a gniew z oczu tryska.

Tak Eurotasu wzburzone odmęty,
Kiedy napowrót wrócą do łożyska,
Ono im ciasne — więc w skaliste łomy
Bije nurt wściekły, miota się i dyszy,
Jak gdyby groził co chwila brzeg stromy,
Przełamać znowu.
Wśród chwilowej ciszy
Tyrteusz okiem pogodném w około
Wiedzie, nie trwożny ni wrzawy, ni grotów,
I rzecze, jasne wznosząc w górę czoło:
„Jestem Ateńczyk, a więc umrzeć gotów,
Gdy wam się zdaje, żem wniósł w wasze gniazda
Obelgę Aten i przyjaźni zdradę;
Lecz pozwól ludu, nim zagaśnie gwiazda,
Ostatnią pieśnią pożegnać Helladę,
Grecyi poświęcić gasnące strun dźwięki,
A tam do Aten, nad brzegi Illisu,
Wiatry poniosą echa mej piosenki".

Cisza tak wielka, że słychać szmer cisu,
Pod którym stoi wieszcz, a lud wzburzony
Nie śmie odrzucić tej ostatniej prośby;
A choć zniewagi tkwią mu w sercu szpony,
Milczy ponuro i połyka groźby.

A Tyrtejowe czoło opromienia
Niebiańska światłość i męzkie oblicze
Niewysłowiony krasi wdzięk natchnienia,
I z lutni zrazu nadziemskie, dziewicze,
Pełne a rzewne płyną w przestrzeń tony,
Jakoby z arfy czarownej Eola:
Znów jęczą dziko poszarpnięte struny,
A pieśń wylata straszna — jak niewola!..

PIEŚŃ.

Znacie ten kraj, co mu stopy skaliste
Zmywa toń mórz, a Olymp wieńczy skroń;
Kastalskich wód kryształy biją czyste,
Słowików pieśń i róż zachwyca woń?

Znacie ten kraj, co mężnych synów chwałą
W daleki świat o sobie rozniósł wieść;
Potęgom burz nadstawia pierś zuchwałą,
I szydzi z tych, co mu chcą jarzmo nieść?

Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki,
Olbrzymią moc, z harmonią cudną słów?
Gdzie wyrósł mąż, co lwom targał paszczęki,
I mieczem swym ściął siedem hydrze głów?

Dziewiczych niw przemocą ani zdradą,
Aż po dziś dzień nie zdeptał obcy wróg;
Znacież ten kraj, nie znacie — nie! Hellado!
Ja ciebie znam i Ares mężnych Bóg.

Wyrzecz się ich! Hellado, ziemio święta,
Twym synem być wart tylko wolny mąż,
A Sparta kark w ohydne zgina pęta,
Messeno, pójdź! i lud ten podły wiąż!

W okowach wlecz do bram swojego grodu,
Na wieczny wstyd, do żaren męże kuj!
Lub sprzedaj ich! a dziewice z ich rodu,
Do twoich uczt niech ślubny wdzieją strój.

Śród fletnich brzmień niech w igrzysk spieszą koło,
I z wrogiem pieśń na Sparty wznoszą skon,
A zdobiąc w kwiat Arystomena czoło,
Włochatą pierś do czystych tulą łon.

Bo w Sparcie już krew starych ojców zmarła!
Od Aten chcą, aby im pomoc nieść
I grożą im, a nie śmią wrogom z gardła
Ojczyznę krwią wydrzeć, wolność i cześć?!

O światło, zgiń! niech nigdy promień słońca
Nie spłynie już w skalany trwogą gród!
Niech straszny mrok, panując tu bez końca,
Skryje ten wstyd, co podły hańbi lud!

Ten wolny nurt, co mężnych krzepił znoje,
Niech wyschnie wraz! niech w łożu pełza gad!
Przeklinam cię, Lakonio, i twe zdroje!
Niech zatrze czas istnienia twego ślad!

I matki te, co trwożnych synów dały,
Zeusie, shańb! oblicza wstydem spal!
Niech łona ich poszarpią lwy w kawały,
Lub własna dłoń zatopi w piersiach stal!

O Sparto, ruń! nim doznasz strasznej doli,
Nim zwiędnie laur, co kwitł na czole twym,
Nim syny twe przywdzieją strój niewoli:
Upadnij w gruz i hańbę przykryj nim!

O Sparto, ruń! zanim ślad twej wielkości
Nad dziadów grób, Messeński zburzy młot,
I na żer psom rozwlecze święte kości,
A przodków cień, odpędzi od twych wrot.

Ty ludu! nim wróg w pętach cię powlecze,
Ojców twych broń na progach domów złam;
I w przepaść rzuć! niech świat nie wie, że miecze
Były śród was, a serca brakło wam!"

* * *

I pieśń skonała; z ostatnim akordem
Mistrz lutnię z żalu roztrzaskał o głazy.
Gdy igrał ze lwem i drażnił go mordem,
I serce hańbą poszarpał sto razy;
Gdy grobom ojców groził z wrogiej ręki,
Przeklął ojczyznę i łona cnych matek —
Lud milczał — bolem skamieniały męki
Lecz kiedy wygrał już pieśni ostatek,
I pękły struny: wtedy jak huk gromów,
Co walą skały i druzgoczą lasy,
Jak trzask piorunów, co dno morskich fali
Palą swym żarem i niebo drą w pasy,
Z wzgórz, dolin, świątyń, przedsionków i domów,
Powstał krzyk jeden: „do broni! do broni!"
I z placów, ulic, ze wszystkich stron miasta,
Do broni, milion powtarza się razy,
Zda się, że ludność z pod ziemi wyrasta,
Lub w zbrojnych mężów zmieniają się głazy.

Hasłem „do broni!" rozbudzona Sparta
Rzuca mdłe jęki i za oręż chwyta,
I znowu silna, straszliwa, rozżarta,
Potężna, wielka, i walki nie syta.

Trzęsie się miasto od wojennej wrzawy,
Blednieje słońce od blasku oręża,
A naród chciwy rozpocząć bój krwawy,
Z zapałem wzywa ateńskiego męża:
„Prowadź nas, prowadź! ty staniesz za krocie,
Umrzem! lecz wolnej ziemi wróg nie zdepcze,
Umrzem! lecz dziewic nie damy sromocie;
Chce wróg krwi naszej, niechaj ją wychłepcze!
Chce wróg krwi naszej, niech ją pije rzeką!
Lecz precz z niewolą! my do niej nie zdolni,
Z ostatnią kroplą sromoty wycieką,
I padniem wszyscy,. ale padniem wolni!“

„Prowadź! niewiasty wołają i biegną,
Myśmy Spartanki, znamy się z żelazem,
Jeśli mężowie śród walki polegną,
Pobijem dzieci i zginiemy razem!“
I poszli...
Miasto długo pustką stało.
Słychać trąb odgłos, wraca lud zwycięzki,
I na zdobytych dźwiga tarczach ciało
Spowite w laury...
Oto wieszcz ateński!

Wł. L. Anczyc.

GRÜNWALD

(Wrażenie przed obrazem Matejki.)

Z drogi! z drogi tej przeszłości,
Co z zamierzchu i nicości
Cała krwawa,
Zmartwychwstawa,
Jak zwycięztwa duch!
Oto grzmiąc jak arkan, leci
Zawierucha tych stuleci,
Co pod zbroją
Wrzące stoją,
Śledząc mieczów ruch.
Uskrzydlona i pancerna,
Hasłom bratnim jak śmierć wierna,
W pole klęski
Zastęp męzki
Z różnych wiedzie stron...
I nie zgadnie wróg krzyżacki,
Czy go miecz dosięże lacki,
Czy go ramię
Czecha złamie,
U Litwina nóg.
Stal goreje, oszczep chrzęści,
Topór warczy w chrobrej pięści...
Tam pierś naga
Tchnieniem smaga,
Nim dłoń zmierzy cios...
Okrzyk walki w przestrzeń bucha,
Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,
Odmach ręki,
Zgrzyty, jęki,
W jeden zlewa głos.

Hej!... zapłata to odmienna,
Niż Dobrzyńska Ziemia pszenna:
Krzywdy stare
Po za miarę
Wykipiały krwią...
Precz z drużyną ztąd służalczą!
Nieśmiertelni tutaj walczą;
W szczęku, w pyle,
Na tę chwilę
Kładą pieczęć lwią!
Któż prawnucze serce zmierzy
Z wielką piersią tych rycerzy,
Grzmiących w blasku
W zgiełku, w trzasku,
Jako orłów ród?...
Kto dziś zdzierży takie boje?
Taką sławę, takie zbroje?
Drzewce stare?...
Żywą wiarę?...
Kto dziś stworzy cud?...
Las zielony patrzy z dala,
Jak ta burza się przewala;
W krwi i w dymie
Wielkie imię
Dzień ten daje mu...
Pył, co leci w błękit żywy,
Szum sztandarów, świst cięciwy,
W dziejów karty
Niezatarty
Pomnik wpiszą chrztu.
Z drogi! z drogi!... któż dotrzyma
Rozpędowi sił olbrzyma,
Co w dniu chwały,
Zbrojny cały,
Pogromem się zwał?

Walczy — miecz się zrasta z dłonią...
Pędzi — żywą jest „pogonią"...
On przez wieki,
W świat daleki
Sławę niesie w cwał!

Marya Konopnicka.

III.

III

JUTRZENKA.

Gawęda z sobą.

Widzę, mospanie, jutrznię różową,
I kiwam głową!
Porwał śmiech pusty, komedya szczera
Serce rozdziera!
Jam stary wróbel, i nie dziś przecie
Żyję na świecie!
I wiele, wiele w życiu mém całem,
Jutrzni widziałem.

Na jasném niebie, na ciemnej ziemi,
Z barwy złotemi.
Lub w siedmiorakich kolorach tęczy
Jutrznia się wdzięczy;
I wiele rzeczy dobrych przyrzeka,
Chcąc zdurzyć człeka.
Ej! to zalotna tylko niewiasta,
Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w tej chwili
Biedę przebyli,
„Wkrótce nie będzie, zobaczysz, dziadu,
Nędzy ni śladu!“

BIBLIOTEKA Lipki PODHORSKICH

Znów obietnice, znowu nadzieje,
        Serce się śmieje,
Ale ich czekać kolej tak długa...
        Najniższy sługa!

Już zawstydzona przeszłość surowa,
        W ziemię się chowa.
Przyszłość przychodzi w tęczowej szacie,
        Wierz, panie bracie!
Dla zbolałego serca osłoda
        Jutrzenka młoda,
Lecz jasne słońce ze swą opieką
        Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży!!
        Wierzą niektórzy!
Chociaż nad górą ściele się nisko
        Czarne chmurzysko.
A jak się wróci chmura burzliwa
        (Co często bywa),
Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje
            Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:
        „Mieć będziem ciszę“ —
Błogosławiony, kto dziś ma wiarę
        We wróżby stare!
Co to!... nie tylko bredzą bezkarnie
        Nasze drukarnie,
I w Berdyczowie kalendarz, słyszę,
        Androny pisze.

Ej dolaż moja! przyszło się dosyć
        W życiu przenosić!

Słońca mi trzeba, i powiem szczerze:
Gwiazdom nie wierzę...
Niech sobie widzą niewinne dusze
Na wierzbie grusze,
Niech sobie zefir przebiega błonie,
Ja go nie gonię!

Władysław Syrokomla.

W TATRY!

Hej za mną w Tatry, w ziemię czarów,
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur.

Ponad przepaści nasza droga,
Odważnie bracie mój!
Od ludzi dalej — bliżej Boga,
Ha! już jesteśmy — stój!

Patrz jak w głębinach białą pianą
Potoków kipi war —
Potężną falą rozhukaną,
W granitach żłobi jar.

I siłą w hale się przerzyna,
W Juhasa Boży świat —
Gdzie w smaragd stroi się dolina,
I w różnobarwny kwiat.

Tu znów iglica za iglicą
W niebiosa piętrzy się.
Patrz! tam urwiskiem — błyskawicą
Kozica trwożna mknie.

I z bystrej turni nad jeziora
Wieczysty zbiega chłód,
Gdzie się przegląda — mnich potwora,
W zwierciadle czarnych wód.

Tam białą wstęgą nurt szeroki,
Śle w przepaść głazów złom,
I błyskawica drze obłoki,
Po gromie wali grom.

Zda się, że wstrząsa gór posadę,
Grom zdwojon echem burz,
Zda się, że niesie nam zagładę,
Że koniec świata już.

Lecz burza coraz niżej schodzi,
Piorunów słabnie trzask,
Wybiegłe szczyty z chmur powodzi
Oblewa złoty blask.

Gerlach, Łomnica i Lodowy,
Nad białe morza chmur,
Podnoszą swoje dumne głowy,
Króle Tatrzańskich gór.

Uczucie wzniosłe, niepojęte
W piersi nie mieści się,
I jakieś tchnienie wonne, święte,
W niebiosa serce rwie.

Oddalonemu od trosk ziemi
Zda się, że niebios próg...
Że stanął między wybranemi,
Że tutaj mieszka — Bóg!

Wł. L. Anczyc.

RÓŻOWA CHWILKA.

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Pięknym świeży maj,
Co roznosi woń;

Pięknym jasny dzień,
Co blask złoty śle,
Pięknym nocy cień,
Na błękitów tle;

Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i wszerz,
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz.

Piękny słońca wschód
I rumieniec róż —
Świat jak jeden cud
Piękny wszerz i wzdłuż.

Szczęście, rozkosz tu,
Szczęście, rozkosz tam,
Piersiom braknie tchu
Czerpać zachwyt sam.

Rozkosz płynie w dal,
Rozkosz płynie w krąg,
Płynie z szumem fal,
Płynie z wonią łąk,

Płynie z dolin, gór,
Z lasów, wsi i miast,
Z błękitów i chmur,
Ze słońca i gwiazd.

Słodko szumi las,
Słodką nuci pieśń,
Słodko patrzy głaz
Przez jedwabną pleśń.

Drzewa szczęściem drżą,
Drży ich każdy liść,
Drzewa tańczyć chcą,
Chcą powstać i iść.

Zatacza się buk
I cieszy się w głos,
Brzozy aż do nóg
Opuszczają włos;

Nawet stary dąb,
Przystrojony w bluszcz,
Chce się sunąć w głąb
Swawolących puszcz.

Ptaszki nucą tu,
Ptaszki nucą tam,
Brak mi w piersiach tchu,
Śpiew ich w sercu mam.

Słychać z po za drzew
W jaśminie i bzie,
Słychać ciągle śpiew:
„Ona kocha cię“.

„Kocha“— pluszcze staw,
„Kocha“ — szemrze zdrój,
„Kocha“ — brzęczy z traw
Złotych muszek rój.

„Kocham“ słówkiem tym
Ziemia w koło brzmi,
„Kocha“ wiem już, wiem!
Sama rzekła mi.

Muszę wierzyć jej,
Bo mi rzekła: Wierz!
Słońce, ty się śmiej!
Ziemio, ty się ciesz!

Róży imię ma,
Różą jest jej twarz,
Kiedy rączkę da,
Różę w sercu masz.

Nie wiem, jak się stał
Cud niebieski ten,
Jednak to nie szał,
Jednak to nie sen.

„Kocham“, rzekła w głos,
Płonąc jako świt —
Z ócz jej krople ros
Biegły gasić wstyd.

„Kocham“, szepnie znów,
A tuż za nią w ślad,
Oddźwiękiem tych słów
Zabrzmi cały świat.

„Kocham“ — śpiewa bór,
„Kocham“ — woła głaz,
„Kocham“ — echo gór
Odpowiada wraz.

„Kocham“, słówko to,
Śle tysiące brzmień,
I tęczową mgłą
Barwi jasny dzień.

W słońca blasku drży,
Lecąc w światów toń,
Dźwięczny, lśni się, skrzy,
I roznosi woń.

Na błękitów tle,
Płonie ogniem zórz,
I w powietrze śle
Słodki zapach róż.

I zakwita wschód,
Jak różowy kwiat —
Świat jak jeden cud,
Piękny, boski świat!

E...ly.

MOJA PIESZCZOTKA.

Moja pieszczotka gdy w wesołej chwili,
Zacznie szczebiotać i kwilić i gruchać:
Tak mile grucha, szczebiocze i kwili,
Że niechcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym: słuchać! słuchać! słuchać!

Lecz mowy żywość, gdy oczki zapali,
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną śród korali:
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko: całować! całować! całować!

Adam Mickiewicz.

ZAKOCHANA.

Tego dotąd nie ma
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma,
Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencyę,
Dwa dni poszczę święcie —
A nuż nie przyjedzie...?
Przyjedzie, przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
A dziś już sobota —
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczki plotek —
Pewnie nie przyjedzie...?
Przyjedzie, przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty
Ach! piękny! ach! duszka,
Ach! srebrny, ach! złoty,
Tańczył tylko ze mną
I raz kląkł przedemną,
Nuż bałamut skręci...?
Nie skręci, nie skręci!

A potém jak grzecznie —
Pochlebiał matusi:

Ach! kocham, ach! wiecznie!
Ach moim być musi —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
A nuż panicz skrewi...?
Nie skrewi, nie skrewi!

Nudno czekać — więc za to,
Gdy przyjedzie, to ukarzę,
Niech poczeka! — przed herbatą
Pewnie mu się nie pokażę!..

Lecz on jakiś taki żywy,
W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy...
No to zresztą wyjdę już,
Ale za to będę nosić
Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
Że szaleje mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie,
No, to zresztą różę dam.
Ale za to pod krosienkę
Nie zapomnę rączki schować...
I to srogo — a więc — w rękę,
Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd nie ma.
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma,
Jak zaklęty stoi,

Ach! jak kocham mamę
Otwierają bramę
Kasztanek na przedzie!..
Eh... to proboszcz jedzie.

Kornel Ujejski.

ANAKREONTYKI W GÓRACH.

I.

Niechaj inny wśród gór łona
Szuka złota żył;
Niech wytęża swe ramiona,
Śród brutalnych sił;
Niechaj w kopalni pcha jaskinie
Taczkę swoich: żądz:
Ja zasiądę gdzie zdrój płynie,
Polne kwiecie rwiąc;
I z polnego róż kielicha
Co o rosie śnił,
Zdrój szemrzący pieśnią z cicha,
Będę pił i pił!

II.

Precz mi złote roztruchany,
Precz srebrna zastawa;
Moim dzbanem kwiat wiośniany,
Stołem łąk murawa.
Konik polny, kilka mrówek,
Moi towarzysze,
Tajemniczych szmery słówek,
W okrąg wszędzie słyszę;

To toasty w moje ręce,
Konik wniósł usłużny —
I ja z piersi piosnki nęcę...
Nie będę ci dłużny.

I zadzwonię między drzewa,
W godowym okrzyku:
Niechaj żyje to co śpiewa!
Do ciebie, koniku!

III.

Słychać dźwięczny głosik młody:
Ach, to rusałeczka!
„Co niesiesz w dzbanku?“ „Cóż! jagody!“
„Samaś jagodeczka“ —
„Nie pragnę jagód z twego dzbana,
„Ale z twych usteczek,
„I będę zbierał aż do rana
„Miód tych jagodeczek!“

* * *

A dziewczę się obejrzało
Zamilknąwszy w śpiewach:
„Patrzcie, co mu się zachciało!“
I zniknęło w krzewach.

August Kościelski.

ZBUDZONA.

O już pieszczotka
Zrywa się z łóżeczka
Promienna.
Oczęta przeciera,
W około spoziera
Wpół-senna.
Znać sen przypomina
Zbudzona dziewczyna,
Sen słodki,
Bo oczka jaśnieją
I liczka się śmieją
Pieszczotki.
Czarowny, iskrzący,
Jak z noca tysiący
Sen wróżki:
Dorodny młodzieniec,
Kobierzec i wieniec,
I drużki.
I kapłan sędziwy,
I świateł blask żywy,
Dźwięk dzwonu,
I własny głos słyszy,
Jak szepnęła w ciszy:
„— Do zgonu!“

W oczętach łza błyska
I serce się ściska
Boleśnie,
Uroczo tak śniła,
Czemuż się zbudziła
Zawcześnie?
Spogląda — mateczka
W wezgłowiu łóżeczka,
Stroskana
Trzyma ją za rączkę,
—„Och! ty masz gorączkę,
Kochana!
Twarzyczka ci płonie,
Jak ogień twe dłonie,
O Boże!
O pozwólże dziecię,
Niech lepiej cię przecie
Ułożę“.
Dzieweczka stęskniona
Tuli się do łona,
Do matki,
A ona: „dziecinko,
Napij się z cytrynką
Herbatki!“

Wł. L. Anczyc.

TERKOTKA.

Biedaż moja z tą ciotką!
Przezwała mnie terkotką,
Jeszcze mi zawiąże świat,
A mam już piętnaście lat!
Taka plotka z poddasza,
Kawalerów wystrasza,
A kawaler ślizka rzecz,
Zaglądnie — i pójdzie precz.

Otóż to pora i niezła pobudka,
Wstanę od krosienek, zbiegnę do ogródka,
Niech kukułka powie,
Czy przy tym narowie
Prędko pójdę za mąż — tak, tak.

Ile więc razy kukułeczka kuknie,
To za tyle wiosen wezmę ślubną suknię;
Lecz nim zacznie kukać,
Trzeba ją wyszukać...
O Jezu najsłodszy! — jest ptak.

Gadajże mi — kuku!
Króciusieńko — kuku!
Już mam dosyć! — kuku!
Kukuleńko! — kuku!
To ptaszysko — kuku!
W uszach wierci — kuku!
Krzycz-że sobie — kuku!
Aż do śmierci! — kuku!

Otóż im na złość pójdę za mąż prędko,
Złapię sobie chłopca siatką albo wędką;
Na ptaka konfuzyę —
Wezmę wielką fuzyę,
I wymierzę w ptaka — tak, tak!

Pani zaś ciotka na wstyd i na karę,
Na mojém weselu pójdzie w pierwszą parę,
Toż będę chichotać,
Toż będę terkotać,
Żem już swoją panią — na znak!

Kornel Ujejski.

DZIADEK.

Młodzieniec.

Dziadku! gdzie tu dostać chleba?

Dziadek.

O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa;
Najlepiej ująć się pługa;
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.

Młodzieniec.

Gdzież tu są dziadku zabawy?

Dziadek.

Sześć dni drogi do nich będzie,
Sześć dni obchodź twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie,
Zysk obrachuj! potem śmiele
Hasaj sobie przez niedzielę.

Młodzieniec.

A gdzie też tu będzie szkoła?

Dziadek.

Szkół i mędrców jest dokoła;
Lecz, w kółko chodząc, czas tracisz,
Zawrotem głowy przypłacisz.
Ale jest na niebie karta,
Dzieciom ziemi wciąż otwarta;
Jest i książka ziemi matki,
Z której uczy wszystkie dziatki;
Jest i serce, są i ludzie,
W zyskach, stratach, w fraszkach, w trudzie,
Jedni drugich uczą sami.
Czule, czynnie puść się w drogę;
Ucz się własnemi błędami;
Nie leń się szukać, a znajdziesz;
Nie wiele pytaj, a zajdziesz.

Młodzieniec.

Gdzież tu znaleźć przyjaciela?

Dziadek.

Tego tylko los udziela;
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą.
Kto wczas zyskał przyjaciela,

Pociech i troski wspólnika,
Niech z pełni serca wykrzyka!
Bo jako powietrza ciału,
Tak duszy trzeba udziału.
Kto będzie w słowo oszczędny,
Tobie otwarty, a względny,
Jeżeli nie wiedzieć czemu
Tęskno ci będzie ku niemu,
Gdy i milcząc, tobą władnie,
Skryty twój smutek sam zgadnie.
Kiedy złe i dobre swoje,
Z tobą rad święcić łzą tajną,
Jeśli poświęcenie twoje
Przyjmie jako rzecz zwyczajną —
Wykrzyknij pełen wesela,
Że znalazłeś przyjaciela!

Młodzieniec.

A gdzie też tu miłość mieszka?

Dziadek.

Gdzie różana wiedzie ścieżka,
Tam chodź, próżnuj i myśl o niej,
A wnet cię przedmiot dogoni,
Jaki sam sobie wymarzysz.
Będzie też to dusza sama,
Mądra, czuła i wesoła,
I coś jeszcze nad anioła.
Ale to nie twój towarzysz,
To jest bańka twego tchnienia,
Bóstwo, które tworzysz sobie,
Nie wcielone, umrze w tobie.
Gdyś stworzony, syn Adama,
Szukaj tak, jak ty, stworzenia,

Nie trać czasu na ofiary
Dla utworu własnej mary.

Tam, gdzie w gospodarnej chatce
Widać kwiaty u podwórka,
Gdzie pomocna swojej matce
Nie zbyt głośna mieszka córka,
Tam bądź wesoły, a grzeczny,
Mniej natrętny, a stateczny,
Szczery bądź mową i okiem,
Nic nie dodaj, nie ukrywaj,
Ni własnych marzeń urokiem
Zalet lubej nie odziewaj,
Jej nie zawódź, ani ciebie.
Bo jak ogień błyszczy z siebie,
Tak miłość sama się zdobi,
Sama lepszemi was zrobi.

Gdy litość sercem jej włada,
A ceni męzkie przymioty,
Gdy nad strój czystość przekłada,
Kiedy wesołej jest cnoty,
Gdy boleść sercem zrozumie,
Ale zagadać ją umie,
Jeśli dbała bez parady,
O porządek w domu matki,
Jeśli lubi bez przesady
Dzieci, tańce, śpiewy, kwiatki —
Szalej za nią!! — to twa żona,
Z Opatrzności naznaczona.

Młodzieniec.

Gdzie też tu mieszka wesele?

Dziadek.

Dawno o niém nie słyszałem.
Mało ci o niém kto powie.
Kiedyś, w młodości je znałem,
Ojcem jego było zdrowie,
Miało niewinność za żonę,
Potém, z zasługą złączone,
Dorobiło się dóbr wiele.
Dziś podupadło, w niewoli,
Chyba gdzie z dziećmi swawoli.

Młodzieniec.

A gdzie też tu mieszka cnota?

Dziadek.

Skryła się za swoje wrota,
Od dawna samotnie żyje,
Obdarli ją ludzie podli,
Z żalem przed światem się kryje,
Tajnie za wszystkich się modli.
Byłaby nadgrodą sobie,
Spokojna czystem swém tchnieniém,
Lecz teraz żyje w żałobie,
Bo ludzkiém cierpi cierpieniem.

Młodzieniec.

A gdzież tutaj szczęście będzie?

Dziadek.

Nie tędy do niego droga.
Pytają o niego wszędzie,
Ale nieznane nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nie znajdziesz aż u Boga.

Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia,
Zresztą zapytaj sumienia —
Umie po polsku, toć powie.

Młodzieniec.

A gdzie też tu wiara mieszka?

Dziadek.

Jeśli nie wiesz od matki,
To ci pokażą ją dziatki,
Najprościejsza do niej ścieżka;
Nie pytaj o nią szczęśliwych,
Ani mędrców tego świata,
Szukaj jej w miłości brata,
W czynach i uczuciach tkliwych.
A kiedy cię wszystko zdradzi,
Onać w nieszczęśliwym stanie
Sama wyjdzie na spotkanie,
Do domu cię zaprowadzi.

Kazimierz Brodziński.

CZARY.

Coś się zdawało dziewczynie,
Coś się zdawało
Przy młynie,
Godzinę całą,
Patrzała, jak woda płynie,

Jak pod nią w wodnej kotlinie
Coś się pluskało!

Zdawało jej się, że w wodzie,
Widzi tęczowy
Na spodzie
Gmach kryształowy,
A przed nim w świetnym pochodzie,
W zaczarowanym ogrodzie,
Królewskie łowy.

Zdawało jej się znów dalej,
Że widzi potem
Na fali,
Błyszczących złotem
Rycerzy w chełmach ze stali,
Że nawet ukłony w dali,
Widzi przelotem.

O cuda! tuż przed nią klęka
Piękna, jak świeża
Jutrzenka,
Postać rycerza;
W pół ją objęła dłoń mezka —
Ona się płoni i lęka
I niedowierza.

On szepcze miłośnie do niej;
— „Z kraju piękności
Barw, woni,
Z kraju młodości
W wieczyście błękitnej toni,
Przybywam z wieńcem na skroni —
Pragnę miłości“.

„Jeśli masz serca choć tyle,
Żeby pierś biała
Na chwilę
Uczuciem drżała;
Porzucę skrzydła motyle,
I pozostanę tu w pyle
Ludzkiego ciała“.

„Lecz jeśli tylko odgadnę,
Że kształty owe
Tak ładne,
Są marmurowe,
Że serce nie drży w nich żadne,
To wtedy jak cień przepadnę
W mgły zaświatowe!“

Dziewczyna słucha i płonie,
Coś się jej zdaje,
Że w łonie
Zwolna powstaje,
W dziewiczej wstydu osłonie
Prawdziwa miłość — więc dłonie
Drżące podaje.

Lecz kiedy schyla się z trwogą
Do słodkiej mary
Pod nogą —
Byłyżto czary?...
Nie widać przed nią nikogo!
A tylko przechodzi drogą
Młynarczyk stary.

Widocznie w owej godzinie
Coś jej się śniło
Przy młynie;

Zkądby wziąść było
Rycerzy w wodnej kotlinie?...
A może w pięknej dziewczynie,
Serca nie było...
El...y.

ROMANS WIOSENNY.

(Wyjątek).

Ona nie była piękną, salonową:
Była kobietą z sercem i wadami,
Może zanadto znała się z kwiatami,
Z czarną jaskółką i żabką majową;
Może za często biegała po łące,
Zrywając dzwonki liliowe drżące;
Może za wiele róż miała w ogrodzie,
Za rano słońce witała o wschodzie;
Może się nadto w księżycu kochała,
Patrząc mu w oczy promienna i biała.
O miała wady, była zmienna, płocha,
I niecierpliwa: to smuci się, szlocha
Nad czemś, co z wiatru uleciało puchem;
To znów dziecinnym i swawolnym ruchem
Z czoła odrzuca rozsypane włosy,
Ociera oczy... patrzysz a za chwilę,
Zda ci się, skrzydła dostała motyle,
I leci róże pootrząsać z rosy.
Waszych zwyczajów, konwenansów zbroja,
Nigdy nie strzegła jej piersi śnieżystych;
Nie była z waszych kobiet zimnych, mglistych,
Lecz taka wdzięczna, och! i taka moja.
Marya Konopnicka.

DRAPIEŻNE PTASZĘ.

Figlarka, pustotka
To groźna, to słodka,
Drapieżna ptaszyna —
Dziewczyna.

Żartuje, pustuje,
Choć kolnie — nie czuje
I wbija na szpilki
Motylki.

To smętna, to płocha,
Czy kocha? — nie kocha?
Któż od niej się dowie?
Nie powie!

Niewinna jak dziecię,
A straszną jest przecie,
Czy sprzyja? nie sprzyja?
Zabija!

Czy lubi? nie lubi?...
Bezwiednie cię zgubi,
Bez myśli zgruchota —
Niecnota!

Bo śliczna, bo cudna,
Bo wdzięczna, bo złudna,
W pierś rzuca zarzewie —
Choć nie wie.

Wesoła — a tkliwa,
Marząca — a żywa,
A wzrok ma uroczy —
Ach! oczy!

Promienne jak zorze,
Głębokie jak morze,
A tęskne... jak pienia —
Wspomnienia.

Jej główka jak święta,
W krąg blasków ujęta,
A włoski, a szyjka —
Ach! żmijka!

Gdy wdzięcznie szczebiocze,
Takie to urocze,
Że wieczność z nią całą
Być — mało.

Milutka pieszczotka,
To drapie jak kotka,
To oczkiem nagrodzi —
A zwodzi!

Gdy śmieszkiem zczaruje,
Gdy łezką cię struje,
O któż ci pomoże —
Nieboże!

Więc lecą ofiary,
I młody i stary,
Bo któż się obroni
Jej broni.

Miej litość dziewczyno!
Gdy wszyscy wyginą,
Cóż ci się zostanie —
Tyranie!

Wł. L. Anczyc.

ŻYCZENIE.

Spij spokojnie moje dziecię!
Niech ci lekkie będzie życie.
W ucieszenie, czy w strapienie
Nad życzenia to życzenie.

Więc jak uśmiech w młodym oku,
Jak miganie słońca w stoku,
Jak lot ptaka po błękicie,
Niech ci lekkie będzie życie!

I gdy w walce z twardym losem
Mojżeszowym kiedyś ciosem
Zechcesz wykuć zdrój w granicie,
Niech ci lekkiem będzie życie!

Gdy wezbrana szczęścia szałem,
Pod bijącej krwi nawałem
Pierś twa pęknąć chce w zachwycie,
Niech ci lekkiem będzie życie!

Bo rozkosze i boleście
Głazem sercu ciężą wreszcie,
W słońce więc, czy w gradobicie
Niech ci lekkie będzie życie.

A gdy zaśniesz snem na wieki,
Śmieszna życzyć ziemi lekkiej!
Ziemia lekka, moje dziecię,
Niech ci lekkiem będzie życie!

Karol Baliński.

DŻEB-EL-SZECH *).

Dżeb-el-Szech dumny jak hodża Islamu,
Białym turbanem owinął swe czoło,
I po nad sady rozwinięte Szamu **)
Ku Mekce zwrócon, pogląda w około.

Nad nim wieczysta groza tajemnicza,
On sam milczący, kamienny, lodowy,
Nawet gdy lato barwi swe oblicza,
On śniegów nigdy nie zdejmuje z głowy.

Jak go widziały pierwsze Sema syny,
Tak i dziś patrzy na pustyni spieki,
Tysiąca wieków pociekną godziny,
Takim ostatnie zobaczą go wieki.

Pierś jego w blizny szerokie podarta,
Starego świata pełna dzikich gruzów:
Tylko dla orłów zuchwałych otwarta,
Albo nad orły, dla zuchwalszych Druzów.

---

*) Liban. **) *Szam*, po arabsku Damaszek.

Druz tylko jeden pnie się nad urwiska
Tam, aż pod turban Dżeb-el-Szecha biały,
I powróciwszy, z dumą w Szamie ciska
Trudem zdobyte turbana kawały.

Mistrz je Szerbetów w kryształowej czarze
Nosi po Szamie i dzwonkami wabi:
W strasznej pustyni konający skwarze
Śnią o tej czarze i dzwonkach Arabi.

Powieściom ludu jeśli dasz posłuchy,
Dżeb-el-Szech w morzu miał zamki z korali,
Na łożach z pereł poddane mu duchy
Śniły w sukienkach z smaragdów, opali.

Lecz gdy na grzeszne plemię ręka Boża
Ognie siarczyste miotała Sodoma,
Taka potęga, mówią, była w gromie,
Że się zatrzęsło od niego dno morza.

Dżeb-el-Szech nagle porwał się na nogi,
Ciekawy, z morza pod niebo wyskoczył,
Straszny gniew Boży, kaźń Bożą, gdy zoczył,
Rażony grozą, okamieniał z trwogi.

Oto mijają za wiekami wieki,
Jak śnieg mu na skroń skamieniałą pada,
Lecz dzień ten chociaż od nas tak daleki,
Dżeb-el-Szech milcząc, swą przeszłość spowiada.

W olbrzymiej, sinej rozpadliny szybie,
Tu, owdzie skrzele Druz napotkał rybie,
I nieraz znosi konchy, morza dzieci,
Lub odłam głazu, w którym koral świeci.

Mówią, że Dżeb-el-Szecha bije serce,
Choć je odziały lody i opoki,
Że drży, gdy ludy zaciekłe morderce,
Mordują w złości swe święte proroki.

Mówią, gdy gasło święte oko Issy, *)
Piersi w głębokie rozpadły mu rysy;
A te nad czołem straszne rozpadliny,
Są z dnia, gdy prorok zbieżał do Medyny.

Mówią hadżowie, że pomną noc starzy,
Gdy się Dżeb-el-Szech znów zabliźnił raną...

A dziś Dżeb-el-Szech grzesznym dla przestrogi,
Potworne głazy drżąc, zrzuca pod nogi,
My, patrząc z trwogą na spadłe olbrzymy,
Idziemy dalej — i dalej grzeszymy.

Karol Brzozowski.

WSPOMNIENIE.

W wonnym sadzie mojej matki
Kwitły bzy, konwalie, róże,
Polne maki i bławatki,
I lilije — kwiatów stróże.

Słowik dla nich śpiewał, jęczał
Najpiękniejsze swoje pienie,
Wiatr szeleściał — strumień brzęczał
Pół na jawie — na pół we śnie.

*) Jezus.

Jam w dziecinnych moich latach,
Z całym rajem w młodém sercu,
Biegał skocznie po tych kwiatach,
Na jedwabnym traw kobiercu.

Dziś odległe, twarde drogi,
I los gorzki w poniewierce
Poraniły moje nogi,
Zakrwawiły moje serce,

A tam jeszcze dzisiaj może.
Kwitną maki i bławatki,
I piękniejsze od nich róże,
W wonnym sadzie mojej matki!

Ryszard Berwiński.

WITANIE WIOSNY.

Na okólnych pogórzach tatrzańskiej rodziny,
Szaro-zielone mszyste przebłyskują smugi,
Babia góra, prababa, wiekowe łysiny
Obwija czepcem śnieżnym; jej sędziwe syny
Błękitnieją w oddali schylonemi garby,
Dźwigając na nich dzieje i pamiątek tyle,
Że i dotąd przemyślne nie zorały pługi,
I nie zmyły nawalne nieszczęścia szarugi,
Co trudnym deszczem ściekły po Kraka mogile,
Bo w jej łonie zaległy dla przyszłości skarby!
Wiosna, na niebie wiosna, dziewicza i jasna,
Słoneczną gra źrenicą, z piersi tchnie woniami,
Za każdém tchnieniem strzela z ziemi gwiazdka krasna
Stokroci i żywemi drga w niebo rzęsami;

A stara Wisła szumi i otrząsa lody,
Co ją mroźnemi pęty okuwały zimą,
I błękitem rozbarwia swoje białe wody,
A szelestem fal wszczęła gawędę rodzimą
Z ziemicą okoliczną; pod Wawelu grodem
Nadęła pierś matczyną białą dumy pianą,
Bo w niej zamkowe baszty błyszczą słońca wschodem,
I tulą do jej piersi swoją skroń rumianą,
I szepczą jej przeszłości wielkie, świętsze dzieje,
A obecną odmianę; to z żalu fal jękiem,
Rozpacznie wraz zaszumi, powodzią wyleje
Na błonia Zwierzynieckie; wnet ściszonym dźwiękiem
Spływa stare koryto, a płynie w nadzieje!
I błoń się wnet odziała plon wróżącym majem,
Wieszczek skrzydlaty w błękit poleciał po wieści,
Skowronek, pytać niebios, poleciał za krajem
I wnet je oraczowi piosenką obwieści.
O ziemio! jakżeś śliczna w majowej sukience;
Słońcem się cała złocisz, tchniesz Wisły falami,
Skowronek pacierz ranny zmówił ci w piosence,
A gród Krakowa w chórze zamodlił dzwonami.
Ziemio moja! od dziecka grasz w mą duszę pieśni
Jak ty stare, a świetne, jak słońca oblicze,
One pod sercem płyną, a z piersiowej cieśni
Wypierają się w błękit. Święto tajemnicze,
Ja się modlę do ciebie pieśniami takiemi,
Ziemio — Matko! bom piersmi karmiony twojemi.
Ziemio — Matko! mą duszę wciągnij w twoje łono,
Synowską, nad twą dolą we łzy roztopioną;
Bo w wiośnianej sukience takeś straszno miła,
Jak dziewica, co wiankiem martwą skroń obwiła,
Gdyby letargiem zaraz po ślubie usnęła...
Tyś usnęła letargiem, bo twe ciało święte
Jeszcze toczącym śmierci robakiem nie tknięte,

O! ciebie słońce moje ogrzeje, tchniesz życiem
I syny twe powitasz głośnem serca biciem;
Wstaniesz i spojrzysz w słońce; dziś my twoje dzieci,
Na twej chwały koronę wciąż zbieramy kwieci!

Franciszek Żygliński.

NIEZAPOMINAJKI.

Za cichym borem,
Po nad jeziorem,
Błonie się stroi w kwieciste wianki:
Pstrzą się tam w kole
Jaskry, kąkole,
Złote dziewanny, białe rumianki,
I mak pąsowy
Z jasnemi głowy,
I modre dzwonki;
A po nadbrzeżu owej mozajki,
Niby wezgłowia tego koronki,
Błyszczą niezapominajki.

I wbiegła Hanka na błonie,
Śmiga lekkiemi nóżki,
To raz w zieleni tonie,
To goni złote muszki,
To znów pstrego motyla.
To się po kwiaty schyla;

W oczach radość, uciecha,
Róża gości na twarzy,
Do kwiatów się uśmiecha,
O motylkach coś marzy;
Kwiatki w białej jej dłoni,
Zda się, śmieją się do nicj,
Ona pełna wesela
Płynie dalej i dalej
Jak łabędź po tej fali
Z kwiatów, trawy i ziela,
Po tej z balsamów wodzie,
Złotej w słońca zachodzie.

I Hanka czarująca
Słońcu patrzy się w oczy
I śmieje się ze słońca,
Że powoli się toczy,
Z jego pyzatej twarzy,
Co purpurą się żarzy.
I znów zwraca swe oczki
Na jaskrawe obłoczki,
To z pustotą kobiecą
Prześciga je, gdy lecą,
To znów patrzy z pod ręki
Na ich jasne sukienki,
Pełne złota i szkliwia,
Gdy je słońce ożywia.

A czernieje bór szary,
Nikną góry w oddali,
Tylko szczyt się ich pali;
Brzęczą rojne komary,
Szumią muszki brzęczące,
Rosa perli po łące;

Skrzęczą żabki przed nocą,
Gdzieś tam ptaszki świegocą,
A Haneczka urocza,
Staje u wód przezrocza.

Patrzy, aż tu malutka,
Błękitna niezabudka,
Skromna, smętna i cicha,
Nad jeziorem oddycha;
A więc główkę swą skłoni,
I zaduma się o niej.

Ile ziarek w makówce,
Tyle dumek w tej główce,
A każda jasna, chyża,
Jakby z gazy uwita,
Do oczek się przybliża
I łezkami je wita;
Lub w promykach radości,
Na usteczkach jej gości.
Co w tej główce owadków,
Ile sieci pajęczy,
Co tam fjołków i bratków,
Ile chmurek i tęczy,
Co tam psotek w tej główce,
Ile śmiechów, słodyczy,
Ten zgadnie, kto policzy,
Ile ziarek w makówce.
A więc zgaduj zgaduła,
Co też myśli nieboże?
Niezabudka ją może
Jakimś smutkiem osnuła;
Kwiaty mają uroki,
Mowę mają ich prątki,

Szczęście mknie jak obłoki,
Jako błękit pamiątki.

Hanka stoi milcząca,
Miesiąc promyki sieje,
Patrzy w oczy miesiąca,
Z miesiąca się nie śmieje.
Tam znowu gwiazdka cicha,
Na niebiosach się miga,
A Hanka tylko wzdycha,
Gwiazdeczki nie prześciga.

W oczach jej błyszczą łezki,
W sercu smutek z tęsknotą,
Czyż przeszłość szczero-złotą
Obudził kwiat niebieski?

Hanka nie ma przeszłości,
Dzień dnia jakby był cieniem,
Więc pamiątek zazdrości,
I wzdycha za wspomnieniem.

Kwiat mówi: „Nie zapomnij".
Boleść serce jej wzdyma,
I czegóż nie zapomnieć,
Gdy zapomnieć nic nie ma!

Antoni Czajkowski.

ŻÓRAWIE I BOCIANY.

Szczęśliwi posłowie! powietrzni żeglarze!
Powiedzcie? kto lecieć w narody wam każe
Z tą wieścią pogody i ciepłej już rosy?
I czemu dla świata tak miłe te głosy?

Kto was do tej drogi i pieśni tak uczy?
I co to się w duszy i budzi i sieje,
Gdy łańcuch żórawi w niebiesiech zakruczy,
Że serce tak bije i oko młodnieje?

Bo każdy was śledzi i każdy was wita,
I każdy poznaje na niebie po wrzawie,
I nieba i serca o wieści się pyta:
„Hej! lecą i kruczą! Żórawie! Żórawie!"

A całe już lato nie słychać żórawia —
Lecz bocian się pora nad strzechą klekotem,
I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia,
I sioło okrąża stróżliwym swym lotem.

I żóraw obudził, a bocian weselił...
I zbiegło tak lato, jak z bicza wystrzelił...

Wiatr powiał po ścierni. — „Na Spasa, na Spasa,
Bociany do cieplic, a bąki do lasa".
I każdy się cicho ogląda na ściany,
I westchnie boleśnie: już lecą bociany"!...

Wincenty Pol.

BRZÓZKA.

Ziarnkiem wietrzyk niósł mię szparko,
Gdy wysłała matka miła;
Pulchna ziemia moje ziarnko,
Do swej piersi przytuliła.

Rosa, łezka Bożej Matki,
Polewała mię rzęsiście;
Lube słonko, malarz rzadki,
Ubarwiło moje liście.

Wytrysł pręcik biały, hoży,
Jako dziewczę wiotkie, młode,
Sam Bóg Ojciec, sam Duch Boży
Błogosławił na urodę.

Drugim do mnie ani śni się,
Takam raźna, Boże miły!
Lecz słowiki zalotnisie,
Marzyć, marzyć nauczyły.

Na gałązce, ptaszka mała,
Zwiła gniazdko swe sikora,
I gadała, szczebiotała,
Że pokochać pora... pora!

Długo stałam zadumana,
Aż gałązki mi obwisły...
Czekam swatów od młodziana,
Od lubego z ponad Wisły...

Och! czekałam i ze smutku
Poglądałam w lustro Niemna!
Niemen mówił po cichutku:
„Zwabisz lubko, boś przyjemna.

Maj, pochlebca zieleniutki,
Rozczesywał mi warkocze,
I powiadał: „Marne smutki!
Jak nie widać, gościa zoczę!“

Przeminęły dni jak lata:
Mój kochany bujny, chyłki,
Przysłał ku mnie wiatra-swata,
Co mi przyniósł życia pyłki...

Uśmiechnęły się niebiosa:
Przy mych stopach dziatwa rośnie,
Moja dziatwa jasnowłosa,
Patrzy na mnie tak miłośnie!

Spoważniałam co się zowie!
Już rozumiem wyśmienicie:
Że co miłość w ziemskiej mowie,
To w niebieskiej znaczy życie.

Nigdy podłe dziecko ziemi,
Sowa, ku nam nie przylata...
Tylko człowiek mię rumieni,
Łamiąc rózgi chłostać — brata.

W. Korotyński.

DO MOICH DZIEWCZYNEK.

Dziewczynki moje! o moje kwiatki!
Z kolebki dziecka, od pieszczot matki,
Jak rączo biegną po życia drodze,
Ach! po tej samej z której ja schodzę!
Znam ją tak dobrze! znam każdy kamień,
I każdą ścieżkę błędnych omamień!
Wiem, gdzie jest cięższa, a gdzie wygodna,
Wiem, gdzie bezpieczna, a gdzie zawodna,
Mogłabym przestrzedz, powiedzieć tyle...
Stójcie dziewczynki! stójcie na chwilę!
Lecz między nami, jak świat od świata,
Daleka przestrzeń, bo długie lata —
I ludzie krzyczą, śpiewają, piszą,
Gdy ja zawołam, ach! czy dosłyszą?

Dziewczynki moje! tam gdzie biegniecie,
Wy pewnie piękność pochwycić chcecie.
Cacko, gwiazdeczka, kwiatek, piosneczka,
Tęczowe blaski, głośne poklaski.
Wioski spokojność, zbytków ozdoba,
Wszystko was nęci, co się podoba,
A za czém dążyć? co wybrać w świecie?
Co najpiękniejsze? to wy nie wiecie.
No, ja wam powiem dziewczynki moje!
Piękne są perły, djamenty, stroje,
Piękniejsza jednak woda w strumieniu,
I lilija polna w białém odzieniu —
A od lilii, od czystej wody,
Piękniejszą świeżość waszej urody;

A od piękności hożych dziewczynek,
Jeszcze piękniejszą łza użalenia,
Cicha modlitwa, święte natchnienia,
A najpiękniejszym — dobry uczynek.
Lecz wy daleko! Tam zaś, mój Boże!
Tam wielką piękność inaczej może
Ludzie ocenią, rozważą, zmierzą,
Gdy ja tak mówię, ach! czyż uwierzą?...

Dziewczynki moje! wy się trwożycie,
Bo o cierpieniu często słyszycie;
Więc chociaż jeszcze przed wami leży
Gościniec taki równy i świeży,
Wy po tém polu gładkiém, szerokiém,
Już ostrożniejszym stąpacie krokiem.
Śmiało dziewczynki! to strachy płonne,
Strachy pogańskie i zabobonne!
Ach! ja wam powiem: jest cierpień mnóstwo,
Piękna, lub chleba głodne ubóstwo;
I od ubóstwa gorsza choroba,
I od choroby gorsza żałoba,
I od żałoby, ach, gorsza strata
Żywych serc bratnich w kałużach świata.
I nad te straty, nad te cierpienia,
Najgorszy z wszystkich — wyrzut sumienia.
A jednak śmiało! dziewczynki moje,
Ja się niczego dla was nie boję.
Ja wiem, że tutaj z litości Pana,
Na każdą troskę pociecha dana.
Spokojna godność, wytrwałość z pracą,
Ubóstwo znoszą, lub też bogacą.
Przeciw chorobie, pomoc skuteczna,
Lub w śnie ostatnim jest ulga wieczna.
Dla tych, co płaczą w grubej żałobie,
Zmartwychwstałego jest krzyż na grobie, —

A za odstępcę, za przeniewiercę,
Za wszystko, co nas gorzko zawodzi,
Dość znaleść jedno szlachetne serce,
Jeden poczciwy stu złych nadgrodzi!
A za grzech własny? o! jest pokora!
Jest do poświęceń chęć bardziej skora,
Jest pobłażanie drugim cierpliwsze,
I są pokutne prace gorliwsze.
Bo tak już chciało mieć prawo Boże,
Że i grzech na coś przydać się może.
Tylko się nigdy nie przyda na nic
Dumnego serca pycha bez granic,
I kiedy wszystkie łzy, wszystkie grzechy
Zbiera i święci anioł pociechy,
Ten anioł we śnie nawet nie stanie
Przy takim, który kochać przestanie.
Toż baczność w drodze z tej tylko strony,
Gdzie samolubstwem szlak jest skrzywiony...
Lecz wy daleko! A tam znów ludzie
W smutku, w potrzebie, w boleści, w trudzie,
Zapewne inne rady im dają...
Gdy ja zawołam, czyż usłuchają?

Dziewczynki moje! wy się spieszycie, —
Każda z was myśli, że dalsze życie
Oddać jej musi, jak płatnik wierny
Ze skarbów świata procent niezmierny.
A starcy na to kiwają głową,
Dla starców szczęście, to kłamstwa słowo!
Lecz ja wam powiem, jest szczęście przecie,
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.
Szczęściem są wasze lata niewinne,
Wpół młodociane, a wpół dziecinne,
Bez doświadczenia; lecz bez kłopotów,
Czy chleb powszedni na jutro gotów?

Czy w zdrojach uciech nie wyschła woda?
Czy do wieczora wytrwa pogoda?

Błogosławione pierwsze dni wiosny!
Błogosławionyś wieku radosny!
Słowik ci kwili, wonieją drzewa,
O tobie Bogdan, poeta, śpiewa:
„Żeś sen na kwiatach, żeś sen nasz złoty,
„Żeś ideałem wiary i cnoty".
Lecz od tych marzeń, od tej swobody,
Jest większe szczęście, o wieku młody!
Jest większe szczęście — jest głos ponętny,
Głos cichy, miękki, a namiejętny,
Głos, co tak szczerze, jak Bogu w niebie,
Wymodli kiedyś: „Ja kocham Ciebie" —
A niż głos taki, niż ta zyskana,
Większém jest szczęściem miłość doznana.
Gdy własne serce silniej uderzy,
Gdy czuje, że mu cieplej i szerzej,
Że się w niém jakby ze snu zbudziły
Nowe zdolności i nowe siły...
A większem szczęściem od tej młodości,
Jest wielkie szczęście ludu całego;
Prawo Chrystusa w rzeczywistości;
Ze słowem Bożém, chleb dla każdego;
Z życiem na ziemi miejsce wśród tłumu;
Ze światłem słońca, światło rozumu;
Z pamięcią przodków, win odpuszczenie,
I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie!...

Dziewczynki moje! niech każda wierzy,
Że jej się takie szczęście należy;
Niech za niém goni, niechaj go szuka;
Piękność, cierpienie, radość, nauka,

To w pomoc tylko danem wam było,
Aby się takie szczęście ziściło.
Lecz wy daleko!...
Ach! tam inaczej
Może im szczęście kto wytłomaczy?
Może je złudzi inną nadzieją?
To, co im mówię, czyż zrozumieją?
O gdyby mogły!... Dziewczynki moje!...
Lecz ja daleko, daleko stoję...,
I jeszcze dalej smutna odchodzę, —
Szczęść Boże lepiej dziewczynek drodze!

Gabriella.

POŻEGNANIE SAMHORODKA.

Czyjeż oko zwrócić może
Zwiędły listek, spadły z drzewa,
Co z bezdroża na bezdroże
Błędny wietrzyk wciąż powiewa?
On sam jeden w różnym biegu,
Po szerokim błądzi świecie;
Nim i z tego wkrótce brzegu,
Na nurt fal, wicher zmiecie.
O szczęśliwi! wy w ostoi,
A mój żagiel w mgły zamroczu,
Wkrótce, wkrótce drodzy moi,
Wkrótce z waszych zniknie oczu.
I całuny łzy powloką
Przestrzeń, co mnie od was dzieli,
Myśl cierpiącą, łzawe oko,
Zwrócę ku wam od topieli.

I nie dojdzie tam źrenica,
I nie dojdzie serca bicie,
Tam, gdzie drogie wasze lica,
Tam, zkąd mię już nie ujrzycie.
Silni w duszę wlać gorycze,
A bezsilni, by je słodzić,
Zwróćcie od tych stron oblicze,
Bo cóż to was ma obchodzić,
Że łódź, co mię ztąd odniesie,
Krucha, wiotka, bez kotwicy,
Że przy każdym morza kresie,
Nie ma zorzy dla źrenicy,
Że nad głową burze ryczą,
A pod stopą drogi mylne,
Że zatruta pierś goryczą,
Że to serce wam przychylne,
Zapomnijcie — o! na wieki,
O tém wszystkiem do imienia!
Niech sam jeden, gdzieś daleki
Tęskni tułacz bez wspomnienia.
Bądźcie tylko wy szczęśliwi,
A ta pewność, ta myśl słodka,
Cierpiące serce ożywi,
Jako błogi duch pociechy,
Jako wdzięczne te oddechy,
Z pól odległych — z Samhorodka.

Maurycy Gosławski.

PIOSENKA.

Przez obłoki i przez chmury
Leci ptaszek jasno-pióry,
Ale dalej nie poleci,
Bo go ujmę w zdradne sieci —
Bo go ujmę, bo go schwytam,
O podróże się wypytam...
Gdzie był dotąd, gdzie przebywał?...
W jakich miejscach odpoczywał?
Czy w wąwozie, czy w parowie?
A gdy wszystko już wypowie
Znowu puszczę, by pod chmury
Poszedł bujać jasno-póry.

Aha! już cię trzymam w ręku,
Po co tyle płaczu, jęku?
Lepiej powiedz, z której strony
Jesteś tutaj sprowadzony?

Ptaszek.

Byłem w pięknej okolicy,
Przy gaiku, przy krynicy,
Zdala lasy się czerniły,
A przy lasach źródła były.

W te to miejsca, w te to strony
Chodził młodzian zasmucony
I przeklinał przeznaczeniu,
I przeklinał oddaleniu,
I płakał, że go od miłej
Srogie losy rozłączyły.

Ale puść mnie, w imię Boga,
Mnie rodzina czeka droga,
Puść, już wszystko powiedziałem,
Gdziem był dotąd, co widziałem!

Dziewczyna.

Jeszcze powiedz mi ptaszyno,
Czy w tych górach źródła płyną?
Jeszcze mów coś o drzew wieńcu,
O krynicy, o młodzieńcu.

Ptaszek.

Są tam źródła, są tam zdroje,
A przy każdym drzewek dwoje,
I przy każdej znów drzewinie,
Jest siedzenie na darninie.
Tam to niegdyś raniuteńko,
Razem ze mną, lub z jutrzenką,
Czy dzień piękny, czy dzień słotny,
Przebywał młodzian samotny.
Ręce na krzyż miał złożone,
Oczy w tę stronę zwrócone,
Gdzie bladawa twarz księżyca,
W północnej dobie przyświeca —
Ależ puść mię w imię Boga,
Mnie rodzina czeka droga,
Puść, już wszystko powiedziałem
Gdziem był dotąd, co widziałem.

Dziewczyna.

Oh! nie wszystko — mów mi więcej,
Proszę, błagam najgoręcej,
Powiedz, ptaszyno kochana,
Jaka jest postać młodziana?

Ptaszek.

Włos czarny po czole spływa,
Koral mu usta okrywa —
Oko niby ciemne z bliska
A jednakże ogniem błyska;
I raz, gdy go podniósł w górę,
Jakby chciał nim przebić chmurę,
Bo przelękły rozumiałem,
Ja w gałązki się schowałem,
Że na ziemi nie chcąc zostać,
Już przybiera orła postać —
Lecz po chwili zadumania,
Znów na ręce głowę skłania,
I jak polot błyskawicy,
Zmienia postać swej źrenicy.
Ależ puść mnie...
. . . .

Dziewczyna.

Choć twe słowa ptaszku miły,
Pierwszy smutek ukoiły,
Przecież niespokojność czuję...
Sama przeszłość cię zajmuje —
Mówisz, gdzie on dawniej bywał,
Gdzie on dawniej odpoczywał,
Ależ gdzie on teraz bywa?
Gdzie on teraz odpoczywa?

Ptaszek.

Teraz bywa w pięknym dworze
Blisko lasu, przy jeziorze —
Jest tam panna bez urody,
Lecz ma pola, wsie i grody;
Mówią, że w przyszłą niedzielę
Będzie z młodzieńcem w kościele,

A kiedy z kościoła wrócą,
Już się więcej nie porzucą.

I jeszcze ptaszyna mała
Kilka słów powiedzieć chciała,
Lecz rękę, co ją więziła,
Nagle siła opuściła —
Czując się wolną, wzleciała do góry
I między jasne wróciła chmury.

Gabriella.

WĄTPLIWOŚĆ.

Strumień mówi: „Nie rozumiem na co
„Muszę wiecznie z gór w doliny płynąć?
„Mój ruch ciągły próżną tylko pracą,
„Kiedy w morzu mam bez śladu zginąć“...
Na to kwiaty w dolinie rosnące:
„Ty się nie skarż, o dobry strumieniu,
„Twoje wody sączą życie łące,
„Są niezbędne naszemu istnieniu!“

Kwiaty mówią: „Dziwne nasze losy!
„Po co wonie rozsiewać z kielicha?
„Po co błyszczeć kropelkami rosy?
„Gdy z nas każdy tak szybko usycha“.
Na to dziewczę: „Dola wasza kwiaty,
„Jest podziwu godną i zazdrości,
„Waszym wdziękiem ożywiane światy,
„Sercom ludzkim niosą woń piękności“.

Dziewczę mówi: „Na co mi uroda?
„Na co w sercu słodkich wzruszeń tyle?
„Szkoda marzeń rozkosznych, ach szkoda!
„Wszystko zniknie jako sen za chwilę“.
Na to młodzian: „Szczęścia nikt nie mierzył
„Dnia długością, lecz tém co mu dano —
„Bóg ci skarby uczucia powierzył,
„Byś kochała i była kochaną“.

Młodzian mówi: „Ach w tym życia boju,
„Co wre ciągle przedemną i we mnie,
„Próżno szukam szczęścia i spokoju,
„Po co żyję? gdy walczę daremnie?“
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami oplotła mu szyję —
Wątpliwości jako śnieg stopniały,
I nie pytał więcej, po co żyje.

El...y.

IV.

Dziewczę mówi: „[illegible]
„Na co w sercu złudzeń, [illegible]
„Szkoda marzeń rozbujanych, ach szkoda!
„Wszystko zniknie jako mgła w chwili...
Na to młodzian: „Kochajmy, póki nie umrzemy!
„Dzień długi... [illegible] nam go było dano —
„Bóg w niebie, [illegible],
„Bez kochania i bycia kochanym.

Młodzieniec mówi: „Ach w tym życia boju,
„Co was ślepo prowadzimy i we mnie,
„Trzeba szukać szczęścia i spokoju,
„Po co żyję? gdy walczę daremnie?"
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami objęła go za szyję —
Wątpliwości jako [illegible]
I nie pytał więcej [illegible]

POŁUDNIE.

Samo południe! uroczysta chwila!
I duch na skrzydłach spoczął wyobraźni:
Czasem się listek jak do snu przechyla,
I blask barwiony źrenicę podraźni.
A w sinej przeźroczy,
Przez drżącego światła fale,
Słońce wspaniale,
Cicho się toczy.

Cicho się toczy ponad ciszą ziemi —
W pobliskich trawach brzęczy trel konika,
Ulotny wietrzyk, nad braćmi śpiącemi,
Przez czujne listki, z lekka się przemyka.
Tu zagrała mucha,
Tam słowicze pienie kona,
A w koło głucha
Wrzawa zmącona.

Wszystko, ach! wszystko pięknie gra dla duszy,
Ale ją ciągle coś niestrojne kłóci;
Kiedy mgła myśli świat cały oprószy,
Cóż ztąd, że słońce blask oka ocuci?

Na cóż te wśród nieba,
Te śród ziemi cudów roje,
Gdy komu trzeba
Mieć serce moje?

Ty, coś do wiecznej, harmonijnej zgody
Życia przyrody muzykę nastroił,
Ty, coś żyjące obrazy przyrody
Zgodnemi tęczy barwami napoił,
Objaw mi, o Boże,
Jak jedno dzieło twych ręku
Różnić się może
W tym zgodo-dźwięku!

Seweryn Goszczyński.

PTASZEK.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła,
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot im leje się z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie,
Lecz przestrogą pogardzą.

El...y.

DO TEOFILA JANUSZEWSKIEGO.

Z podróży po Wschodzie.

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu,
Ty pod strzechą własnego domu, w cień ogrodu,
Ja w nieznane uciekam krainy południa,
Przed ścigającą myślą i mrozami grudnia.
A gdy mi już na opak idą roku pory,
Gdy zima kwiatowemi ubrana kolory,
Ani po górach lekkim płatkiem śniegu sypie,
Ani w kryształ ubiera brzozy, ani skrzypie
Pod saniami wieśniaka, ani pod stodoły
Zgania wróble, ni smutno zielone jemioły,
Różami świegocących osypuje gilów
W kraju porzniętym wstążką jasną siedmiu Nilów,
Mógłbym o spokojnikach zapominać wiejskich,
Pijąc muł Etyopów, zamiast wód letejskich.
Lecz ja przeciwnie — wszystkie widziane obrazy
W myśl kładę, jak na wielkie zwierciadło bez skazy,

I chciałbym wam, gdy noc was zimowa zaskoczy,
Tem zwierciadłem Egiptu słońce rzucić w oczy.

Obłąkany nasz okręt zawołał o świcie:
Ziemia! I ziemia wyszła na morza błękicie,
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek.
Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanej fali...
A to był pałac wielki Mohameda — Ali;
Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Sterczą... to była Ali Mohameda flota.
Nad tym brzegiem, a z twarzą, jak ją widzę co dnia
Leżała niesplamiona purpura przedwschodnia;
Na niej stada gwiazdeczek bladego lazuru
I jedna tylko palma na prawo z marmuru
Otoczona rojami nie śpiących wiatraków.
W przezroczu nieba stada wędrujących ptaków,
Tak jak je ręka Boża w jeden łańcuch sprzęże,
Przedemną w czarne, długie, wiązały się węże...
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi
Smutne, obumarłemi południka śniegi
Zasypane, pod nieba sklepionego łuną,
Długą i rozciągniętą położone struną.
Z niej, jak z boskiego łuku, na niebieskie stropy,
Strzał słonecznych wiązane wypadały snopy.
Chciałbym się teraz zbliżyć teleskopu szkiełkiem
Do brzegu — spoić z tęczą kolorów i zgiełkiem.
Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem,
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię w krótce dusząca opanuje sytość,
I szukasz znużonemi oczyma błękitu,
Lecz! próżno! bo dom szczytem przyrasta do szczytu,
Bo ledwo się oglądniesz, zaraz ciebie horda
Oślarzy za złotego zwąchała milorda

I osiołkami drogę zwężoną przegradza —
Chwyta — piastuje — z ziemi podnosi i sadza
Na szybkolotnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż biegnąc pod złotego orła cię zapędzi.
Szczęśliwy, kto tak gnany, pod rozsądek ścisły,
Oczy poda i wszystkie razem zwiąże zmysły!
Nieszczęsny, kto na boczne bramy się ogląda!
Schyl głowy!... osioł wleciał pod juki wielbłąda...
Patrzysz... nad tobą arka tłomoków i skrzyni —
Rozbiłeś się na lądzie — a okręt w pustyni
Popłynął. I znów idzie całunem nakryta,
Jakaś trumna, szeroka, czarna — to kobieta!
Płaszczami rozszerzona na całą ulicę,
Z oczami błyszczącemi jako dwie gromnice.
Przez dwa białe otwory, z jedwabiu szelestem,
Biegnąca... zda się tobie, że pyta: kto jestem?
W łokciach ufaj, jak ryba pływająca w skrzelach,
Rozpychaj tłum — błękitny ustępuje fellach.
Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wyprężona przy murach staje Egipcjanka,
Podobna Kariatydzie w ścianie wmurowanej:
Jej koszula, posłuszna piersi z bronzu lanej,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.
Tu europejski ubiór, wielki równacz stanów,
Dalej żebrzące stado postaci bocianów
Goni za tobą, prośbą grzechocząca klaszcze
Czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze.
Ledwoś wyrobił w tłumie ulicowym szczerby,
Ledwoś dopadł do bramy: przy bramie, jak herby,
Żywe wielbłądy okiem przerastając kratę
Wodą w skórzanych workach zamkniętą skrzydlate,
Stają ci się przed progiem domowym zagrodą,
Odstraszając sączącą się przez skóry wodą.

Nim się myślą o wiekach ubiegłych zasępię,
Bawi mię to, co widzę i słyszę na wstępie;
Dziś ludzi, kolorami w rozkwiecone klomby,
Jutro ujrzę pomniki — trumny — katakomby —
Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków,
Od Egipcjan przez Rzymian podbitych i Greków.
Dosyć już... dziś znużony arabskiemi gwary,
Siądę w oknie i będę patrzał na port stary
Wielkiego Aleksandra, gdzie się jeszcze trzyma
Latarnia morska, świecąc puszczyków oczyma.

Juliusz Słowacki.

GARŚĆ PSZENNA.

Gawęda ludowa.

I.

Stary Szczepan, wójt od wieka,
Był jedynym wójtem w świecie,
A takiego jak on człeka
I ze świecą nie znajdziecie.
Głowa tęga, dusza prawa,
Tak za swoją stał gromadę,
Że najkrętsza przyjdzie sprawa,
On najlepszą dawał radę;
I co w świecie rzecz nieznana,
Lub należy do rzadkości,
Że lubiony był od pana
I lubiony w całej włości,

Tak wszystkiemu czyniąc zadość,
Był jak ojcem swojej wioski;
Ale starość, to nie radość,
Przyszedł w końcu wiek dziadoski,
Już o kiju suwa kroki,
Oko blaskiem już nie pała,
W plecach urósł garb szeroki,
Mądra broda pobielała.
Więc przed swemi tak się biedzi:
„Czas odpocząć mi nareszcie!
„Rada w radę — i sąsiedzi,
„Już innego wójta weźcie!
„Moja głowa trzech nie zliczy,
„Bo zwyczajnie stara, siwa“.
A gromada jak zakrzyczy:
— „Dolaż nasza nieszczęśliwa!
„Cóż to waści, panie bracie!
„Przykro ojczyć w swej chudobie?
„Czy nam zguby pożądacie?
„Z taką mową idźcie sobie!
„A dopóki ręka Boska
„Trzyma waści w równej mierze,
„Póty cała nasza wioska
„Wójta sobie nie wybierze“.

W prośby, w groźby on i oni;
Rzeczy wzięły rzewną postać,
I dowiedli jak na dłoni,
Że on wójtem musi zostać.
Lecz starości gdy dogonim,
Życie ludzkie jak na włosku:
Więc im radził po ojcowsku,
By następcę wybrać po nim,
Bo się potém swar obudzi,

I obraza Pana Boga.
— „Na to zgoda“ — zawołali —
„Szczepan mówi święte słowa!
„Ale na co szukać dalej?
„Jest tu dziatwa Szczepanowa.
„Ma trzech synów — dzielne chłopcy,
„Każdy wart być na urzędzie,
„Im wioskowy ład nie obcy,
„Ale który??“ Ot i spory...
Już się teraz poważnili:
Jeden mówi, że Hrehory,
Drugi mówi, że Wasili,
Insi znowu z włości grona
Piszą karby na Szymona.
Ojciec widzi, że mozoła,
Że do gwarnej przyjdzie zwady;
Siwe włosy zgarnął z czoła
I tak mówi do gromady:
— „Jest tu lepszych gospodarzy,
„I w wyborze ciężka bieda,
„Lecz jeżeli wam się marzy,
„Że się który syn mój przyda,
„Wasza łaska w tém widocznie.
„Lecz do wójta droga długa!
„Nim gromadzie służyć pocznie,
„Niech pokaże, co zasługa.
„Ot, widzicie! właśnie pora,
„Poznać, jakie w którym czyny:
„Pan na wiosnę śle Hrehora
„Do Królewca na wiciny;
„Wasil rusza w pańskiej sprawie,
„Aż w Krakowskie panie bracie!
„Szymon został przy mnie w chacie,
„W Ukrainę ślę Szymona,

„Niechaj soli nam przystawi,
„Bo w miasteczku nazbyt droga.
„Wiem, że każdy z nich się sprawi,
„W tém już łaska Pana Boga;
„Ale który z cudzej strony
„Większą korzyść nam przyniesie,
„Będzie wójtem postawiony,
„Będzie ojczyć w naszej strzesie.
„Za rok może o tej porze
„Bóg mi życia nie odbierze,
„Wszystkich trzech zbadamy szczerze,
„Nie omylim się w wyborze!“
I gromada w serce bierze
Pana wójta złote słowa.
Nie wiesz, dziatwo Szczepanowa,
Żeć gromadzkie oko strzeże!

II.

Jak raz za rok tejże pory
Już z Królewca statki płyną
I najstarszy syn Hrehory
Już powrócił z swą wiciną.
I zebrała się gromada,
Dano miodu, dano piwa;
I Hrehory opowiada
Troje cudów, troje dziwa:
Jaki byt u Niemców miły,
Jaki przepych niesłychany,
A najbardziej mu się wbiły
Kapelusze i kaftany.
— „Co tu mówić o siermiędze?
„Krój dziwaczny, niesłychany,
„Zaraz po niej znaczno nędze!
„Skrójmyż świty na kaftany;

„A słomiane kapelusze
„Pańszczyźniany ubiór chłopa!
„Już u Niemców, przyznać muszę,
„Zaraz znaczna Europa!“
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie
I z westchnieniem rzekł do siebie:
— „Ten nie będzie wójtem po mnie!“

III.

Wraca Wasil z pod Krakowa,
Opowiada tonem zucha,
A gromada wszystkie słowa
Najuważniej zdala słucha.
— „Co to!“ — mówi — „mowa jaka!
„Proszę pana, jakie pieśnie!
„Każdy nuci Krakowiaka,
„Gdy my piejem tak boleśnie.
„Gdzież tu piosnka brzmi swobodniej?
„Każde słowo, każda nóta,
„Tak goryczy łzą zatruta,
„Że aż echo wzdycha od niej!
„Wiecie, bracia, co poradzę,
„Rzućmy nasze piosnki stare,
„W Krakowiaka tańczmy miarę,
„A ja rej wam poprowadzę“.
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie
I z westchnieniem rzekł do siebie:
— „Ten nie będzie wójtem po mnie!“

IV.

Wraca Szymon z Ukrainy,
Opowiada dziwne dziwy;
Lecz ze swymi tak szczęśliwy!
Ukraińca nie znać z miny.
— „Dobrze“ — mówi — „w tamtej stronie,
„Milę dojrzy, choćby ślepy,
„Ciągłe stepy, ciągłe stepy,
„Niedojrzane okiem błonie!
„A jak spojrzy w kraj daleki,
„Aż zatęskni się wędrowiec,
„Do swych sosen, do swej rzeki,
„Do swych wzgórków, gdzie jałowiec;
„Że chociażby w Ukrainie
„Nasypano góry złota,
„Popędziłaby tęsknota
„Do swej wioski — ku rodzinie.
„Jedna tylko rzecz nielada,
„Czego sobie ztamtąd życzę,
„To pszenica! z niebem gada!
„A kłosiska gdyby bicze!
„Więc tamecznych plonów cuda
„Uzbierałem mieszek spory;
„Ej! sprobujmy! nuż się uda
„Ukraińskie mieć nam zbiory!
„A każdemu z was, sąsiedzi,
„Dam po garści na początku...“
Ojciec słuchał w swym zakątku,
Westchnął, zamiast odpowiedzi;
W tém westchnieniu zamiast słowa
Wrzała chlubna myśl wójtowa.
Myśl ojcowska — znać ją z twarzy:
Syn mej wiosce korzyść zdarzy.

V.

I zawołał z uniesieniem:
— „Z głupich ust nowina!
„Kto niemieckiem chce odzieniem
„Pokryć ciało Słowianina!
„Kto ku obcym skłonił duszę,
„O pilścianej czapce marzy,
„Kto słomiane kapelusze
„Znalazł sobie nie do twarzy,
„W obce stroje niech się stroi,
„Niechaj zdrów zakrywa oczy.
„Latem czoło skwar uznoi
„A w jesieni deszcz przemoczy!
„Głupi! jeszcze więcej głupi,
„Kto rozumie, że szczęśliwy,
„Że swojskiego ducha skupi
„W jakiejś piosnce z cudzej niwy!
„Komu w wzgardzie grunt ojcowski,
„Kto ku cudzym rzeczom skory!
„Nie przyniosą nic dla wioski,
„Ni Wasili, ni Hrehory!
„Lecz kto w obcej będąc ziemi,
„Miał ku swoim chęć nie marną,
„Kto przeniczne zebrał ziarno,
„By je krzewić między swemi,
„Kto o świecie mówi skromnie,
„Kto zatęsknił po swej stronie, —
„Ten zostanie wójtem po mnie;
„Będziesz wójtem ty Szymonie!“
A gromada ze słów rada,
Daje okrzyk, bije w dłonie,
Plon z pszenicy przepowiada:
Będziesz wójtem, ty Szymonie!

Władysław Syrokomla.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO POLOM.

Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi,
„I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi;
„Pierwiosnek ubrał łąki—jabłoń kwiat rumiany:
„O ślicznýś, nad dziewicę, kraju mój kochany!“
Takąć piosnkę jaskółka, witając cię śpiewa,
Tak ci bocian klekoce — tak ci szumią drzewa;
Takąć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie:
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie!...
Że nucąc znalazł czasem pociechę w tej nucie;
„Że płacząc nie nad sobą, wzrosł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twej grzędzie:
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.
I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów,
Śniąc o jodłowych puszczach i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiej ziemi,
Bo je kocha — bo dumny — bo się szczyci niemi.
Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa,
Ni pod jesiennem słońcem winogron dojrzewa;
Zkądże nad skarb Ofiru — nad cedry Libanu,
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łanu?
Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu,
Wypędził pierwszych ludzi na ten padoł głodu,
Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem — chleba.
Jak fale kołysane od morza do morza,
Łany złotej pszenicy — i żelazne wzgórza;
Ciemne jodłowe lasy — i zielone błonie,
Po którem dzwonią trzody i hasają konie;

Roje ciągnące słodkie soki dzięcieliny:
Otóż święta puścizna — skarb naszej dziedziny;
Polsko! pierwiastki pól twych, jak Abla niewinne;
A więc wam błogosławię, pola me rodzinne!
Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty;
I lato, które kłosom daje plon bogaty;
Jesień, która purpurą odziewa ogrody
I zima, która wasze otula zarody!
Błogosławię po trzykroć tobie; światło dzienne;
Tobie, księżycu blady — i wam mgły jesienne;
Wam, słodkie dżdże: majowe z ranną rosą społy,
Wam, wszystkie farby życia i woni żywioły.
O! i ty też poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.
Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce,
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.
Gdybym mógł orlem skrzydłem wzbić się pod obłoki
Gdybym mógł zbadać przyszłość otoczoną mrokiem,
Najprzód wam, nizkie sioła z słomianemi strzechy,
Głosiłbym jak skowronek rzewną pieśń pociechy.
Błogosławieni bowiem na wieki śpiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy,
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby,
Więc i wam błogosławię, o piewcy żałoby!
Błogosławię... lecz zkądże taka zmiana w nucie?...
Rwie słowa — mąci myśli rozgorzałe czucie;
Dźwięk ostatni, dźwięk tęskny zdobędę na strónach:
Błogosławię tym, którzy śpią na tych zagonach!
A ty drobna ptaszyno! co się w górę wznosisz,
I jakąś smętną piosnkę nad mogiły głosisz,
Zamilknij, zbierz twe siły i pod niebios progiem,
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem!

Jan Nepomucen Jaśkowski.

SZULAK.

Opowiadanie nadwornego kozaka.

Wyjątek ze *„Starosty Kaniowskiego“*.

Jeszczem nie umiał krzyża na piersiach położyć,
A już umiałem moją szablę na krzyż złożyć.
Nudno mi było doma, na stepie wesoło:
Na stepie orły grają i wichry tańcują,
Orły, wichry, o starej sławie wyśpiewują;
I koń na stepie raźniej w górę niesie czoło,
I skacze przez mogiły, kędy rosną kwiaty,
Niby dusze tych, co tam spoczęli przed laty.
Nigdy się hajdamaka w jarze nie wysiedział,
Wicher mi o nim doniósł, a i wilk powiedział;
I kiedy wsi i grody we śnie głuchym spały,
W koło mnie grzmiała szabla i kule świstały.
Niechaj śpią, pomyślałem, nastaną te czasy,
Gdy mi nie będzie wolno z wrogiem iść w zapasy,
Gdy zima włos pobieli i poradli skronie,
Jak ja dziś, drudzy w mojej wyskoczą obronie...

Gdzie się tabor zaczajał, tam pierwszy goniłem,
Nim przetarł wązkie oczy, swoje wyrzekł słowa,
Koń jego dzwonił trzęzlą, w trokach jego głowa.
Od kniei Lebedyńskiej do Taśminy wody,
Dwanaście wielkich czajek snuło się tam wprzódy.
Zebrawszy swych mołodców stanąłem przed niemi,
Trzy dni szable dzwoniły, a o czwartym świcie
Wilki ich białe ciała włóczyli po ziemi,
Kruki się zlatywały; my we krwi sowicie

Szable obmywszy, szliśmy wykrzykując ura!
A od nas wilk uciekał, kruk nastrzępiał pióra.
O czemużem w tych kniejach głowy nie położył?
Spokojne moje oczy w mogileby spały,
Dni nad niemi jak białe chorągwie leciały,
A noce jak te kruki gdy je strzał potrwożył;
W głowach rosła kalina, ptaszki do kaliny
Zlatując, nosiłyby wieści od rodziny!

Aleksander Groza

KOŚCIOŁEK WIEJSKI.

Nad wiejską drogą zawisnął skowronek,
Na mszę poranną woła mały dzwonek,
Jakaś zagroda, plebanija i szkółka,
I stare drzewa do koła kościółka.
Odgłos organów miesza się do dzwonka...
Do matki Boskiej kończy się koronka.
A jak do ula ciągnie z pola pszczoła,
Rzeszka się ludzi zbiera do kościoła.

Kruchta z gotycka, ostra wysklepiona,
I nadgrobkami widzę ozdobiona...
Jakieś poważne i wierne postacie
Dają świadectwa, tu czasom ubiegłym,
Żywo mówiące choć w kamiennej szacie,
Więc cześć niech będzie tu w Panu poległym.

Po prawej ręce fundator kościoła
Legł, na grobowcu, a od jego czoła,

Świeci i męztwo i ta bojaźń Boga,
Otóż tu złożon u pańskiego proga.
Znać, że za cnotą żywocił w przymierzu,
Bułat u prawicy, a piersi w pancerzu.
Poważnie spoczął — klejnot koło zbroi,
Krucyfiks w głowach, niżej napis stoi:
„Powstanę Panu! gdy mnie będziesz budził,
„Na powrót spocząć, bom się bardzo strudził“.
Jakąż to pracę miałeś za żywota.
Pytam napisu a napis powiada:

Z królem Stefanem wiodła mnie ochota,
A wierna była i ręku i rada...

Po drugiej stronie poważna matrona,
W stroju zakonnym, to rycerza żona —
Także z szwedzkiego wykuta marmuru,
Uklękła z dziatwą do jednego chóru:
Za nią trzy córy i synów dziesięciu...
Córy pokornie w modlitwie złożone
A syny szablę wynieśli ku cięciu,
Bo znać gotowi na wiary obronę.

Święconą wodę podano u progu,
Robię znak krzyża, a chwała bądź Bogu,
Wchodzę: na przodzie klęczą rzędem dziatki,
Z książkami, modlą się... za nimi matki,
W ławeczkach siedzi, coś z waszecia sznurem —
A starzy kmiecie zasiedli pod chórem.

W kościołku strojno, i lubo jak w raju,
Bo pełno kwiatów i świeżego maju.
Stara chrzcielnica stoi na uboczy,
W ołtarzu obraz najświętszej Panienki
Ciemnem się licem z pod zasłony mroczy,
A błyszczą tylko złociste sukienki:

U stóp złożone z świeżych kwiatów wianki,
A jakie piękne, kosztowne firanki;
A to pas słucki dał ktoś na ofiarę,
Co miał poczciwą po staremu wiarę.
Mój miły Boże! gdy we wzorach czytam
Tych litych pasów — to chłopięce lata
Stoją mi w myśli — i sam siebie pytam,
Za co to poszło tym pasom ze świata?

Tak zubożało wszystko w starym domu,
Że w złocie chodzić nie ma już dziś komu;
Jednak pociecha przejmuje to serce,
Że co poczciwe, nie jest w poniewierce.
I Bóg nagrodził: bo to u tych pasów
Wisiała szabla, co za dawnych czasów
Broniła wiary.
Dziś jak na wspomnienie
Tylko już kapłan lity pas przywdziewa
Na wielkie święto — kiedy wystawienie
Przenajświętszego Sakramentu bywa...
I to po swojej poświęcanej szacie,
Piastując Boga w jego majestacie.
A kiedy duszę taki widok chwyta,
To nieraz serce z żałością się pyta:
Co się to stało? a czemu to, czemu?
Poczciwe światu nie jest po staremu?

Po suplikacyjach z wiejskiego kościółka
Lud się rozbieżał w pola niby pszczółka.
A jam się błąkał jeszcze koło chóru,
I przyłożyłem serce do marmuru,
Bo kiedy boleść, gdy życie zawodzi,
Marmur grobowców jako balsam chłodzi.

Wincenty Pol.

CHATA POD PUSZCZĄ.

Pies ruszył sarnę, dalejże za tropem,
Ale pociecha była bardzo krótka,
Bo po trzech susach była za okopem,
I do małego wskoczyła ogródka.

Patrzę z okopu, gdzie to pies pogonił?
A tu przedemną i domek i sadek
I po podwórku nawija się dziadek,
I od napadu sarneczkę obronił.

Krzyknąłem na psa, bo widzę chowana,
Otóż przepraszam za mego sułtana.
A starzec rzucił na mnie wzrok ukosem,
I coś gniewliwie zazrzędził pod nosem.

Co to za dziadek co sarneczkę chowa,
I w takim domku, o kraj puszczy mieszka?
Postać poważna choć trochę surowa,
Myślałem sobie... i patrzę gdzie ścieszka.

Lecz go nie było, gdym w podwórko wstąpił,
Poszedł do domku jakg dyby nie wiedział,
Że gość za progiem... i długo tam siedział,
A gdy powrócił, bardzo słowy skąpił.

Pragnąłem sercem przeszłość starca zbadać,
Ale on niechciał ze mną się rozgadać,
A gdym o nocleg prośbę doń zanosił,
To nie odmówił, ale też nie prosił.

Wszedłem do izby; izdebka uboga,
Ale nie pusta, rządna i chędoga,
Nad drzwiami półka, kilka książek stoi,
Więc patrzę jakie? a to wszyscy moi!

Skarga, Brodziński i Piotr Kochanowski,
I Pismo święte, i Zielniki nowe
Tomasz a Kempis, ba i Homer boski,
I dziejów Polskich, księgi Długoszowe.

Nie darmo starzec, widzę, przeżył lata,
Wiedział, co zabrać na puszczę ze świata.
O nie zły wybór! i z takim zapasem
Ktoby miał dodać jeszcze własne dzieje,
Można już siedzieć samotnie pod lasem
I nie dbać o to, zkąd w świecie wiatr wieje.

Wieczór był chłodny, a więc przy kominku,
Gdy jeszcze nie czas było do spoczynku,
Siedliśmy obaj — i dziadek dokładał,
A paląc lulkę, z wolna się rozgadał.

Znać był wojskowym, bo znał dzieje kraju,
Że szlachcic z rodu znać po obyczaju,
Postać szlachetna, choć trochę surowa,
Lecz proste, czułe były jego słowa.

Gdym go nareszcie bez urazy badał,
Co go na puszczę samotną wywiodło?
Coś go boleśnie na chwilę ubodło
I tak mi swoje losy opowiadał.

„Nie stało pracy, fortuny i zdania,
Wyszły mi cnoty i prawdy bez czasu

I nic nie miałem już ludziom do dania,
Tom się i zabrał nareszcie do lasu".

„Tutaj cienisto pod temi konary,
Więc jest ochłoda, spokój i ochrona...
Szczęścia nie było i niema u łona,
Ale tu łatwiej powrócić do wiary".

„Łatwiej zapomnieć i złe i kochane,
Łatwiej przebaczyć i drugim i sobie...
A chociaż cisza nie zagoi ranę,
Tu choć zły człowiek nie bluźni na grobie".

„W świecie nie było czém pokrzepić ducha,
To téż wywiała wszystko zawierucha;
Cóż będę mówił, com doznał, com stracił...
Dość, żem się rozstał, gdym wszystko zapłacił".

„Dzisiaj od świata odcięty, daleki,
Chciałbym jedynie ratować już duszę...
Są tutaj zioła — to i zbieram leki,
Świat mnie poranił, to go leczyć muszę".

„Jest tu las różny, to i zbieram grzyby,
Jest blisko Wisła, to chodzę na ryby,
Jest i wiklina, to koszyki plotę,
A często trzeba ratować prostotę".

Pytałem starca, gdy Bóg dobrą wolę —
I po nieszczęściach daje jeszcze w borze,
„Czyby nie lepiej zajść na Bożą rolę,
Czyby nie lepiej zamieszkać w klasztorze?"

Lecz starzec widać był innego zdania:
„Ja do klasztoru nie mam powołania,

Kocham samotne bez pociechy dusznej,
I jam zaledwie jest Bogu posłuszny!“

„Nie lubię murów, bom się w zamku rodził,
Bom niepotrzebnie w murach do szkół chodził,
Bom nieszczęśliwie po twierdzach wojował
I co najdroższe, tom w murach pochował“.

To rzekłszy, powstał, drew trochę dorzucił,
Cmoknął na sarnę, i zniknął gdzieś w borze...
A gdym wychodząc witał ranne zorze,
Starzec do domku jeszcze nie powrócił.

Wincenty Pol.

TATRY.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Po nad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny, a Łomnica
Świeci naszej ziemi do dnia,
Nad Tatrami jak pochodnia,
A na pełni jak gromnica.

Każda skała z tobą gada
Wiatr, co w równiach ledwie wieje,
Z nóg tam ścina — deszcz co pada,
To już w turniach śniegiem sieje,

A powyżej... wyżej jeszcze,
Pływa sobie orle wieszcze,
Co wyleci i zawiśnie,
Na błękicie bez obłoku,
Widne z tamtąd jego oku,
Nasze puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy,
I węgierskich gór winnice.

Czeladź górska też nie podła,
Lud wysmukły niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki i jak pręt gibki;
Wiecznie niby dziarski młodzian ,
Strój ma lekko ukasany,
Topór jasno nabijany,
A sam wszystek wełną odzian.
Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy niż lud w dołach,

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi;
Gdy opędzi ziemię snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
I do kosy jaki sławny,

Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza.

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha:
Ale w górach ledwie taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na świątki, na zielone
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy,
Stary Baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi,
Każdy potok i manowiec.

Wincenty Pol.

DO WISŁY.

Nasza się Wisła ukochana toczy,
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży,
A nad nią owdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.

A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słychać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały,
O swej starości, o spruchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze;
Bo one młodość z Wisłą przeigraiły,
I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoło w zieloności szatę.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy,
Pławią w jej nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała —
Nad nurtem, wielkie konary rozwiała;
To nie Włoch smukły, co liść swój podkasa,
Ale brat szlachcic do korda, do pasa,
Pień swój szeroki podnosi zuchwale,
Macha rękami, z kiściatego wąsa
I z swojej czapki powiewnej wytrząsa
Garście zieleni na wiślane fale.
Ty płyniesz, Wisło! a jak kapłan stary,
Zamek krakowski chrzci cię swym obrazem;
Kapłan to siwy, ale młodej wiary,
Pełen zniszczenia i wielkości razem!
On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
Świętym kryzmatem pamiątek namaści.
Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona,
Płyniesz spokojnie, płyniesz niespłoszona,
I coraz szersza, coraz więcej pańska,
Spieszysz do niegdyś lennego ci Gdańska:
A pod Krakowem, na długim galarze
Gwarzą i kurzą fajczyska węglarze.

Po bokach węgiel w ośmiu kupkach leży,
We środku budka, u rudla flis czuwa,
Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
On ją z fantazyą na bakier nasuwa,
Zwija koszuli rękawy bufiaste,
I szarawary poprawia pasiaste;
Ma kaftan długi z czerwoném podbiciem,
A twarz z wąsikiem, rumieńcem i życiem.
W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
Na niej, jak w własnej chacie, gospodarzy,
I wiezie śmiało dzielny flis krakowski
Węgiel brzęczkowski, albo laryszowski.
Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze,
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
I cynk srebrzysty, i sól i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały.
Niesiesz, gdy zechcesz, a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka żaglami swawoli,
Lub galar wiosłem twoje fale liźnie;
Ty nie chcesz, muszą stanąć na mieliźnie.
Ty zechcesz, płyną, a widnokrąg cały
Zda się ucieka i chowa i znika,
I tylko czasem plusną twoje wały
Pletwą szczupaka, wód twych rozbójnika,
Lub wir je zmąci, a na dnach łożyska
Igrają chmury i słońce rozbłyska.
Ptaszki świegocą w nadbrzeźnej wiklinie,
U góry bocian rozciągnięty płynie,
A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
A gdy cię, Wisło, ścisną zimne lody,
Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
Na której słońce maluje swe lica,
Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem
Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,

Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem.
I kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
Zalewasz pola i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
Powalasz domy i na twojej fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali;
A potém znowu wracasz w twe ukrycie,
I cicho płyniesz w odwieczném korycie.
W starém korycie, o rodzinna rzeko!
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;
Niech na twych błoniach tak pełnych tęsknoty,
Bóg litościwy da urodzaj złoty;
Wtedy twe fale pokrają na pręgi,
Niosące zboże, ładowne komięgi,
A flis krakowski, twój przyjaciel stary
Kupi ci suknią za gdańskie talary.

Antoni Czajkowski.

DO GOPŁA.

Ziemicą Piasta, szeroko rozlane,
Witaj nam, witaj Gopło Kujawiane!
Jak tło przeszłości fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu, głębie twe tajemne!...

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?

Czy się korabie po twych falach pławią?
Czy słuchasz modłów pobożnych żeglarzy?
Czy wiosna pieśnią wita się żurawią?
Czy orzeł jeszcze nad tobą się waży?

„Dawno, już dawno po mojej tu wodzie,
Nie chodzę więcej te ładowne łodzie
Nie słyszę modłów — nie widzę żórawi...
Ani się orzeł po powietrzu pławi...
Ale się niebo przeziera w mej fali,
A czasem gwiazda nad nią się użali".

Wincenty Pol.

DO NIEMNA.

Powiedz mi, Niemnie! puszcz obywatelu,
Które ci strony twych porzeczy miłe?
Któreś ukochał z tych zabrzeży wielu?
Czy leśne łąki i puszcze zawiłe?
Czy piękne skały, kędy płyniesz kręto,
Gdzie twe zabrzeża strojne jak na święto,
Wdzięcznie się sklepią gajmi lipowemi,
I miło szumią wodami leśnemi!

Czyliś ukochał może te powiaty,
Gdzie, jak Kniaź Litwy władny i bogaty,
I nie ujęty w obcy woli karby,
Na morze niesiesz starej Litwy skarby?
— Pytasz? czy sądzisz, że ja nie mam serca,
Kiedy się z sercem po mych brzegach rodzą?
Miłać woń wprawdzie leśnego kobierca,
Lubię szum puszczy, gdy nią wiatry wodzą.

Lubię zakręty skalistych ustroni,
I woń miodową, którą lipa roni;
Ale najcudniej świat mi się układa
Gdzie droga Wilija w me ramiona pada,
I najwdzięczniejsza Kowieńska dolina,
W całém dziedzictwie kniazia Gedymina...
Bo jak kobierzec ślubny się rozściela,
I wiecznie świadkiem naszego wesela.

Wincenty Pol.

DO DNIESTRU.

Jakby się Panu wystroił na święto!
W skalistym jarze Dniestr posunął kręto..
I od gór sinych aż po Czarne morze
Słynie po świecie szumne jego łoże.

I wzbił się orzeł w stepach Akermanu
I pyta Dniestru: „Co to niesiesz Panu?
I coś to widział Dniestrze w twoim biegu?
I co się dzieje po oboim brzegu?“

— „Górskie potoki szumią w górach wiosną
I stare buki nad przepaścią rosną —
Dalej się pasą w błoniach siwe stada
I w jar skalisty Podole opada
I nagie ścianki świecą z po za sadu
I pnie się w słońcu rószczka winogradu,
I stare grody świadczą starej sławie.
Lecz kiedym znalazł w nurtach stare szlaki,

Kości rycerzy i z krzyżem szyszaki,
I kiedym orły ujrzał przy Ładawie,
Tom się tak bardzo w mém biegu zasmucił,
Żem się na przepaść na porohach rzucił,
I nie pocieszon nawet ziemią żyzną,
Ślęczę ku morzu i konam mielizną".

Wincenty Pol.

RZEKI WPADAJĄCE DO WISŁY.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie,
Wisława w srebrny uderzyła dzwonek,
Ażeby zwołać pod szklany przysionek
Swoje lennicze bogi i boginie.
Wielki szum powstał w górach i dolinie;
Dążą lennicze bogi i boginie.
Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik w swej białej czamarce,
Z tysiacem pstrągów, dzwoniących u pasa,
P r ą d n i k jak rzeźki Krakowiaczek hasa.
Młodziuchna N i d a, podobna kwiaciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.
Biegną D u n a j c e, dwaj bracia górale,
Z okiem myśliwskim i zwinnością gończą;
Jeden z nich w B i a ł e okręca się fale,
Drugi się Czarną owinął opończą.
Za niemi lekko idzie modro-oka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca W i s ł o k a.

A teraz patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgoce lasy i przebija skały.
Po jego falach echa Karpat idą.
Tanew', ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszcz szumnych jak wyrocznia huczy.
Dalej w dolinie wijąca się kręto,
Od tataraku swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni żali się Kamionna:
Zda się, że słyszysz królewnę zaklętą.
Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem
Tancerka ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca pląsa stopami bystremi.
Za nią poważna, szafirowo-lica,
Idzie, jak cicha kapłanka, Pilica.
A teraz z drogi! oto z wielkim szumem
Nadchodzi Narew', cała upowita —
Narew' tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.
Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?
A wszakto brat jej, wesoły ów żeniec,
Bug kłosonośny; codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi;
Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!
Tam Bzura dźwiga szaty obciążone
Kiściami pereł; nosi krucze włosy
Perłami spięte i z pereł koronę.
Tam wre i szumi wartko-lotna Drwęca,
Która w winnice i róże i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.
Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.
Ossa pod słońcem zapala błyskliwie
Fale, podobne do białych płomieni.

Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie,
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną Motławę,
I radującą się wiecznie Radunię.
Co, jak odźwierne, w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Baltyckiego.
I one dzisiaj tu idą i niosą
Klucze, błyszczącą wysadzane rosą.
Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze,
I jeszcze inne; lecz któż je wyliczy?
Księgęby spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).

GÓRAL.

Piętrzą się góry, olbrzymy stare,
Czoła swe kryją w porannej mgle;
I skały, niby zamczyska stare,
Snują się zdala na niebios tle.
Cicho, jak było we dniu stworzenia,
Gdy owo „stań się“ wymówił Bóg,
I kiedy wielki gmach przyrodzenia,
Wyrosnął z błędnych chaosu dróg.

Patrz! już się góry szczyt zarumienił,
Lekko, jak czysta dziewicy skroń;
Już się zapłonił, już opromienił,
Już się zapatrzył w jeziora toń.

Spadają, nikną mgły już rozwiane,
Góra się patrzy w zwierciadło wód;
Jezioro drzemie ukołysane,
Jeszcze go nocny owiewa chłód.
I słońce zwolna wychyla czoło,
Złocisty jego igra już włos:
Z falą jeziora igra wesoło,
Z liści otrząsa djamenty ros:
Rumiane słonko napoły w chmurze,
Z rozkoszą patrzy na Boży świat;
Mile się wdzięczy matce naturze,
Jemu się wdzięczy doliny kwiat.
Złotym djademem bogata góra,
W dolinie wielki rysuje cień,
Na jej ramionach światła purpura.
Jasny i piękny zwiastuje dzień.

Poranek zawsze jest uroczysty,
Tam, gdzie krajobraz ma szatę gór,
Czy grzbiet ich światłem jest promienisty,
Czy zasępiony turbanem chmur.
Zawsze poranna pieśń w górach dzwoni,
Harmonją cudnych poezyą dni;
Zawsze za słońcem duszy się goni,
Zawsze o niebie w górach się śni.
Ze słońcem życie i pieśń się budzi
Góral ku niebu wyciąga dłoń;
On kocha Góry, bo w nich się trudzi,
Bo wśród nich potem zlewa swą skroń.
A gdzie jest miłość, ciernie być muszą,
Tak już od wieków urządził Bóg,
Ten kocha sercem, kto płacze duszą,
Kto wśród skalistych trudzi się dróg.

Życie Górala, to życie burzy,
Góra i niebo to jego dom;

On nie zna kwiatów, on nie zna róży,
Harmonją jego pieśni jest grom.
Ale on wita pieśnią poranek,
Pieśń jego słyszą opoki skał;
On król przyrody, on gór kochanek,
Powierza górom duszy swej szał.
Skacze jak jeleń z skały na skałę,
Ponad przepaści zsuwa się brzeg;
Goni... za zwierzem wypuszcza strzałę,
Gdy mu lawiny zagraża śnieg.
W walce z przyrodą serce mu bije,
Bo on namiętnie ukochał bój;
I wtedy w pełni życia on żyje,
Gdy góra burzy przywdziewa strój,
A za tę chwilę namiętnych czarów,
Znalazłszy w walce przedwczesny skon,
Pomnik ma wieczny z góry filarów,
I grób w tém miejscu, gdzie miał swój tron.
Zapłaczą nad nim chmury na niebie,
Chociaż się dzwonu nie ozwie jęk;
Wiatr śpiewać będzie mu na pogrzebie,
W ogniu błyskawic piorunu dźwięk.

Władysław Chomętowski.

W PORANEK.

Z Jarmuty mgła spada, jak rąbek z dziewczyny;
Po niebie obłoczek przewija się siny;
Za chwilę, wschodzące
Spromieni go słońce
I tronem on będzie jutrzence...

Wcześniejszy od świtu, ciemniejszy niż zmierzchy,
Wszedł góral w swej guni, z siekierką, na wierzchy;
Nim dzionek rozbłyśnie,
On zagrzmi, zaświśnie
I echa rozbudzi w piosence. —
O cicho... o cicho! schylony na skale,
Utopił źrenice w powietrza krysztale
I liczy, jak skarby,
Omszone te garby,
Rodzinnych gór swoich przyczoła. —
— „Prehyba... Petrańczyk i Wilcze zielone!..
To moja sadyba i gniazdo rodzone.
Jam z wiatrem tam latał
I z orłem się bratał;
Znam wszystkie smereki dokoła.
Tu Gunia, Opołta, a tam Koszarysko...
Ej! dalneż to wierchy, choć widzą się blizko!...
Pieniążna, Czerteże,
Gdzie skarbów złe strzeże,
Gdzie rogi nie jęczą pastusze...
Ej, byłoż mi świata pod skalne te ściany,
Dopókim nie poznał wietrznicy Marany,
Co miga mi w oczach,
Po Łanach, Uboczach,
A śmiechem zabiera mi duszę!...
Wróżyła cyganka: „złe dnie z Sokolicy!
Ej! nie chodź pod okno Marany wietrznicy,
Bo serce wyśpiewasz,
I Boga zagniewasz,
I pójdzie twa dola na marne“. —
Nie chodzić?... a także!... od świtu się włóczę
Gdzie dziewczę zaplata warkocze swe krucze...
Och! wróżby... wróżbity...
Jam wesół i syty,
Gdy w oczy popatrzę się czarne!

Nie będzie mnie chciała? — ej! znam ja wąwozy,
Gdzie strzelcom z pod kulki z wichrami mkną kozy...
Ot, Rogacz... Homole...
Wybieram, co wolę...
Przepaści, jak śmierć, tam głębokie!...
Ej, słońce ty, słońce! pośpieszaj ze wschodem,
Bo trudnoż mi z sercem stęsknionem i młodem!
Och! ani pamięta,
Że ziemia ta święta
A nad nią — jest niebo wysokie"!

Marya Konopnicka.

STEPY W ZIMIE.

Czyś widział stepy, gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna,
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo wkrąg pustynia biała, bezbrzeżna,
A przy rosnącym co chwila wietrze,
Straszliwa zamieć, zaćmi powietrze?
Biedny wędrowcze! w złą się godzinę
Wybrałeś w podróż; patrz! jak szalony
Wicher, jak wielki; całą równinę
Naraz silnemi ująwszy szpony,
Łono jej białe rozrywa, porze,
Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi.
To nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi,
By ci rozkoszne podesłać łoże;
To rój gwiazd śnieżnych; wirowym ruchem
W takie cię gęste siatki okręca,

Tak nieprzebytym ściga łańcuchem,
Że zmęczonego, wziąwszy jak jeńca,
Przy tobie, żywym, jak przy twej osi,
Biały, grobowy kurhan podnosi.
Niebo i ziemia nikną ci; kołem —
Ćma tylko luźnych atomów krąży,
Owija chwile i dalej dąży.
Chwyta cię obłęd; sądzisz, że społem
Lecisz z tym wirem, co cię oplata;
Sądzisz, żeś jądrem nowego świata,
Który bujając ponad otchłanią,
Nie zawisł w sferach, bo mu duch Boży
Jeszcze nie wskazał celu podróży.
Nagle cię senność porywa, za nią
Jakieś błękitne ciągną marzenia,
Które zasuwa gęsta pomroka,
Byś się przynajmniej w dniu przebudzenia
Ocknął w dziedzinie rajskiej proroka!

Gustaw Zieliński.

JAK TO NA MAZOWSZU.

To szerokiem polu, modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne.

A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy,
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.

Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach, i śmiechy, i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie,
I śpiewa miłemu: Pędź głosie po rosie.

Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słychać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju —
Jakby jedna dusza była w całym kraju.

Oj śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze,
I sosny roślejsze, i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak raźna dziewucha,
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą;
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Zkąd wam modrej Wisły, i białego piasku?!
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły, — oj tęskno mi do niej!
Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj Mazur, ja Mazur pomiędzy obcemi,
Zmarnuję ja młodość tu w nieswojej ziemi.

Kiedym szedł do ludzi cały dzień padało,
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
Oj poczerwienione jak oko matczyne,
Co mnie błogosławiąc patrzyła w dolinę.
Wiatr szumiał po polu, a pszeniczne kłosy,
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy.
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
Na gałęziach wrony krakały nademną,
Sierocemu sercu tak się wydawało
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie — nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosien w ziemię się chyliło.
Daremno po drodze patrzyłem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali,
Nie było nikogo — i poszedłem dalej.
I dalej i dalej w świat szeroki, długi —
Bywajcie mi zdrowe mazowieckie smugi!

Skrzypki, moje skrzypki do serca zagrajcie,
A wy też Mazury chętnie posłuchajcie.
Wszystko zostawiłem, a wziąłem to jedno,
Od czego wam lica to płoną, to bledną,
I włóczę się oto, i teskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię i łez się napiję.
I tak schodzi zima i za zimą lato —
Boże dopuszczenie — chwała mu i za to!

Zagrajcie skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie,
Cichy wiatr zaniesie gdzie moje kochanie.
I życie i piosnka dobrze się opłaci,
Jeżeli łzy perły weźmie z serca braci.
Witajże mi, witaj kraino kochana
W boleści, w tęskności — oj dana! oj dana!

Teofil Lenartowicz.

PUSZCZA LITEWSKA.

(Wyjątek).

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko, albo bajka wie co się w nich dzieje;
Bo, gdybyś przeszedł bory, i podszyte knieje
Trafisz w głębi na wielki wał pni, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni,
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeni, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiém męztwem,
Dalej spotkać się z większém masz niebezpieczeństwem.
Dalej, co krok, czyhają niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą;
(Wielkie jest podobieństwo, że tam diabły siedzą).
Woda tych studni lśni się plamistą rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę,
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore —
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa,
Grzejącą się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,

Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi;
A za tą mgłą nakoniec, jak wieść gminna głosi,
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory:
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory;
Około nich, na drzewach gnieżdżą się: ryś bystry,
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wasale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów, dworscy zausznicy.

Te pary zwierząt główne i patryjarchalne
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną, ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy blizkie śmierci
Ptaki składają pióra, czworonogi — sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby strawy, nieprzeżuwa
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki, już gardła nie żywi...
Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz raniony,
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony;
Zkąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami:
Jeszcze cywilizacyą ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki;
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie;
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł, chociaż nie zbrojny,
Toby środkiem tych bestyj przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim, w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia,
Ojce ich pierwsze, co się w ogrojcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo trud i śmierć i trwoga bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy nieznacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc, z obłąkanym wzrokiem.
I długo potem ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego, strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nie znane tajniki,
W języku swoim strzelcy zowią mateczniki.

A. Mickiewicz.

FARYS WIESZCZ.

Naśladowanie z arabskiego.

O! i ja kiedyś byłem Farysem!
Lecz czyż wy wiecie, co Farys znaczy?!
Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbrzyma, olbrzym niech wytłumaczy!
On tylko jeden prawdę nam powi,
Jemu więc wierzcie jak koranowi:

„Farys“ — step mówi — „to dziecię moje!
To duch, tęsknotą nieba trawiony —
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niém pędzi bez końca.

I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła! —
Ani uroczej cienie oazy,
Ni beduinka głosem anioła
I blaskiem oczu — milszym sto razy!
Próżne pokusy! — bo tacy gońce
Kochają tylko niebo i słońce“!

Więc jam był gońcem — i gońców bardem. —
Cudneż to było to nasze grono!
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą
I z tem ramieniem młodzieńczem, hardem,
Co krawędź nieba z krawędzią świata
Sili się spoić — wierząc, że zbrata!

Patrzcie tam — w koło piaszczyste wzgórza
Niby umyślnie słane mogiły —
Czasem się z głębi szkielet wynurza —
Spytaj szkieletów czém one były!...
Ha! te mogiły Arabistanu...
To tylko ślady stóp huraganu!

On to — Farysów pochłonął w sobie!
Pochłonął żywcem braci kochanych!
Jam tylko jeden został na grobie
Na grobie gońców — już zapomnianych!...
Czy to jest łaska, czy kara nieba:
Allah żyć kazał, więc żyć potrzeba!

Jak młode orle złamanem skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,
Żyć, życiem gadu, gnuśném, przebrzydłém,
W tych smutnych murów ciasnym zakresie!...
Ha! próżne żale! śpiewaj Pajaco?
Tylko zabawnie — bo nie zapłacą!

O! wieczna hańbo! wieczna sromoto!
Ja Farys, piewca z niebios natchniony,
Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!
By czem okupić cień cudzej strzechy
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!

Oni nie wiedzą, że wieszcza pienie
Jest jako słońce na niebios sklepie,
Co na wszechwładne Boga skinienie
Świeci wędrowcom błądzącym w stepie —
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświatą!

Oni nie wiedzą, że wieszcza śpiewy
Jak ów dziewiczej ogień miłości,
Co za niebiańskie swoje wylewy
Nic! nic nie pragnie — prócz wzajemności!
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie!
Allahu! jakże dręczysz mię srogo!
I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,
Niby po cichu powie: „za drogo“.
Za drogo mówisz?... powiedzże bracie
W jakiejż wy cenie życie sprzedacie?...

Bo słuchaj! — pieśń ma, to cząstka życia
Tam jest krew moja, tam są łzy moje,
I mego serca gwałtowne bicia
I uczuć moich i myśli roje!
A każdą żeby dostać, wyjawić,
Muszę wprzód serce mocno zakrwawić!

Więc cóż? za drogo?... O! bądźcie szczersi!
Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,
Jak ja, pelikan rozrywać piersi,
By krwi za cenę złota dostarczyć,
W jakiejżby cenie była kropelka
Krwi lub łzy waszej — choćby niewielka?...

Męczarnie wieszcza w chwili tworzenia
To boleść matki w chwili porodu —
Ile wlał życia do swego płodu
Tyle wziął życia z swego istnienia —
Ile on pieśni dla was utworzył,
O tyle kroków grób swój przysporzył!

Czasem — w dodatku — słyszę oklaski —
Szczere czy zwodne — wszystko mi jedno!
Znam tych błyskawic przelotne blaski!
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały — toć to szyderstwo!
Wasze pochwały! toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczną pieśnią kołacze
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,
Możecież mówić, że ślicznie płacze?
Możecież mówić, że z czuciem spiewa?
Jak ta łza syna na matki grobie
Też samą szczerość śpiew mój ma w sobie!

A więc porzućcie marne pochwały,
Gdy, pieśń ma święta jako łza syna.
Nie takie wieńce wieszczom przystały!
Wieszcz takie wieńce depce, przeklina!
Duch jego wielki i wiecznie młody
Innéj — o! innéj! żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa
Święta, urocza, z której odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się knowa,
Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie!
Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi
I myśl-kwiat wkrótce owoc-czyn zrodzi!

Nagroda piewcy — to te spojrzenia,
Co świecą całym duszy wulkanem!
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia
Z westchnieniem długo w piersi stłumianem;
I owa chmura cieniąca czoła,
Z której połyska miecz Archanioła!

To mi nagroda!... jam ją odbierał!
W koło mnie stali bracia Farysy,
Każdy pieśń moją sercem pożerał,
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy
W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą!

Farysy znikli! — głucho na stepach!
A w stepie życia, och! smutniej jeszcze!
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze
Dmąc po wywiałych czaszek czerepach!
On wszystko wywiał! — wszystko przewiało,
Co było cnotą, prawdziwą chwałą!

O! i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych!
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarń tyle,
Gdy głos Allaha budząc uśpionych
Na swoje rajskie zwoła ogrody, —
I ja niebiańskiej doznam nagrody!

W tym Boskim raju, w tém siódmem niebie,
W waszej ojczyźnie, o! prawowierni!
Allah mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni
I zmyję tylą krwi przesiąkniętą,
Wyrwie mi z serca pamięć przeklętą!

I najcudniejsze wezwie dziewice
I rzeknie: służcie jak Padyszachu!
Ja, — i nie spojrzę nawet w ich lice,
Ale z pokorą powiem: „Allahu!
Jam tylko prawdy szukał na świecie!
Czyż taką miłość znajdę w kobiecie?!

Nie chcę huryssy! choćby piękniejszéj
Od téj, com niegdyś kochał na ziemi —
Lecz ja nie gardzę dary twojemi —
Ja tylko łaski błagam pełniejszej...
Za wszystkie, wszystkie twoje huryssy
Niech wstaną moi bracia Farysy!.....

I pozwól! pozwól choćby na chwilę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawnej naszej młodzieńczej sile
Pobujać orlim lotem Farysów!
I piersi dawnem orzeźwić biciem,
I dawnem naszem zabłysnąć życiem!"

Allah wysłucha — wnet grzmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!!...
Widźcież raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biedne robaki!
Przyjdzie ochota do jazdy takiej.

Karol Baliński.

PRZED BURZĄ.

(Wyjątek).

Owe obłoki ranne, z razu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały; ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz hyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stroną na wpół od niebios obdarta,
Ku ziemi wychylona, i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie
Od południa na zachód leciała po niebie.
— I była chwila ciszy; i powietrze stało,
Głuche milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi,
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi,
Wrzały jak fale; teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów sybilskiej Nioby.
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.
  Bydło, zwykłe do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając trawę, do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem.

Krowa coraz ku ziemi wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko.
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy,
Tylko wrony stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli;
Lecz i te przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia z ptaków lotem nieścigłym zuchwała,
Jaskółka czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.
Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo - czerwona;
Już chmura roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.
Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach,
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów; wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarno-ziemu.
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,

Co krok wszerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.
Aż z całym tym chaosem, wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.
A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak z sita, w gęstych kroplach; wtém ryknęły pioruny,
Krople zlały się razem; to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą od nocy ciemniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem,
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko, tylko drzewa
Szumią głucho w około, i szemrze ulewa.

A. Mickiewicz.

Z HARMONIJ JESIENNYCH.

Południe senne pól zieloność zwiędłą
W srebrzyste pasma oprzędło —
Milczą pożółkłych drzew i wzgórków szczyty
I po nad wód zwierciadła
Głusza przypadła.

Tak, że jedynie wietrzyk w gąszczach skryty,
Ilekroć zbudzi w nich dreszcze,
Uschła gałązka szeleszcze,
Lub liść bladawy
Szemrze wśród trawy,
I nigdzie chmurki, plamki, ni obłoka —
Tylko jak zajrzysz z wysoka,
Niebo dokoła.
Nie już błękitne, jak jest wzrok anioła,
Lecz jak go miewa
W dal patrząc dziewa:
Przyćmiony pyłami złota.
I spokój wszędzie. Bowiem zwolna cała
Ziemska robota
Na to ustała,
By w znoju czoła setne dawszy plony,
Obchodzić mogła Pański Rok skończony.

Chodźmy na pola. Smutku tam jest wiele,
Lecz i pociechy też słodkiej...
O! mój milczący aniele,
Patrz, jak te blade stokrotki,
Dni ostatecznych towarzysze wierni,
Wśród zżętych dumają ścierni...
Każdą z nich, zda się, wspomina
Ubiegłe tylko co lato,
I choć już zima
Szronem się zżyma,
Śni sobie wiosnę skrzydlatą...
Nieprawdaż moja jedyna;
Że jest uroczym i ten smutek cichy,
I ta pociecha,
Co po-przez łzy się uśmiecha,
Jak wonne kwiatów kielichy,

Zemdlone skwarem, odświeżone burzą,
Które, gdy słońce głowę do snu skłania,
Iskrzące rosą ślą mu pożegnania.

O! nim się nieba zachmurzą,
Powiedz mi, duszo ty tkliwa —
Jakże? Więc tylko kto utracił dużo
Spokojnym bywa?
Patrzę w około — tak — o! jakże mało
Jesieni biednej zostało!
W szumiących ścierniach, bladych kwiatów nieco,
U drzew ostatki zieleni...
Nieba! toż ona
Samotnie kona —
Bo już i ptacy, indziej gdzieś zwabieni,
Za słońca śladem już lecą.

A nad zdeptaną tą chwałą,
Jakże to nieubłaganie
Dokoła wskróś rozedniało
Niebios błyskanie!

Wiatr tak uciesznie chmurki precz przepędza.
Dzień tak się wdzięczy, jak już i nie było!
O! wszak jest przykrą ta promienna nędza
I ten wesoły uśmiech nad mogiłą?

Chodźmy ztąd — chodźmy. — Smutno tu. Pierś wzdęta
Łkaniem nabiera, łzami brzmieją oczy...
O! póki dusza uroczy
Swój raj pamięta,
Lepiej mieć jeszcze choćby bardzo mało,
Niżeli przeżyć wszystko, co się miało.

Bo gdy nadejdzie martwe święto zimy,
W którem ni gromów czekać, ani tęczy,
To któż zaręczy:
Że po niem wiosnę ujrzymy?
Felicyan Faleński.

KARPACKI DUDARZ.

Karpacki dudarz, co po mieście chadza,
Gdzie on się z swoją *kozą* nie prowadza:
„Hej! potańcujcie“ i sam nogą tupa,
Aż mu się cała odśmieje chałupa.
„Hej! albo zagram“ i już dudkę trzyma,
Koza pod pachą wnet mu się wydyma,
Dwoma rożkami do muzyki stawa,
I przyrodzony wdzięczny bek wydawa.
Tymczasem dudki przez cieniuchną szyjkę,
Tną krakowiaka, albo kołomyjkę,
A dudarz patrzy, jak skaczą poczciwi;
Puści... i kozy beczeniu się dziwi!
Albo rozdąwszy nozdrza na wiatr świeży,
Łowi szum wichru, co po górach bieży,
I mgły w dolinach ciągnące rozgania,
Po szarych grzbietach *Mnicha* i *Krywania*.

Gdzie jaki szałas lub chałupa bacy,
Już on tam pewno nie poskąpi pracy:
Choćby najwyżej zajdzie i zabeczy,
Jako jedyny do dudarskiej rzeczy,

Zawsze wesoły, witany z weselem,
Dziewcząt i chłopców zwie się przyjacielem;
Radby pożenił wszystkie nie żonate.
Toż kiedy z kozą przychodzi pod chatę,
To jakby mówił wiadomemi znaki:
„Hej! wy chłopaki, dalibóg chłopaki!“

Czasem drugiego miewa do pomocy,
Z którym zadyma w dudy z całej mocy,
I od gospody chodząc do gospody,
Choć postarzeje, zawsze bywa młody:
Jak jego lasów świerkowe korony,
Których pnie mchowe, wierzchołek zielony.

Chaty nie miewa — gdzie go noc zaskoczy
Tam i zasypia; byle zmrużył oczy,
Sen go ogarnia cichy i swobodny:
Cygany śnią się, jeśli zaśnie głodny,
A jak nie głodny, to góry, wąwozy,
I to najmilsze mu, beczenie kozy.

Czasem tak bywa, bo i to się zdarza,
Że we śnie zmora utrapi dudarza:
Wtedy śnią mu się doliny bez końca
I smutne chaty gdzieś na zachód słońca,
I karczma smutna — nieznajomi ludzie,
Którzy się jego urągają dudzie.

Co on już widział, co jeszcze zobaczy,
Jeśli pożyje — Bóg sam wiedzieć raczy:
Co najpiękniejsze widział Morskie oko,
Więc głową kręci, że to tam głęboko...
Widział Łomnicę i Mnicha z kapturem
Co na deszcz dymem okrywa się burem.

A i Pięć Stawów i wodę Siklawą
Zna doskonale, jak swoją dłoń prawą.

A nad brzegami strumienistej Białki,
Gdzie zioła z puchów otrząsają pałki,
Siadał, bywało w rozmaitej trawie,
Śród much motyli, że go nie znać prawie,
I patrzał, patrzał, i powietrze dychał,
I nic nie myślał, tylko się uśmiechał.
A deszcze po nim szły i wietrzyk suchy,
Który otrząsa z żółtych kwiatów puchy,
I tęcze po nim szły i słońce skwarne,
Przez twarz i piersi ogorzałe, czarne...

Gdzie on nie biegał; na jakie polany!
Ani tam górskie zachodzą barany,
Choć to, co prawda, wielce zwierz ciekawy,
Na świeże listki nie koszonej trawy.
A potém z góry z krzykiem i hałasem,
Zbiegał pod ojca odpocząć szałasem.
Gdzie tam odpocząć ani o tém wiedział,
Gdy przy muzyce zasłuchany siedział.
Jako więc drozdy na zielonym prątku,
Gdy stary śpiewa siedzi w jednym rządku,
Śmiał się, że taka przecudna muzyka,
I bał się duchów Mnicha i Skarbnika,
I bał się złego co skały obala,
I wiedzie w obłęd, biednego górala!
I tak rósł sobie jak kozłowie dzicy,
Na chlebie z owsa, i sytnej żętycy:
Z baranem sypiał dla ciepłego runa.
I też jagniętkom służył za piastuna.
Po śmierci ojca objął dudy w spadku,
I sam dudarzem został na ostatku.

Gdy po raz pierwszy swego zażył daru,
Owce się zbiegły z całego obszaru,
I kozioł przyszedł co chodził za trzodą,
I długo patrzał, i potrząsał brodą.
Od tego czasu z dudą ulubioną
Chodzi po wirchach, jakby z swoją żoną.
Jakoż widocznie Pan Bóg go uchował,
Że lada komu serca nie darował;
Głosy po górach wydobywał rzewne,
Jakby wyzywał zaklętą królewnę.
Gra też piosenkę w okolicy swojej,
Którą w Krakowie powtarzać się boi,
A gdy jej pauper przez psotę zażąda,
Na głos się cały śmieje i ogląda,
Jakby rodzinnej nie rozumiał mowy,
I tylko wciąga wiatr góralski zdrowy,
Co szare, brudne chmurzyska rozgania,
Po skalnych grzbietach Mnicha i Krywania.

Teofil Lenartowicz.

W DOMU.

Niech tam ktoś sobie, silnych łaknąc wrażeń,
Goni ze szczęściem po gościńcach świata:
Niech pastwą losu i igrzyskiem zdarzeń,
I wiedzieć nie chce, co to ojców chata.
Ja sercu miłe tuż przy sobie kupię,
I unikając huku, wrzawy, gromu,
Jak ślimak w własnej kocham się skorupie,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś sobie, jeśli mu z tem miło,
Garnie zaszczyty, pieczęcie, buławy,
Niech rozplątuje nić dziejów zawiłą,
Niechaj rozsądza wszechludzkości sprawy.
Spokój nad wszelkie ceniąc przywileje,
Rachunku z życia nie zdając nikomu,
Ja nie chcę nosa w cudze tkać koleje,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś obce zamieszkując strony,
Zamorskich stolic roztrębuje chwałę,
Niech na niemieckich bułkach wypieszczony,
„Chleb polski“ — mówi — „kole w ząbki białe“.
Ja w moich gustach niewybredny, cichy,
Choćbyście mieli szydzić pokryjomu,
Wolę swą biedę, niż cudze przepychy,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś wreszcie, jest takich nie mało,
Hołdując szczęściu bocianim zwyczajem,
Kiedy się u nas na mrozy zebrało,
Cieplejszych niebios szuka po za krajem.
Ja — niech się zima i na wiek rozgości,
Choćbym ostatnim miał być u wyłomu,
Gdzie mię Bóg stworzył, tam położę kości,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

I. S. Chamiec.

GRÓB AGAMEMNONA.

(Wyjątek).

Niech fantastycznie lutnia nastrojonna
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej,
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona,
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną...
Serce zasnęło', lecz śni. Jak mi smutno!

O jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wieczne słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać,
I ma Elektry głos; ta bieli płótno,
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo,
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów, a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy.

Tu świerszcze polne pomiędzy kamienie,
Przed nadgrobowém pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. Strasznym jest rapsodu końcem
Owe sykanie, co się w grobach słyszy,
Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy.

O cichy jestem jak wy, o Atrydzi!
Których popioły śpią pod świerszczów strażą,
Ani mnie teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą,
Głęboko jestem pokorny i cichy,
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.

Nad drzwiami grobu na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble, czy gołębie,
I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło,
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera.

I wyciągnąłem rękę na ciemności
By je ułowić i napiąć, i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów! ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła, i pękła bez jęku.

Tak więc, to los mój na grobowcach siadać,
I szukać smutków, błahych, wiotkich, kruchych,
To los mój senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy, i słuchaczów głuchych
Albo umarłych... i tak pełny wstrętu,
Na koń! chcę słońca, wichru i tętentu.

Juliusz Słowacki.

V.

SPOKOJNY WIECZÓR.

Strojne, w zachodzie słońca, stoją góry;
Poważna cisza: — w dali szumią wody —
Polany mierzchną, milczy bór ponury,
I mgła wieczorna ciągnie przez zagrody
I noc nadciąga. Po dziennem igrzysku,
Ulżył świat sobie, jak człowiek w westchnieniu.
Pod starym bukiem, przy małem ognisku
Siedzi staruszek na wielkim kamieniu.
„Zkąd dziadek w górach? pewno, że zdaleka?“
Pytał człek obcy. „O! z całego świata!“
— I zmierzył wzrokiem obcego człowieka:
„Idę mój panie po proszonym chlebie“.
„A gdzieżeś dziadku strawił młode lata?“
„Gdziem lata strawił? o mój Panie miły!
„Jam ich nie strawił — one mnie strawiły!
„Jestem rodziców szlachetnego rodu,
„Ojciec za młodu był dziedzicem w Rajskiem
„A jam sługiwał wojskowo za młodu“.
„Gdzieś rękę stracił?“ W Bitwie pod Mozajskiem.
„I prosisz chleba?“ „A proszę, bom głodzien!
„Znać już lepszegom losu nie był godzien,

„Gdy mi tak padło Boże zmiłowanie!
„Gdziem lata strawił? Strawiłem mój panie:
„Młodość na wojnie, średni wiek w niewoli,
„Starość na żebrach! krótko się to prawi,
„Lecz żywot taki, gorzej blizny boli!
„Świat mi dokuczył, a śmierć się gdzieś bawi“.
— „I nie wyrzekasz?“ „A czegóż wyrzekać?
„Tylem też tylko w życiu miał pociechy
„Żem nie wyrzekał! lecz mi nudno czekać
„Dłużej już śmierci; wybrałem się w drogę,
„Bo myślę sobie, że spotkam niebogę!
„A życie moje, wszak stanie za grzechy?“
„Stanie mój ojcze! jak Bóg żywy stanie!
„Życzę ci śmierci“ „Bóg wam zapłać Panie!“
Rzekł starzec ścicha, spokojny w sumieniu!
Poprawił ognia, westchnął potém szczerze,
I czekał śmierci, szeptając pacierze
Pod starym bukiem, na wielkim kamieniu.

Wincenty Pol.

DO LIŚCIA SUCHEGO.

Listku, dziś suchy, przypomnij mi strony,
Gdzie nad błękitném Albano jeziorem
Tłum drzew jesiennnych zawieszał się wzorem
Szczęścia zwiędłego uwiędłej korony!
A w głębi cisza, w dole śliczne wody,
Wiecznie te same — niebiańskiej pogody!

Choć na ich brzegach zwiędły kwiaty Boga,
I płaszcz się rozdarł zielonej natury,
I ludzkich zamków zapadły się mury
I liściem zżółkłym pokryła się droga —
One powietrza światło odbijały,
I w nich był znajom — obraz nieba cały!
Tak w głębi serca, tak w przepaściach duszy
Drga jakieś Boga przeczyste odbicie,
Choć wewnątrz pełna mąk, trosk, łez, katuszy,
Choć serce zżółkło — tam w sercu trwa życie,
I niewidzialnym, ukrytym błękitem
Głąb wód i serca — związan z niebios szczytem!

Albano 1840 r. *Zygmunt Krasiński.*

Z SONETÓW KRYMSKICH.

IV. BURZA.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki —
Słońce krwawo zachodzi z niem reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na wpół martwi, ów załamał dłonie
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się wpada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać;

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie,
I pomyślał: szczęśliwy kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

VI. BAKCZÉSERAJ.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina.
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, tronu potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Śród okien różnobarwnych, powoju roślina
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami „Ruina“.

W środku sali wycięte z marmuru naczynie;
To fontanna haremu: dotąd stoi cało,
I perłowe łzy sącząc woła przez pustynie:

Gdzież jesteś o miłości, potęgo i chwało?
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie:
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało...

X. BAJDARY.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów,
Lasy, doliny, głazy, w kolei natłoku
U nóg mych płyną, giną, jak fale potoku,
Chcę się odurzyć, upić, tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitém zwierciedle, tak w mém spiekłém oku,
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziema śpi — mnie snu nie ma — skaczę w morskie łona,
Czarny wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona.

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży:
Czekam, aż myśl, jak łódka wirami kręcona
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pogrąży.

XIII. CZATYRDAH.

Drżąc muślemin całuje stopy twej opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór Padyszachu!
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel, pilnujący niebieskiego gmachu,
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu —
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy Szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy,
Czatyrdahu! ty zawsze głuchy nieruchomy.

Między światem i niebem, jak drogman stworzenia.
Podesławszy pod nogi, ziemię, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko co mówi Bóg do przyrodzenia.

Adam Mickiewicz.

WIERZBA NA PUSTKOWIU.

Stoi wierzba płacząca
Nad ciemném jeziorem,
Drży w promieniach miesiąca,
Kiedy wietrzyk ją trąca
Wieczorem.

W koło piaski wilgotne,
Rdzawe mchy i zioła,
Wody mętne i błotne
I pustkowie samotne
Dokoła.

Gdy na niebie zapada
Noc martwa, noc cicha,
Wierzba stoi tak blada,
Jak strwożona Dryada
I wzdycha.

Patrzy smutna na sine
Niebiosa z ołowiu,
Na wód czarną kotlinę
I piaszczystą równinę
W pustkowiu.

Chociaż cisza panuje
Grobowa i głucha,
Coś ją zgrozą przejmuje,
Bo się w niebo wpatruje
I słucha.

Gdy zegary gwiaździste
Już północ naznaczą,
Lecą duchy nieczyste
Przez obszary piasczyste
I płaczą.

Przybywają z noclegu
Wybladłe, skrwawione,
I siadają w szeregu
Pod tą wierzbą na brzegu
Zmęczone.

Wspomnieniami ścigają
Stracony sen życia,
Nad przeszłością wzdychają
I zbutwiałe wstrząsają
Okrycia;

Wspominają swą siłę
I piękność młodzieńczą,
Upojenia tak miłe
I klną swoją mogiłę
I jęczą.

Klną poczęcia godzinę
I matki swej łono,
Swoich ojców, rodzinę
I słoneczną krainę
Straconą,

I złorzeczą ludzkości
I żywym na ziemi
Ich nadziejom, miłości
I wzywają nicości
Nad niemi.

Księżyc twarz swą ukrywa
Za obłok, za ciemny
Nagle wicher się zrywa,
A z nim władca przybywa
Podziemny.

I gromadzi swe straże
I hufce śmiertelne,
I po ziemi obszarze
Spełniać dzieło im każe
Piekielne.

Każe w strony rodzinne
Powracać i czuwać,
Wkraść się w strzechy gościnne,
Nocą serca niewinne
Zatruwać.

Tłumić lepsze natchnienia,
Siać nędzę i ciemność
I bezmyślność zwątpienia,
Co czyn każdy zamienia
W nikczemność;

By w narodzie, co słynął,
Rycerski, szlachetny
Śmierci jad się rozwinął,
Aby upadł i zginął
Bezdzietny.

Wysłuchały z rozkoszą
Straszliwe rozkazy
I w powietrze się wznoszą
I po ziemi roznoszą
Zarazy.

Potrząsając skrwawione
Całuny posępne,
Lecą, każdy w swą stronę,
Wzniecać żądze szalone,
Występne.

Lecą z wiatru poświstem,
Stopione w mgłę czarną:
Kazić tchnieniem nieczystem
I siać w polu ojczystem
Złe ziarno.

I znów pustka milcząca —
Noc martwa i cicha —
Stoi wierzba płacząca,
Drży w promieniach miesiąca
I wzdycha.

El...y.

PRZYSIĘGA DZIEWCZĘCIA.

Za sadem kwitnącym, za dworem,
Żegnało się dwoje wieczorem;
Młodzieniec panienkę przecudną
Za rączkę bieluchną wciąż trzyma,
Smutnemi w nią patrzy oczyma,
I żegna — a odejść mu trudno.

— „Pojadę — zapomnisz mnie pewnie“,
Powiedział rozpacznie i rzewnie.
— „O nigdy! bo kocham cię szczerze“,
I krzyżyk z za gorsu dobyła,
Dwa na nim paluszki złożyła,
— „Przysięgnę! wierzysz?“ — „Nie wierzę!“

— „Nie wierzę, bo znałem, o droga!
Kobiety, co wiarę i Boga
Zmieniły dla ślubnych pierścieni;
Więc choćbyś przysięgę składała
Na krzyżyk — przysięga za mała,
Krzyż rzucisz, gdy serce się zmieni“.

— „Nie wierzysz? Na ojca włos siwy,
Na miłość mej matki sędziwej,
Co teraz tam pewnie pacierze
Odmawia za ciebie w tej dobie;
Na matkę przysięgam więc tobie,
Czy wierzysz mi teraz? — „Nie wierzę!“

— „Nie wierzę, bo przykład nie rzadki,
Że ojca starego i matki
Odbiegnąć bez żalu możecie,
Przysięgi na matkę, na twoją,
Zwątpienia mojego nie koją,
Nie zrobię, bym wierzył kobiecie!“

— „Lecz chceszli“ rzekł on do dziewczęcia,
„Bym w twoje uwierzył zaklęcia,
To złóż mi przysięgę, o droga!
Na świętość, co każda z was rada
Nad wszystko w świecie przekłada,
Nad ojców, kochanka i Boga!“

— „Przysięgnij na twoją urodę,
Przysięgnij na lata twe młode,
Przysięgnij, że kochasz mię szczerze,
Jak kochasz płomienne twe oczy
I dwoje tych długich warkoczy,
Przysięgnij — a wtedy uwierzę!“

Michał Bałucki.

NIEDOŁĘGA.

Niechajże was Święci strzegą,
Ludzie mili
Byście jak ja, do niczego
Kiedy byli;
Gdziebądź pójdę, cobądź zrobię,
Każdy gęga:
Daj tam pokój, jesteś sobie
Niedołęga.

Niedołęga, mówić łatwo,
Głupi tłumie,
Robić piórem albo dratwą
Każdy umie.
Czémbądź z pracy zysk się bierze:
Butem, księgą,
Furda... lepiej zostać szczerze
Niedołęgą.

Co po myśli, kiedy ona
Ledwie wzlata
Ciężkiém skrzydłem i wraz kona
W krańcach świata,

Co po pracy, chyba w grobie
Spokój daje:
Bo gdy masz jeść, zębów tobie
Już nie staje.

Co po ludzkiej całej owej
Krętaninie,
Z której tylko zawód nowy
Ciągle płynie?
Człek obarcza głowę własną
Wciąż kłopotem,
W końcu jak w dzień widzi jasno,
Że nic po tém.

Niedołęga, choć mu w głowie
Braknie klepki,
Jest-to, wierzcie mi panowie,
Człowiek krzepki,
On przed siebie śmiało patrzy
W zgodzie z światem,
A jak zliczy już raz, dwa, trzy,
Dość mu na tém.

Niech się ziemskie tam półbogi
Pną w niebiosa,
On nie szuka sobie drogi
Wyżej nosa,
Idzie — za nic ważąc chwałę,
Wciąż ostatni,
I wynosi kości całe
Z ludzkiej matni.

Szczęścia kupić nikt nie w stanie
I nie kupi;

Wielkie jeszcze jest pytanie,
Kto z nas głupi?
Czy ten, który z ludźmi w wojnie
Mary łapie,
Alboli ten, co spokojnie
Śpi i chrapie?

Patrzcie, jak się ziemskie koło
Wciąż obraca,
Jak marnieje nie wesoło
Ludzka praca,
Ciężkiej doli nie upiększy
Miecz, ni księga,
Światem rządzi los — największy
Niedołęga.

Wacław Szymanowski.

POZYTYWIZM.

Za ludzkich pojęć, blizką, tuż granicą,
Nieskończoności ścielą się pomroki,
Plac w nich do guseł dojrzawszy szeroki,
Wiara je swoją wybrała dzielnicą,
I my dziś w buncie, za wiedzy pochodnią,
Przywłaszczycielkę spychamy z jej tronów,
Niechaj w upiory ciemnie się nie płodnią,
Skończył się wiek zabobonów.

Lecz twój zwycięzca, o praojców wiaro!
Tryumfom własnym sprostać nie podoła,

On ciebie tracąc, stracił wszystko zgoła,
Kat nad zgnębioną chyli się ofiarą,
Obcy słodyczom nadziei, ufności —
Nie zdolny z musem walczyć przeznaczenia;
Żądny duch jego, co chwila z nicości,
Nad przepaść wraca zwątpienia.

I. S. Chamiec.

TĘSKNOTA ZA ZIMĄ.

W sercu mém jesień, cień twój nikły, blady,
Sunąc w niém liśćmi zeschłemi szeleści,
To liście spadłych omamień, to ślady
Niegdyś rozkoszy, dziś świadki boleści.

Wsłuchaj się w szelest tych zaschłych pamiątek,
Może usłyszysz dalsze strofy pienia,
Które tak śpiewny czerpało początek,
W wiosny zachwytach i w lecie natchnienia.

Dzisiaj pod stopą liść chwaszczy i syczy,
Budząc w jesiennej mgle wspomnień szeregi;
A więc się sercu nie dziw jeśli życzy —
By wreszcie spadły zapomnienia śniegi!

Kościelski.

SOSNA.

Na wioskowych mogiłach,
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętemi konary;
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary —
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrosłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała;
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni,
Biedna sosna borowa —
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca;
Każdy wietrzyk co wionie,
Więcej kolców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodzinną
Zeschłe szyszki i ziarna:
W końcu jeszcze przed zimą
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
— „Biedna sosno z mogiły!
„Czyś ty gromem przebita?
„Czyć robaki stoczyły?

„Czy ci żeru nie było
„W żółtym piasku z poliska?
„Albo kamień swą bryłą
„Twe korzenie naciska?“

— „Och! mnie nie tknął grom z burzą
„I robaki nie toczą;
„Ziemia soków ma dużo,
„I mnie karmi ochoczo.
„Gdzie kamienie i głazy,
„Szłam z korzeńmi z daleka:
„Wrosłam — gorzej sto razy!
„W trumnę złego człowieka!
„Trumna zgniła na próchno,
„Zgniły w piersiach mu błonki,
„W serce trupa leciuchno
„Zapuściłam korzonki.
„Chłód mnie przebiegł grobowy,
„Gdym possała zeń trocha;
„Bo to człek był takowy,
„Co nikogo nie kocha!
„Pierwsze z piersi swej soki,
„Dał cmentarnej choinie;
„Czułam jak z tej epoki
„Brzydki we mnie jad płynie.
„Z jadem śmierci w mém łonie
„Byłam smutna — milcząca...
„Każdy wietrzyk co wionie,
„Więcej kolców mi strąca.
„Próżno w ziemię rodzimą,
„Nowe rzucać chcę ziarna...
„Ziarna zeschły — przed zimą
„Ginie sosna cmentarna“.

Władysław Syrokomla.

Z WICHREM.

Szum jesienny wichrze, szum!...
Lubię twój posępny śpiew,
Jak pogrzebnych echo dum,
Jak pożółkłą barwę drzew.
Szum jesienny wichrze, szum!

Goń jesienny wichrze, goń
Gromadami uschły liść!
Chłodem śmierci wiej na skroń,
I gdzie wszyscy mamy iść,
Goń jesienny wichrze, goń!

Zimny śmiech na ustach mam,
Zimne w oku świecą łzy,
Blaski życia... już was znam!
Po za wami — wieczne mgły...
Zimny śmiech na ustach mam!

Cyt me serce! cyt już cyt!
Skrzepła krew już twoich ran,
A nim błyśnie nowy świt,
Wśród grobowych uśniesz ścian!
Cyt, że serce! cyt już cyt!...

Płacz o wichrze! jęcz i dzwoń,
Lubię twój szalony wtór,
Z duszą moją w chaos wioń,
W dziki uścisk czarnych chmur!
Płacz, o wichrze, jęcz i dzwoń!

Marya B.

DO MEGO CICERONE W RZYMIE.

Mój Cicerone! Oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię
Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie...
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala; może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy...

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej, śród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką po długiem dumaniu
Ryl go powcli, jak nagrobek w skale?
Czy go odchodząc uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu?

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twem świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem;

Ty umiesz przejrzeć nawet w serca z głazu;
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu —
Ach... ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma.

Adam Mickiewicz.

ZMARSZCZKI CZOŁA.

Gdy ujrzysz w bruzdy pokrajane pole,
Wiesz, że już oracz lemiesz swój tam wodził,
Gdy ujrzę zmarszczki poryte na czole,
Wiem, że już po niém pług życia przechodził.
Lecz ta uprawa czy nie była marną?
Jakież tam padło, jakie żyje ziarno?
Czy błędnej myśli rozniecone pychą
Krnąbrnego serca spali je posusza?
Czy też pokorą nakryła je dusza,
Żywiąc modlitwą, jakby rosą cichą?

Stefan Witwicki.

NA ŚMIERĆ SYROKOMLI.

Od chaty do chaty, do grobowej deski
Z swą lirą wędrował nasz lirnik litewski.
Witały go dwory, witała go strzecha,
Wtórzyły mu wdzięcznie zabłąkane echa:
Bo z jego lirenki leciały piosenki,
Jak szare skowronki wzlatały z pod ręki.
Pod sercem się lęgły, pod sercem prostaczém,
Wyniańczone smutkiem, wykarmione płaczem.
I tak mu śpiewały gdzie jeno się ruszył,
Że próżno je głuszył — śpiewania nie zgłuszył,

Udaném weselem nie zabił żałości,
Ból rzewny, głęboki, jak wilgoć wszedł w kości,
I przegryzł mu serce, żałością przepoił,
I oną udaną swobodę rozbroił.
Daremnie wśród świata próbował wytchnienia;
Za małe pociechy, za wielkie cierpienia
Mocniejsze przemogło: gdy targnęły strony,
Od ust mu odleciał kielich nie spełniony.
Wygrałaś piosenko, kochanko z za świata,
Zabiłaś śpiewaka, zabiłaś nam brata.
Odleciał w te strony, gdzie leci twa nuta:
Zwłok tylko pozostał jak lira popsuta.
Odleciał w powietrze burzami spłókane,
W to czyste powietrze, jak balsam na ranę,
W te strony błękitne, gdzie błogo, serdecznie,
Gdzie cicho, swobodnie, gdzie jedno bezpiecznie.
A bracia mu piszą na kamień grobowy:
„Spoczywaj lirniku — nasz bracie wioskowy,
Spoczywaj lirniku, a zioła nadgrobne
Niech szemrzą nad tobą jak struny żałobne,
Wzruszone powiewem ojczystej dąbrowy.
Spoczywaj lirniku — nasz bracie wioskowy!“

Teofil Lenartowicz.

PIELGRZYM.

Sonet.

W stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dlaczegóż ztąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i — niestety! — jeszcze dalsze czasy?

Litwo! piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice;
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki, tak różna wabi mię ponęta!...
Dlaczegóż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?...

Adam Mickiewicz.

STRZELEC.

Sonet.

Widziałem, jak dzień cały, pośród letniej spieki,
Błąkał się strzelec młody. Stanął nad strumieniem,
Długo poglądał w koło i rzecze z westchnieniem:
„Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki;“

„Chcę widzieć niewidziany“. Wtém leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Diany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem:
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał, i oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma,

Odszedł nieco jakoby swej myśli zaniechał.
Wtém dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną dłoń trzyma,
Bierze na cel, mgła bliżej — lecz nikt nie nadjechał.

Adam Mickiewicz.

KOBIETA.

Kobieta? puch marny! Kobieta? niebianka!...
Kobieta? to cacko! To raju mieszkanka!
To wietrzna istota! Serc ludzkich królowa!
To rodu ludzkiego... mniej ważna połowa!

Kobieta? A ja wam powiadam zaiste:
Gdy myśli porządnie i serce ma czyste,
Gdy od czczych uniesień i marzeń jest wolna,
Gdy szczerze dla drugich poświęcić się zdolna,
Gdy ziemię swą kocha uczuciem poczciwém,
Gdy myślą od pracy do Boga aż sięga,
Oh! wtedy kobieta jest świętém ogniwem,
Które ziemię z niebem sprzęga.

Paulina Kraków.

DO POWINNOŚCI.

Szczytna, święta, surowa, jak marmur Anioła,
Porywająca umysł wielkością bez miary,
Zawitała powinność w sumienia obszary,
I światło celów zacnych rozlała dokoła.

I na powiew jej szaty — świat omamień stary,
Runął nagle o płyty Bożego kościoła...
Kilka cierni wypadłych z krwawego jej czoła,
Zostało w sercu chorém na zasiew ofiary.

I nieznaną mu dotąd żywot jęknął mową,
I przed okiem dziwnemi zaświecił cudami:
Łzy braci zaiskrzyły rosą brylantową;
Trud wieków wyszlachetniał wielkiemi celami;

Krwawa praca pod krzyżem snuła przyszłość nową;
Promieniejącą wiarą, potężną czynami.

Duch przejrzał, a wytknąwszy nowe drogi swoje,
W purpurę ideału trud przyodział święty,
I jak prorok dni przyszłych, zachwyceniem zdjęty,
Wołał: zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

Leonard Sowiński.

CHMURA NA CZOLE.

Ja nienawidzę tych czół pogodnych,
Jak gnuśne we stawach wody,
Tych lic rumianych, a takich chłodnych,
Gładkich jak zimowe lody.

Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca
Podarta boleści radłem,
A smutku chmura w krąg, nakształt wieńca,
Na czole wije się zbladłem.

Bo chmura smutku posępna, czarna,
Znać daje, że tam nie śpiąca,
Ale jest dusza myślą ciężarna,
Uczucia burzą kipiąca.

O! bo w tej chmurze śpią gromy jasne,
Co bałwan fałszu obalą,
I szranki ducha rozbiją ciasne
I znicz prawd boskich zapalą.

O! bo niech tylko jasnego słońca
Promień jej łona dosięgnie,
Z tej chmury tęcza wybłyśnie lśniąca
I niebo ze ziemią sprzęgnie.

Roman Zmorski.

URYWEK

z powieści p. t. „Tomiło“.

Patrząc na miasto, jak orzeł ze skały,
Na wzniosłej górze stał zamek rozległy,
Z olbrzymich głazów i żelaznej cegły;
Na rozgwar ciżby i losów niedbały,
Spróchniałych czasów relikwiarz święty,
Śmiałemi barki wystrzelał ku górze.
Choć wieków zmarszczki lica mu zorały,
Lat młodocianych wspomnieniem zajęty;
Jeszcze wyzywał pioruny a burze.

Niemało przeżył i widział niemało,
I swe pamiątki czci nieskazitelne;
Olbrzymie plemię co go budowało
Braciom za milę przerzucało kielnie.
Czas wielki minął, olbrzymy pomarły,
Zmalały czasy i plemię człowieka:
Wielkich praojców zastąpiły karły;
Lecz w jego żyłach myśl wieków przecieka!
Co dla nas martwe, on przeszłością żywie;
Na gwar nasz patrząc, śmieje się wzgardliwie,

„Wstyd mnie i spojrzeć na tę zgraję płochą!
Wszak ja widziałem, że człek mego latka,
Takiego człeczka z wołami i sochą,
Na jednej dłoni trzymał jak owadka!
Wy pnia wielkiego drobne latorośli,
Wy niby wyżsi potęgą duchową,
Gdzież ta potęga w którąście urośli?
Słowo rozgłośne, ale tylko słowo!

Przeszłość to niwa wszem dobrem bogata:
Sędziwe życie, co w czasie zakrzepło,
Zwiędniałe myśli i umarłe lata
Dały jej żyzność i wilgoć i ciepło.
Lecz sama ziemia plonów nie wyrości,
Trzeba ją w ciężkim uprawiać mozole,
A wy? wy leżąc na niwie przeszłości,
Jedwabném słówkiem pielecie kąkole.
W uściech ofiara i miłość społeczna,
Wzniośli, święceni i poświęciciele;
W czynie sobkostwo i nienawiść wieczna —
I cele mrówcze, powszedniutkie cele,
Wielcy! snadź po to, by przytłaczać siebie;
Czyż was pomieścić tej ziemi zaciasno?
Boże! gwiazdeczki płonące na niebie,
Czy sobie gorą, a dla innych gasną?
A wy co wyżsi nad tych gwiazd orszaki,
Płaczecie jedni, by drudzy się śmieli;
Głosicie postęp, a targ całkiem taki,
Jaki był przeszłej, zaprzeszłej niedzieli.
O! gdy tak pójdzie jak droga zaczęta,
To jeszcze pewnie doczekam tej chwili,
Że waszej dziatwy zdrobniałe dziecięta —
Będą pod garnkiem swe zboże młócili".

Wtém srogie wichry jesienne nadbiegły,
I gmach się zamknął ze swemi myślami.
Ze starej baszty sypnęły się cegły:
Zda się płakała kamiennemi łzami.

Wincenty Korotyński.

GROSZ WDOWI.

W on czas szli ludzie różni, ciskając w kaletę,
Dla biednych złote sztuki, lub drobną monetę;
A z niemi razem przyszła do świętego miasta,
Pokorna, ubożuchna, cnotliwa niewiasta,
I wyciągając rękę, skromna i nieśmiała,
Dwa maleńkie pieniążki na jałmużnę dała.
A Chrystus rzekł: Zaprawdę, wielkie to są dary,
Większe, niźli bogaczów największe ofiary,
Bo ci oddali zbytek, a ażaliż ona,
Składając dwa pieniążki, wdowa, opuszczona,
Dwa ostatnie pieniążki, nie złożyła z niemi
Swego chleba i wszystkich bogactw na tej ziemi!
Bracia w Chrystusie! niech nas ten przykład poruszy,
Niech słowo życia przejdzie do żyjącej duszy,
Niech litość z samolubstwa trędów nas uzdrowi,
I niech każdy poniesie ochoczo grosz wdowi!

Antoni Czajkowski.

POD BRZOZĄ.

Wieczorem przy blasku miesiąca,
Pod brzozą, co płacze nad wodą
I liściem kryształy jej zmąca,
Z bohdanką siedziałem raz młodą.
Jam klął jej mą miłość na wieki,
I ona słuchała mię drżąca

Pod brzozą, co płacze u rzeki
Wieczorem przy blasku miesiąca.

Jam mówił: „O luba! drżysz — czego?
Co strachu przejmuje cię grozą?
Przy blaskach miesiąca jasnego,
Nad brzegiem strumienia, pod brzozą,
Czy Bożej obawiasz się kary?
Czy ludzkiej potwarzy, a złości?
Pod brzozą, co zwiesza konary,
Nad wodą w księżyca jasności?“

„Bóg dobry nie karze kochania,
A ludzie nie będą widzieli,
Pod brzozą, co k' rzece się słania
W miesięcznych promyków przebieli“.
A ona mi na to z westchnieniem:
„Pod brzozą, gdy księżyc na niebie,
Nie Bóg mi, nie ludzie strapieniem,
Nie ich się ja lękam — lecz ciebie“.

„Bóg sędzia łaskawie przebaczy,
A ludzi zwieść można pozorem,
Któż zresztą nas tutaj obaczy,
Pod brzozy osłoną wieczorem?
Lecz twojej się straszę niewiary,
Gdy księżyc znów wejdzie na pełnię,
Pod brzozą z miłosnej gdy czary
Słodycze już spijesz zupełnie,
Czy wrócisz tu jeszcze na mleko,
Czy stroniąc od ramion mych prozy,
Niewdzięczny, uciekniesz daleko,
Pod inne miesiące, a brzozy?“.

Rzecz prosta, żem przysiąg tysiącem
Ostatnie jej przemógł skrupuły,
Pod brzozą, pod jasnym miesiącem,
Ust dwoje się w całus zesnuły.

Rok ubiegł. Pod brzozą zieloną,
Co płacze nad rzeki kryształem,
Gdzie ongi z kochanką siedziałem,
Sam siedzę, i kipi mi łono
I kipi mi łono rozpaczą
I z oczów łzy żalu mi cieką,
A brzozy konary też płaczą
Nademną — nie raczej nad rzeką.

Poezya zmieniła się w prozę,
Los ziścił proroctwo dziewczyny,
A tylko (w tem błąd ich jedyny),
To ona nie przyszła pod brzozę.

I. S. Chamiec.

STARZEC I DZIEWICA.

Wyjątek z „*Samobójcy*“.

Śród pól obszernych podnosi się wzgórze,
Sypane ręką natury, czy ludzi;
Czas zdmuchnął ślady, a gminnej powieści,
Raz tylko zgasłej, już nikt nieobudzi.
Na wzgórku sterczy krzyż dawny, a róże,
W cierń zaplecione, jak uśmiech w boleści,
Wieńczą pagórek i krzyża podnóże.

Pod krzyżem starzec, w żałobnej odzieży,
Na kiju wspierał głowę posiwiałą.
Widać, że przeżył, przecierpiał niemało,
Bo na zmarszczkami sfałdowane lica,
Gorzka, niejedna łza z oczu wybieży...
Przy nim jak anioł klęcząca dziewica
Z zapałem wiary domawia pacierzy.

Dwie te postacie pod krzyżem zbawienia,
Jedna klęcząca, druga nachylona,
Jak dwa posągi wykute z kamienia,
Jakby im życie zgasło w głębi łona,
Ciałem są tylko przybite do świata,
Bo dusza skrzydłem modlitwy niesiona,
Cała cierpiąca, do niebios ulata.

Starzec, z odbiegłą już złudzeń krainą,
Z sercem, wystygłem na powaby życia,
Z myślą noszącą już ślady rozbicia,
Starzec dla ziemi był tylko ruiną,
Do której pamięć przeszłości ubiegłej,
Jeszcze się czepia, jak liście bluszczowe,
Kiedy się wydrą z pod zwalonej cegły,
Aby owinąć kolumny bezgłowe.
Starzec chciał świętej modlitwy promieniem
Wznieść się wysoko, do wiary swej szczytu,
Ale, niestety!... jak skałą granitu,
Tak był do ziemi przybity... cierpieniem.

Dziewczyna młoda... i cóż ją zasmuca?
Po co łzą cierpień błyszczą jej źrenice?
Czy jest aniołem, który ziemię rzuca,
By prędzej wrócił w niebios okolice?
Czyli już ziemia dla niej ponęt niema,
Że tęskną myślą, tęsknemi oczyma,

Pogląda w niebo, jak gdyby na niebie,
Prawdziwe szczęście znalazła dla siebie?
Młoda i piękna... i gdzież są przyczyny,
Łez i cierpienia?... czyż w duszy dziewczyny —
Gdy jej się młodość w każdym kwiatku śmieje,
Gdy ją świat wabi, gdy ją rozkosz nęci,
Czy smutek może wytrącić z pamięci,
Że na nią czeka... przyszłość i nadzieje.
Przyszłość! nadzieja!.. ach te dwa wyrazy,
Gdy w okół młodej myśli się obwiją,
Jakże czarowne nawodzą obrazy,
Jak noszą duszę za światów granicą!
Niech staną we śnie, sen urozmaicą;

Niech zabrzmią, w pieśni ożyją.
I młodość wierzy w tym pierwszym zachwycie,
Że najpiękniejszym darem niebios — życie.
I czemże wtenczas smutek? chmurka blada,
Która na chwilę blask słońca zaciemi,
Powieje wietrzyk a ona przeleci,
Lub w mgłę się zmieni i we mgle opada;
I znów pogoda i znów słońce ziemi
Młodości — szczęście zaświeci.

Gustaw Zieliński.

O NIEWIEŚCIE POLSKIEJ.

Wyjątek z „*Odludki i Poeta*“.

Pierwszy mój uśmiech usta do kobiety wzruszył
Pierwszą łzę moją, oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo jej mowa kształciła pieszczona
Do kobiety'm najpierwej wyciągnął ramiona,

I kiedy w mgle dzieciństwa matkę poznawałem,
Nie wiedząc co kochanie, kobietę kochałem
A jeźli później ojca surowe nauki
Uczyły jak żyć trzeba — i cierpienia sztuki
Jeźli im winien jestem miłość, stałość w cnocie,
Niemniej możem jest winien i matki pieszczocie.
Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze zasady
Wpajała w młode serce własnemi przykłady,
I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciemnoty,
Że życie dobrej matki, pierwszą szkołą cnoty.
Upodobanie stałe tej samej zagrody
Gdzie jakby sen pieszczący przesnuł się wiek młody,
Powab, co z blasku świata i sławy zapału
W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,
Władzę, co lekkiém tknięciem duszę naszą budzi,
Drażni, aby nagradzać — by upewnić, łudzi,
I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste zdroje!
Żem zyskał drugie serce, że jest całkiem moje!
Tę pewność, że w dwóch sercach jedno tylko bicie,
Komu winni jesteśmy, jeśli nie kobiecie?

Aleksander hr. Fredro.

VI.

ŻEGLARZ.

I.

Ledwo świt błysnął — jam łódź od ziemi
Zepchnął na morze żywota,
I odtąd płynę z losami memi
Niedbam pogoda czy słota.

Choć burze ryczą — choć szumią fale,
Kłócą się wichry zwaśnione,
Nie trwożę sobą, ani się żalę,
Że nim przepłynę — utone.

Jużem ja dzisiaj to dzikie morze
Zaślubił sobie na zawsze,
Dawniej — myślałem, że Bóg mi może
Przeznaczył losy łaskawsze.

Dawniej myślałem że raz te wały
Wód rozdąsanych przepłynę;
I nim się łódź ta strzaska o skały
Do portu szczęścia zawinę.

Na wielkiem rzeczy myśl mą odważył
Aż oto niebo mię karze.
I o czém dawniej na jawiem marzył,
O têm dziś we śnie marzę.

Nie mam nadziei więc łódź kieruję
Naprzeciw wodzie i prądu,
I choć niejeden dzień już żegluję,
Nie tęsknię przecież do lądu.

Bo po kim tęsknić, za kim się smucić?...
Sterniku żagle do góry!...
Gdybym mógł ziemię raz wtóry rzucić,
Tobym ją rzucił raz wtóry.

Lepiej mnie tutaj morskie bałwany
Spokojną piersią rozcinać,
Niż krwawić serce nowemi rany
Nowe nadzieje przeklinać.

Dziś już zapóźno — wczoraj — Bóg świadkiem,
Że losy śmiały się ze mnie,
Gdym raz ostatni — uczuć ostatkiem
Do ziemi westchnął tajemnie!

A jakże — jakże westchnąć nie było,
Kiedy na brzegu tej ziemi
Ujrzałem postać, o której śniło
Serce me, snami złotemi.

Ujrzałem!... kogo? napróżnom pytał;
Dla wszystkich obca — niestety!...
Ale pamiętam com dawniej czytał
W księgach starego poety,

I niańki mojej pamiętam gadki,
I ojca pomnę przestrogi;
I sióstr zaklęcia i prośby matki
Gdym się gotował do drogi.

„O strzeż się — strzeż się synu jedyny!
„Płynąć wśród czarnej powodzi,
„By zwodna postać morskiej syreny,
„Niezczarowała twej łodzi“.

„Piękna to postać, cudowna postać,
„Lecz dosyć wiedzieć ci tyle,
„Że biada temu, ktoby chciał zostać
„W jej sercu choćby na chwilę“.

Tak mi radziła matka stroskana,
Jam przysiągł rady pilnować
I prawie byłbym przeszłego rana,
Zapomniał przysiąg dochować.

Gdyby nie morze co łódkę nagle
Ku innej stronie zagnało
I gdyby nie wiatr, co zadął w żagle
Pan Bóg wie coby się stało.

Dziś się wspomnienia samego boję,
Więc i wspomnienie pożegnam
A chociaż serca nie uspokoję,
To smutne myśli odegnam.

II.

WTÓRE ZJAWISKO.

A jakie dalsze losy żeglarza
Jeśli ciekawie kto spyta,
Niech nieudanej mowie przebacza,
I co napiszę, przeczyta.

Stałem ja długo na morskim brzegu,
Wsparty o skałę granitu,
I łódkęm ścigał tańczącą w biegu
Pośród morskiego błękitu.

Na łódce żeglarz siedział milczący,
Spokojném okiem spozierał,
Jak wał syczący — wspięty — ryczący
Z dzikim się wichrem ucierał.

Ręce na piersiach krzyżem zarzucił,
Czoło w pogodę uzbroił,
Ani się żalił, ani się smucił,
Snać rany serca wygoił.

Aliści spojrzy — tam przed nim zdala,
Straszne się jawią igrzyska,
Na dwoje pęka przejrzysta fala,
I mętno toczy koliska.

Toczą się koła, wiją i kręcą,
Kręcą i toczą i wiją;
To się odepchną, — to się przynęcą,
To białą pianką okryją.

I znowu pęka na dwoje pianka,
W drobne kropelki rozpryśnie;
Zaszumi woda — z pod wody błyśnie
Coś — niby biała cyranka.

Błyśnie i rośnie, wznosi się — szerzy;
Już widne piersi i lica,
A żeglarz patrzy — patrzy, nie wierzy,
Że przed nim płynie dziewica.

Płynie i płynie — chyżo i lekko,
Lica i piersi mgła kryje,
Lica, jak koral rzucony w mleko,
Piersi jak wodne lilije.

Ujrzał ją żeglarz — bladość księżyca
Na czoło jego się kładnie,
Jakaś w tej trwodze jest tajemnica,
Lecz któż ją, któż ją odgadnie?...

III.

Któż ją odgadnie?... żeglarz wziął lutnię,
Oko ku niebu podnosi;
Uderzył — lutnia zabrzmiała smutnie,
O posłuchanie was prosi:

„Czyś aniołem z nieba zbiegła,
„Abyś łodzi mojej strzegła
„Od nawalnych burz?
„Czyś odziana białą pianką,
„Osłonięta wdzięków tkanką,
„Jest bóstwem tych mórz?“

„Słuchaj — słuchaj porzuć czary,
„I te morskie wód obszary,
„I tę płochość rzuć,
„Wróć do świata, szczęście ziemi
„Cnoty twemi — wdzięki twemi,
„A mnie pokój wróć".

„Tam, tam w lesie, kędy ciszą
„Smutne jodły się kołyszą,
„Tam jest domek mój,
„A za domkiem niedaleko,
„Bielszy, słodszy niźli mleko
„Płynie szczęścia zdrój".

„Słuchaj... nie wzgardź małej chatki,
„Większe znajdziesz w niej dostatki,
„Niż wśród morskich fal;
„Aż do zbytku znajdziesz wszelkie
„Cnoty świetne — zbrodnie wielkie,
„Łzy, rozkosz i żal".

„Znajdziesz wszystko — więc jeżeli
„Zechcesz słyszeć szum topieli,
„I muzykę burz,
„Wtedy jasne twoje skronie
„Tu na mojem dzikiem łonie,
„Tu na sercu złóż".

„Znajdziesz burzę — a jeżeli
„Zechcesz usnąć na pościeli
„Z gwiazd, niebios i róż,
„Znowu jasne twoje skronie
„Tu na mojem cichem łonie,
Tu na sercu złóż".

„A gdy znęci cię blask złoty,
„Drogie perły i klejnoty,
„Mam ja skarby, mam,
„A tych skarbów nikt nie skradnie,
„Wszystkie leżą skryte na dnie
„W mojej piersi tam“.

Ryszard Berwiński.

STRACHY.

Na wierzchołku jednej góry,
Stały zamku pyszne mury;
Dach czerwono malowany,
Duże okna, białe ściany;
Nad gankiem herb, domu chwała —
Bęben, sztandar i dwa działa;
W nim małżeńskiej znak jedności,
Cyfra Jego i Jejmości —
Wymyśleniem wcale nowem
Strzela z rury; jednem słowem
Wszystko pięknie i wspaniale,
Lecz na świecie nie bez ale,
Czego — *sic fata tulere*,
Gmach ten miał dowody szczere.
Bo co do mnie, choć bogato,
Choć pięknie wyglądał z wierzchu,
Choćby męztwa był zapłatą —
Nie rad bym w nim być o zmierzchu,
Gdyż jak powiadają cicho,
Było w zamku jakieś licho.

Nikt nie zgadnął nikt nie wiedział,
Co też tam za kaduk siedział;
Ale że siedział, to pewna —
Czy to zaklęta królewna,
Czy o diablej upiór mocy;
Czy czarownik, czy złe duchy?
Nie wiem — dość że o północy,
Drzwi skrzypią, brzęczą łańcuchy,
Wicher świśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomych strojach,
Chodzi po pokojach,
I aż zaczną śpiewać kury —
Różne płata awantury.
Z dawna jak zapamiętano,
Już się w zamku ten strach kręcił;
Próżno księdza sprowadzano,
Próżno żegnał, próżno święcił,
Trudne bardzo z diabłem boje,
Pleban swoje, diabeł swoje.

Nie najbardziej radzi z gości,
Pan i pani, pełni strachu,
Zostawiwszy diablej mości —
Usum fructum swego gmachu,
Sami w co prędzej ucieczce,
Widząc ratunek jedynie,
Choć z biedą, jak śledzie w beczce —
Mieścili się w oficynie.
Mieli rozum, bo koniecznie
Lepiej ciasno, a bezpiecznie.

A tymczasem bies, pan placu,
Hulał sobie po pałacu,
Brojąc co mu się roiło.

Szczęściem tak się nadarzyło,
Że po dawnej znajomości —
Przyjechał do Jegomości,
W konwikcie kolega dawny,
Jeden poeta sławny,
A poeta, jakich mało.
Choćbym mógł, z jego pochwałą,
Nie mam czasu zbyt się szerzyć.
Prawda, że mu towarzysze
Mówili, że on źle pisze,
Lecz on temu nie chciał wierzyć;
Bo i któż Zoilów słucha?
Owszem z przekonaniem mocném,
Sądził się w pokorze ducha,
Najmniej Homerem północnym.
Bardzo słusznie — któż zaprzeczy?
Ale wracając do rzeczy:
Po półwieczném niewidzeniu
Skoro go ujrzał Jegomość,
W kordyalnem uściśnieniu,
Dawna odżyła znajomość.

By gościa przyjąć sowicie,
I uraczyć należycie,
Flasza dębniaku wyjęta,
Co Sasów jeszcze pamięta;
A przy miodzie mówią starzy,
Słodziej się gawędka gwarzy —
Rośnie ufność w przyjaciołach,
Przymus niknie, duch rzeźwieje,
Dalejże więc, to o szkołach
Co się działo, co się dzieje,
Kto jakie przeszedł koleje,
Kto gdzie bywał? gadu, gadu,
Od poranku do obiadu,

Od obiadu do wieczora.
Wtém już i spóźniona pora,
Na deszcz się jęło zanosić;
Grzeczność każe na noc prosić,
A tu — ani weź niestety,
Nie ma gdzie podziać poety!

Gospodarz gdyby na igle
Kręci się na wszystkie strony,
Tu grzeczność, tam hałas żony;
Aż potrzebą przynaglony,
Puścił się w końcu na figle.
Nie patrząc więc, czy to pięknie
Będzie, gdy się gość przeleknie,
Słowa nie mówiąc o strachu,
Zaprasza na noc do gmachu.
Wieszcz, jak zwykle, dobra dusza,
Bez namysłu śmiało rusza.
Lecz Jegomość widać jeszcze
Nie znał dobrze, co to wieszcze,
Jak pochopni, jak ochoczy
Awanturom zajrzeć w oczy.
Snać nie wiedział, jak to moi
Po Febie bracia stryjeczni
Wszyscy są arcy-waleczni,
Żaden się djabłów nie boi,
Chociaż się wydarza czasem,
Że ich w swoich rymach mieści,
Ale to tylko nawiasem;
Mniejsza o to. Ja tymczasem
Wracam do dalszej powieści,
Z którą już bez żadnej przerwy
Prościutko do końca idę:
Otóż jak wam rzekłem pierwej,
Poeta *in bona fide,*

Nie wiedząc o bożym świecie,
Ni o zdradzie, ni o strachu,
Maszerował spać do gmachu.

Ale nie sam jeden przecie;
Z kimże takim? z Jegomością.
Zkądże jemu śmiałość taka?!
Grzeczność wiodła nieboraka.
„Niech licho z taką grzecznością!"
Myślał, idąc jak na ścięcie;
Dusza schowała się w pięcie,
Zęby głośne larum dzwonią,
Wzrok schylony zakrył dłonią,
Snać się bojąc ujrzeć strachu.
Przyszli nakoniec do gmachu,
Niosąc na przypadek wszelki
Karabelę, pistolety,
A na wniesienie poety
Węgrzyna cztery butelki.
Przyszli, stolik postawili,
Cztery świece zapalili,
A usiadłszy przy kominie,
Poeta tak zaczął pierwszy:
— „Wiesz, jako w trudnych zawodach
Do laurowej bieżąc mety,
Sława ma na czterech odach
Wszystkie prześcigła poety?
Jak za tragedją sławną
Oklask parteru dostałem.
Lecz nie wiesz, właśnie niedawno
Drugą taką napisałem.
Dziś więc, gdy i czas po temu,
I mam do czytania wenę,
Racz jej słuchać; notabene,
Tobie to tylko jednemu

Daję ten dowód przyjaźni.
Słuchaj więc, a bez bojaźni
Powiesz mi zdanie otwarte;
Bo choć znam, co czego warte,
Choć mię nigdy na me wady
Miłość własna nie zaślepi,
Sądziłby jednak, że lepiej
Zasięgnąć twej mądrej rady".
Nic mu Pan nie odpowiedział,
Bo nic ni słyszał, ni wiedział;
Strasznym zdjęty ambarasem,
Nie do krytyk się sposobił,
On myślił, by z nim dziś czasem
Strach tragedyi nie zrobił.
Lecz wieszcz mając chęci szczere
Czytać, a przytem w pamięci,
Że *qui tacet consentire*
Videtur, papier rozkręci,
I łyknąwszy haust węgrzyna,
Czytać zaczyna.
I czyta, czyta z zapałem,
Sam sobie tylko przerywa:
„Uważ jaka scena tkliwa,
Jak tu namiętność wydałem!"
Nie skończył aktu połowy,
Drzwi skrzypły, brzękły okowy,
Wicher świśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomym stroju
Coraz bliżej krok pomyka,
Idzie prosto do stolika,
I stanęła koło pieca.
Widzi to Pan i drży cały,
Jak mur lica pobielały;
Bogu się tylko poleca.

A nasz poeta w ferworze
Grzbietem zwrócon ku potworze,
Jakby wśród najgłębszej ciszy,
Oprócz siebie nic nie słyszy.

Bo jak głuszec gdy tokuje,
Nic nie widzi, nic nie czuje,
Ani strzelca, ani strzału;
Tak poeta wśród zapału,
Gdy swe wiersze deklamuje.

Ztąd też bynajmniej nie ganim,
Że myśl utopiwszy w chwale,
Ani przed nim, ani za nim
Co się działo, nie dbał wcale,
A choć słyszał jęk i żale,
Rozumiał pełen radości,
Że to w jego tkliwej scenie
Tak żałosne rozrzewnienie
Napadło na Jegomości,
Więc dalej, rad z powodzenia,
Czyta bez zastanowienia.

A straszydło stojąc z cicha,
Ciągle słucha, ciągle wzdycha,
Pociągać się zaczynało.
I umilkło — znów jęknęło,
Chciało westchnąć — i ziewnęło,
Znów chce westchnąć — i znów ziewa.

Jak zawsze było przywykło
Czekać, póki kur zaśpiewa,
Teraz jednym razem znikło,
I już go więcej nie było.

Lecz Jegomość, rad z odkrycia,
Przynętą hojnej pochwały,
Trzymał wieszcza tydzień cały
Do wiadomego użycia.
I jak *antidotum* strachu,
Co noc go wodząc do gmachu,
Drzemiąc chwalił, co ów czytał.
Nieraz jeszcze strach zawitał;
Aż nie mogąc dostać placu,
Mimo wszelkiego *decorum*,
W trzecim akcie znikł z pałacu
In saecula saeculorum.

Moi czytelnicy mili,
Nie będziecie mi wierzyli,
Lecz, by wam tej prawdy dowieść,
Gdy czasem na was którego
Napadnie co podobnego,
Przeczytajcie mu tę powieść.

Antoni Edward Odyniec.

ANIOŁ STRÓŻ NAD UŚPIONYM.

Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie,
Strzegły długo wiek twój młody,
Od pokusy i przygody:
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc, jej wonie
Bronią senne dziecka skronie —
Od zarazy i owadów.

Nieraz ja na prośbę matki,
I za pozwoleniem Bożém,
Zstępowałem do twej chatki,
Cichy w cichej nocy cieniu:
Zstępowałem na promieniu,
I stawałem nad twém łożem.

Gdy Cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętném
Stałem jak lilia biała —
Schylona nad źródłem mętném.
Nieraz dusza mnie twa zbrzydła:
Alem w złych myśli nacisku,
Szukał dobrej, jak w mrowisku
Szukają ziarnek kadzidła.

Ledwo dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę,
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jej piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą — rzadko i w uśpieniu,
A zapomną w odecknieniu.
Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił:
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pjanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać —
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać:
Tyś przyjmował chłostę Boga,
Jak dziki męczarnie wroga,

I dusza twa w niepokoju,
Ale z dumą się budziła:
Jakby w niepamięci zdroju —
Przez noc całą męty piła.
I pamiątki wyższych światów,
W głąb ciągnąłeś: jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,
Oblicze tuląc w me dłonie;
Chciałem, i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie —
Bym nie spotkał twojej matki...
Spyta się, jaka nowina,
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,
Jaki sen był mego syna?...

UŚPIONY BUDZI SIĘ. — RANEK.

Nocy cicha! Gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta
Zkąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta?
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży:
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży:
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada,
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali.
Nie dziwi słońca dziwna, lecz codzienna głowa,
Zmienia się blask i ciemność jako straż pułkowa:
Ale gdzież są wodzowie, co jej rozkazali?..

A sen?.. Ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi?

Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy?
Trwoży się człowiek śpiący, śmieje się gdy zbudzi:
Mędrcy mówią, że sen jest tylko przypomnienie...
Mędrcy przeklęci!
Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?
Chyba mnie wmówią, że moje więzienie
Jest tylko wspomnienie!...
Mówią, że senne czucie rozkoszy i kaźni
Jest tylko grą wyobraźni:
Głupi! zaledwie z wieści wyobraźnię znają
I nam wieszczom o niej bają!
Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie,
I wiem, że leży za jej granicą, — marzenie!
Prędzej dzień będzie nocą, rozkosz będzie kaźnią —
Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.....

Adam Mickiewicz.

ARYMAN I OROMAZ.

Z *„Zenda-Westy“*.

W samym przepaści niezgłębionej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku,
Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty,
Gniewny jako lew, jak wąż jadowity.
Onego czasu, nadął się i dźwignął,
I wielką ciemność piersiami wyrzygnął
I po ciemności, jak pająk po sieci,
Szczeblował w górę, tam gdzie Bóstwo świeci.
Oparł się o dnia i nocy granice,
Wynurzył głowę i podniósł źrenice.

A skoro ujrzał, w samym niebios środku
W samym jasności najczystszej zarodku
Oromadesa, co wśród tworów świeci
Jak wśród gwiazd słońce, jak ojciec wśród dzieci:
Skoro na widok przedwiecznego słońca
Zły duch pomyślił o szczęściu bez końca...
Ta myśl ogromna jako świata brzemię,
Z takim ciężarem padła mu na ciemię
Że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków, i osiadł na nowo
W samym przepaści niezgłębionej środku
W samym ciemności najgrubszym zarodku.

Adam Mickiewicz.

ŚWIĘTA TOGA.

Ludowa legenda.

Jak zakonowi był Jan Kanty wierny,
Tak był dla nędzy ludzkiej miłosierny.

Raz gdy z kollegium spieszył do kościoła,
Mróz był straszliwy; patrzy, człowiek leży
Skostniały wszystek, prawie bez odzieży,
Siność twarz całą obeszła od czoła.
Strapił się Kanty — nie było nikogo,
A więc zziębłego co leżał nad drogą,
Jak mógł otulił własną swoją togą.
A gdy mszę cichą w kościele odprawił
Na tę intencję zziębłego żebraka,
Uprosił ludzi, by znieśli biedaka.
Ale Bóg cudem dla Kantego sprawił,

Że gdy w to miejsce spojrzał, po nad drogą
Miejsce na śniegu znacznie odtajało,
Lecz na ulicy nie było nikogo:
Znać ktoś go podjął, i dobrze się stało.
Lecz gdy Jan Kanty do swej celi wrócił,
Toga wisiała w swém miejscu na ścianie.
To się zatrwożył z razu i zasmucił...
I wielkie było ludzi zadziwienie:
Bo cela była pod kluczem zamknięta,
To zkąd się wzięła w celi toga święta?
Po dziś dzień jeszcze ta toga się chowa
U świętej Anny, i w dziejach Krakowa
Słynie łaskami. I był zwyczaj stary
Kiedy po Kantym obrano dziekana,
To po wyborze i mszy świętej z rana
Odwieczną togę na niego wkładano,
Aby Duch Święty zlał na niego dary
Jakie Jan Kanty dał szkole na wiano.

Wskazują jeszcze miejsca na ulicy,
W których mąż Boży w miłosierdziu stawał,
I gdzie spotkawszy bosego człowieka,
Własne obuwie bez namysłu dawał,
Więc i oddawszy pospiesznie ucieka,
Nagie swe stopy przysłoniwszy togą,
Aby to jeszcze nie zgorszyło kogo;
Bo się to działo w zimie i po śniegu;
I wtedy tylko widziano go w biegu.

I lata biegły, i rosła nić złota
W cichém zakryciu świętego żywota.

Wincenty Pol.

O PÓŁNOCY.

Północna ciszo! ileż w tobie głosu
Kiedy cię biedne moje serce słucha.
Co zaumarłe pośród dni chaosu
Dopiero nocą w życie się rozrucha
I wplata w swoją półsenną rozmowę
Nowe swe dzieje, — boleści nie nowe.

Lub gdy mu troska dzisiejsza dokuczy
Co się tak wbija jak pazur jastrzębi;
I nim się niemi pogardzać nauczy
Po kłębek wspomnień sięga do swej głębi,
Roztacza taśmy niby ujaśnione
Choć także bólem i łzami kupione.

Północna ciszo! roztocz skrzydło swoje
I weź mię na nie jak kwilące dziecię
W sen mię skołysaj — bo marzyć się boję,
Boję się myślą wybiegać w to życie,
Co jeśli trafnie wywróża początek
Nic mieć nie będzie prócz łez i pamiątek.

Kornel Ujejski.

POWÓDŹ W KROŚNIE.

Legenda historyczna z XIII. wieku.

O biada, dziś miastu, zaguba mu bliska!
Już Odra szeroko wybiegła z łożyska
Wzdymają się fale i piętrzą i rosną,
Już srogą powodzią zalały w pół Krosno.

Dzwon jęczy z wieżycy, brzmią głucho po mieście,
Płacz dziatwy strwożonej i jęki niewieście.
Biedaka chudobę spieniona rwie fala,
Domostwa rybackie w posadach obala.
Tu sterczy nad wodą słomiany szczyt dachu,
Gdzie tulą się dziatki w pół martwe z przestrachu,
Czekając aż łodzie na pomoc przypłyną.
Tam mała kołyska ze spiącą dzieciną,
Pomyka leciuchno jak łódka lipowa,
A fala zaklęte pogwarza jej słowa.
I cicho — bezpiecznie, spi dziecię, bo wierzy,
Iż słyszy piosenkę na łonie macierzy.
Brak wiary w ich piersi, brak w sercu otuchy.
Oblicza piętnuje żałoba i trwoga,
A z niskąd ratunku, a ciężka dłoń Boga
Zawisła nad miastem i w dowód snać kary,
Potopem nawiedza Krośnieńskie obszary.

O! nie trwoż się ludu, bo w grzesznym twym grodzie
Bieluchna gołąbka ulata w swobodzie,
Modlitwą a wiarą ulata w niebiosa!
A łez jej przeczysta odkupi cię rosa,
I wnet się wzburzone żywioły znów sprzęgą,
Gdy niebo przebije pokory potęgą.
Pan świętą modlitwę położy na szali,
I płomień jej serca grzeszniki ocali,
Bo siła u Boga duch ludzki podoła,
Gdy żyje na ziemi żywotem anioła!

Patrz, w świętym przybytku jak duchem skruszona,
W znak krzyża rozwarła wychudłe ramiona,
W ubogiej odzieży, ze stopy bosemi,
Upadła obliczem schylona ku ziemi,
Jak licha żebraczka. I któż ta niewiasta?
To pani na Szląsku, małżonka to Piasta,

To wnuczka mocarza, co dłonią stalową*)
Jak olbrzym z nad Renu wstrząsł świata połową,
Co zbrojny w znak krzyża, sam nurzał z Germany
W słowiańskich Dunajach Peruna bałwany.
Dziś, wiarę naddziada, po prawie kądzieli,
W głąb piersi niewieściej złożyli anieli,
Bo wiernie dróg Bożych niebieski tor ściga,
W ciemności żywota pobożna Jadwiga.
W milczącym przybytku jęk słychać i łkanie,
— „Nad ludem się moim umiłuj o Panie!“
Zawoła Jadwiga strwożona i blada,
Bo głosy brzmią w mieście: „O biadaż nam biada!“
I głowę uniosła i spojrzy wysoko.
I widzi cud żywy, czyż myli ją oko?
I łoskot zasłyszy, czyż zwodzi ją ucho!
Na krzyżu gwóźdź twardy rozstąpił się głucho,
A Chrystus wyciągnął prawicę spiżową,
I kreśli znak święty niewieście nad głową
I siła niezłomna w pokorną pierś spływa.
Od stopni ołtarza, powstaje wpół żywa.
Lśni blaskiem nadziemskim jej czoło dziewicze,
Snać święta ujrzała baranka oblicze.
I głazów znów stopą zaledwie tknie bosą,
Bo stróże-anieli tajemnie ją niosą.
O! niosą ją chyżo, bo srodze ją boli
Wiernego jęk ludu, łza bratniej niedoli.
A grono ubogich w trop ślady jej ściga,
I głosy grzmią chórem: „Niech żyje Jadwiga!“
Zbiegają niewiasty i starce i młodzi,
Lud wierny przepomniał okropnej powodzi,
A święta stanęła na brzegu, nad rzeką,
Co fale roztacza szeroko — daleko!

*) Ś. Jadwiga księżna na Szląsku, małżonka Henryka Brodatego z rodu Piastów, pochodziła ze krwi Karola Wielkiego cesarza niemieckiego.

Co w paszczę rozwartą gotowa w tę dobę,
Pochłonąć ostatnią biednego chudobę.
Stanęła i okiem powiodła po fali,
Rumieniec nadziemski oblicze jej pali.
I pierścień podniosła przeczystą prawicą,
Zabłysło dzieciątko z Maryą dziewicą.
A woda zaplusła, rozbiegły się kręgi
O cuda! wnet mocą nieznanej potęgi
Już Odra zamyka swą paszczę nie sytą,
I wraca pokornie w odwieczne koryto.
Silniejsza od ziemskiej złamała ją władza;
W raz łupy wydarte na piasku osadza,
Zbiegają wesoło do matek dzieciny,
Brzmi imię Jadwigi, wśród Krosna doliny.
A święta na ziemię upada w pokorze:
„Nie moja w tem sprawa,“ zawoła „o Boże!
Moc Twoja zbawiła od zguby lud wierny,
Bo w Tobie zdrój płynie miłości niezmiernej.
O! pomnij na wieki ubogi mój ludu,
Bóg cudów nie szczędzi, lecz godzien bądź cudu“.

Seweryna z Żochowskich Duchińska.

CMENTARZ W SANDOMIERZU.

Legenda.

Do ziemi słońca, do ziemi Włochów,
Gdzie rośnie laur i kwitnie ryż
Z rozwalin Romy, z pogańskich prochów,
Wzniósł się najwyższy Chrystusa krzyż.

Idą pielgrzymi z dalekiej ziemi,
A skoro w święty wstąpili gród,
Długiemi brody, szaty długiemi,
Dziwią ciekawy Rzymianów lud.
I otoczeni narodu ściskiem —
Do Watykanu dochodzą bron,
Który się wznosi ponad mrowiskiem
Domów wysoko, jak Boży tron.
Furtyan pyta: „Z dala posłowie?“
Usty mu płynie latyński miód.
— „Idziemy z kraju“ starszy odpowie,
„Gdzie się rozsiedlił Sarmatów ród“.
— „Witamy posłów ludu onego,
„Który acz zimny zamieszkał ląd,
„Gorąco kocha Chrystusa swego,
„Słuszną po świecie sławę ma ztąd“.

Poselnik prawi: „Ku Bożej chwale
„Kościół buduje Zygmunt, nasz Pan,
„I stoją ściany na stromej skale,
„Krzyż odkupienia połyska z ścian.
„Kościół opatrzon pańską szczodrotą,
„Trójcą swych wieżyc dosięga chmur,
„Ołtarze cudzą świecą robotą,
„Jest kazalnica i złoty chór.
„I cały kościół kuty z kamienia,
„Ładnie opasan parkanem drzew —
„I dotąd niema swego święcenia,
„Ani kapłański ozwie się śpiew“.

„Więc gwoli króla my do Papieża
„Idziem i prośbę podnosim wraz —
„O dar relikwij, i drzazgę krzyża,
„Na którym konał Zbawiciel nasz.

„Boć wiara uczy: Relikwii szczątkiem
„Otrzyma kościół święcenia chrzest;
„Bóg jest świętości wszelkiej początkiem,
„W który dom wejdzie, wiecznie w nim jest".

Odźwierny pojął wysłańców sprawę,
Izbę spoczynku wskazuje im,
Sam do Papieża. Posły ciekawe
„Co będzie?" gwarzą językiem swym.

Wszakże nie długo furtyan bawi
Do poselników powraca sam
I rzecze: „Papież was błogosławi;
„Przez moje usta wskazuje Wam:
„Idźcie do kraju, do Sandomierza;
„Z cmentarza, ziemi przynieście kosz".
Posluszne posły woli Papieża
Idą, w skarbonę złożywszy grosz.
Alić zaledwie lato upłynie,
Wtórym zawodem do Romy świętej,
Wchodzą posłowie, a niosą skrzynię
Ziemi, z onego cmentarza wziętej.

W hymn ponieszporny grały organy;
Papież wysoko na swej stolicy;
Do koła naród tłumnie zebrany;
W tłumie narodu polscy pątnicy.
Wedle rozkazu, gdy się zbliżyli,
Przed złoty Ojca Świętego tron,
Papież przemówił: Słuchajcie, mili
„Posłowie onych dalekich stron!
„A co wypowiem, królowi nieście:
„Mnogie relikwie ma w kraju swym;
„Jest w Sandomierzu, w tém starém mieście,
„Cmentarz: relikwią ziemia jest w nim!"

Podjął garść ziemi. Ziemia ściśnięta
Dłonią Papieża, pociekła krwią,
„Patrzcie! męczeńska krew to jest święta!
„Waszą relikwią zowijcie ją!“

Adam Gorczyński.

SKARB.

Legenda izraelska.

Był rabbi bardzo mądry i — ubogi...
Bardzo ubogi i bardzo szczęśliwy.
Ubóstwa jego proste były drogi,
I jak Eljasz pod cieniem oliwy,
Tak on, którego włos już wieńczył siwy,
Pod ducha swego spoczywał prostotą:
Mądrość mu była i szczęściem i cnotą.

Rabbi miał żonę, lecz w piersiach kobiety
Nie mieszkał taki duch spokojnej siły;
To też w niej często, o często, niestety!
Spełzłych pożądań żale się budziły,
Smutno jej było odejść do mogiły
I przebyć wrota tajemnicze zgonu,
Ziemskich dostatków nie uszczknąwszy plonu.

Ztąd nieraz ciężko została zmącona
Pogodnych myśli mędrca błogość cicha;
Serce się nieraz ścisnęło wśród łona,
Skoro usłyszał jak żałosna wzdycha.
— „Jakżeż — narzeka — dola nasza licha!

Twa mądrość nic nam nie przyniosła:
Czemuś mieć nie chciał innego rzemiosła?“

Rabbi mógł rękę podnieść i milczenie
Mógł płochym ustom nakazać, surowy;
Jako w bezbożnych lud miota kamienie,
Tak mógł groźnemi uderzyć w nią słowy,
Ażby mu do nóg pochyliwszy głowy,
Złożyła ciche wyznanie pokory,
Że duch w niej mały jest i pychą chory.

Ale ów mędrzec miał serce litośne,
I kochał tkliwie tę, co go dręczyła;
Pamiętał jeszcze, jak mu życia wiosnę
Miłości swojej kwieciem ukrasiła,
Jako mu wdzięczna, jako była miła,
Gdy słodsze, niźli rajskiej rzeki miody,
Pocałowania ust jej spijał młody.

Więc ukołysać chciał żałość niebogi,
Chciał coś uczynić, by była szczęśliwa,
I rzekł jej: — „Żono! skarb niezmiernie drogi
Pod naszym nizkim dachem się ukrywa,
Lecz pozór rzeczy często zwodnym bywa,
I pewno nie wiesz jak wielce jest cenny
Sabata świecznik nasz siedmio-ramienny?

Za nędzny mosiądz brał go wzrok twój słaby,
Zwiedziony starej prostoty robotą.
Lecz mógłby jaśnieć przed królową Saby,
Jako Ofiru najprzedniejsze złoto.
Tajoną prawdę odkrywam ci oto:
Dotąd za święte służył nam naczynie,
Dzisiaj ci z niego skarb szacowny czynię“...

I stał się skarbem ... Błyszczące źrenice
Wlepiła w niego niewiasta wzruszona;
Bogactwa swego znając tajemnice,
Radosną dumę uczuła wśród łona.
Jakby małżonką była Salomona,
Schylone czoło wysoko podniosła,
I tak chodziła w szczęściu swém wyniosła.

A kiedy doszła kresu ziemskiej mety,
Śmierć ją spokojnie pogodną zastała:
Nie było skargi na ustach kobiety,
Na żywot który, ubożuchnym miała.
Tylko gdy dusza uchodziła z ciała,
Z łagodnym smutkiem rzekł jej mędrzec siwy:
—„Idź tam, gdzie poznasz, co jest skarb prawdziwy!"..

KAMIENNE BOŻYSZCZE.

Starzec z kamienia ciosany
Długo-brody, straszno-licy,
Siedział przyparty do ściany,
W progu pogańskiej świątnicy.
Na jego brodę, na głowę,
Zamróz zawieszał swe igły;
Z brwi zwisły sople lodowe,
Ręce jak trupie zastygły.
Na silnych barkach u dziada,
Śnieg złożył ciężar nie mały,
Na szacie co z nóg mu spada,
Fałdziste pręgi bielały.

Młodzi, swawolni duchowie,
W wesołej a pustej chwili,
Siadając na jego głowie —
Żarty ze starca stroili:
— „Cóż z twoim stało się duchem?
„Czego się trzymasz pochyło?
„Rzeźbiarz chciał ciebie mieć zuchem,
„Lud chce uklęknąć przed siłą.
„Tyś zziębły, tyś cały w lodzie,
„Coś nakształt ziemskich nędzarzy;
„Lodu nie zgarniesz na brodzie,
„Śniegu nie otrzesz z twej twarzy.
„Patrz tylko na nasze czoła!
„Krew w całej uderza sile,
„Na sercu dumka wesoła,
„U ramion skrzydła motyle!
„A gdy latając szczęśliwi
„Trafim na mroźne powietrze,
„Ruch skrzydeł krew nam ożywi
„I śniegi z piersi nam zetrze:
„Zakrzepną czasem rączęta,
„Przychodzi płakać jak dziecię,
„Bo i duch czasem pamięta,
„Że są zawieje na świecie;
„W duchu wre życia potęga,
„Co bóle z serca rozproszy;
„Kuty z kamienia ciemięga
„Nie dozna takich rozkoszy!“

Z kamiennej otchłani łona
Dziad uroczyście odpowie:
— „Dziatwo, ty dziatwo szalona,
„Starej urągasz się głowie!

„Głowa, co wieki przeżywszy
„Zakamieniała w zadumie,
„I w myślach uczuć ruch żywszy,
„I chłody wytrzymać umie;
„Wiekowe dumań mych cele
„Nie jednodniowa pogoda!
„A więc się troszczę nie wiele,
„Że lodem skrzepła mi broda.
„Kiedy latając wśród ludzi,
„Stracicie życia mamidła,
„Gdy się wasz zapał ostudzi,
„A chłód zawarzy wam skrzydła —
„Siądźcie na głaz co was ziębi,
„Ufając jego pociesze;
„Z kamiennej piersi mej głębi
„Ciepłą wam iskrę wykrzeszę".

Władysław Syrokomla.

VII.

TWÓRCZE CHWILE POETY.

Czy los złowrogi bez przerwy
Tak rozstroił umysł młody,
Że tylko wiatr niepogody
Zdolny już grać — tylko w nerwy?
O gdy chmura niebo kryje,
Jak zbolały wzrok powieka,
Kiedy samotny wiatr wyje,
Jak jęcząca pieśń daleka,
Dla mnie wtedy pełne życie
I wylewa się obficie.
Potężny nadziemską mocą,
Otoczony zewsząd nocą,
Trzymam wielowładne dłonie
Na świecie roboty własnej:
Serce tam jak słońce płonie
W gwiaździe ni ciemnej, ni jasnej,
Jak słońce przez pół w zaćmieniu,
A ja na tle tego blasku

Maluję nowe plemiona,
Obce całemu stworzeniu,
Mego tylko wynalazku.
Może być, że pomysł Boży
Coś podobnego gdzieś tworzy,
A ziemia później wykona.

Seweryn Goszczyński.

ORZEŁ.

Wrzały burzą niebios głębie.
Na strzaskanym od burz dębie
Król ptaków się dąsał.
Patrzałem —
W około niego chmury, kłąb przy kłębie,
Wrony i kruki nawał za nawałem.
Widziałem —
On tylko skrzydła zjeżone potrząsał.
Naraz ujrzałem,
Przez ptactwo i chmury,
Pada promień z góry
Na ptaków króla:
Niebieskim światłem oczy mu olsnęły,
Niebieskim wiatrem skrzydła mu rozdęły —
Wrony się zbiły, chmura się stula,
A on na krzyżu skrzydeł rozpięty,
Przez wron chmury i chmur męty,
Po jasnem niebios promieniu
Dąży ku nieba sklepieniu.
Wrzawa i grzmoty wrą w koło niego,
On się nie puszcza szlaku swojego,

A ziemia coraz niżej,
A niebo coraz bliżej.
I ot! pod orłem już chmury,
Pod orłem wrzaskliwe chóry.
Patrzałem, słuchałem —
A na podniebiu całém
Cisza i jasność — orzeł w słońcu zginął,
Jeden śpiew tylko na ziemię spłynął,
Śpiew to zwycięzki w orlej dziedzinie;
Tylko w mojego ducha głębinie,
Jak echem śpiewu zadrżałem,
To echo ducha na orla śpiewanie:
I jak zabrzmiało, tak brzmi nieprzerwanie.
Gdy mię chór troski zagłuszy
Ono budzi letarg duszy,
I w ślad orli, w orle kraje
Nieść mnie nie przestaje.

Seweryn Goszczyński.

SONET Z DANTA.

Jeśli najczystsza miłość z pobożnością,
Jeśli majątek smutki i wesele,
W równym się dwojgu dostały podziele,
A serca płoną wzajemną skłonnością;

Jeżeli w dwojgu ciałach jedna dusza,
Równym dwóch skrzydeł porywa się lotem;
Jedno uczucie jeśli naraz wzrusza —
Dwa serca jednym wskróś przeszyte grotem;

Jeśli się jedno w drugiem rade gubi,
Za miłość tylko miłości chce samej,
Jeśli uprzedza chęci, jeśli lubi;

Ona rząd jego, a on rząd swej damy,
Czy to nie wiecznej miłości są znaki?
Czy chwilka gniewu zerwie węzeł taki?

Lucyan Siemieński.

TOAST WESELNY.

Nie mówcie płocho, że wieszczowi trzeba
Samotnie drogę odbywać żywotu,
Bez więzów ziemskich wzbijać się do nieba,
I nie zawinąć pod skrzydła namiotu —
Że jemu błękit, nie padołu gleba,
Szlak nadpowietrzny — nie zagrody wrota;
Że winien nawet wśród burzy wytrwale
Stać jako orzeł samotny na skale.

Nie mówcie płocho że dla niego nie ma
Kotwicy szczęścia u cichego proga —
Że skrzydłom ptaka i oku olbrzyma
Słońce drogowskaz, szlak gwiazdzisty, droga —
Że ile więzów u ziemi go trzyma
O tyle staji nie dorośnie Boga
Ile miłości ziemskiej dał zapałów
O tyle niższy w sferze ideałów.

Nie mówcie płocho, że dla orlich lotów,
Aby szybować w dal za myślą własną
On ciche gniazdo opuścić jest gotów
W którém dla duszy namiętnej za ciasno;
W sferze błyskawic i porannych grotów
Czuć tylko spokój i pogodę jasną;
I z gwiazdzistego nie zstąpić manowca
Chyba strudzony — w powiciu grobowca.

Nie Boską mierzcie go, lecz ludzką miarą,
On także człowiek, z łez i krwi i kości
On także człowiek i za szczęścia marą
Z najwybujalszej schodzi wysokości.
A gdy się z bólów mętną staje czarą
Na jedno serce tylko ma miłości
I tylko w chwilach, gdy się w pieśni budzi
Cierpi i kocha — za miljony ludzi!

Oh! w takich chwilach gdy pod stopą mętnie
A Bóg swe gwiazdy zaćmi po nad głową,
Gdy dla swej pieśni okupiłby chętnie
Iskierko prawdy — wieczności połową,
I niebo milczy albo niepojętnie
Mówi, swych wiecznych zagadek wymową...
Z których jedyna się prawda odcienia:
Niepłodność badań — i niemoc natchnienia.

Wy znacie pieśni któremi was darzy,
W których odsłania swych marzeń skarbnicę,
Ale wy pieśniom nie poznacie z twarzy
Jakie ich wątku straszne tajemnice —
Jakich mąk lawa w ich łonie się żarzy,
Jakich zawodów mieszkają tęsknice,
Jaki ból w piersi ich dźwięki wywodził,
Jaki dyssonans ich harmonją zrodził.

A w takich chwilach, tak częstych u wieszcza
Gdy skrzydło marzeń bezwładnie obwiśnie
Gdy się w jedyném jego sercu streszcza
Ten ból, co głazem całą ludzkość ciśnie —
O w takich chwilach, nagle się obwieszcza
Ta prawda, z której nowy zapał błyśnie
I nowych natchnień roztacza podniety
Wcielona w postać anioła kobiety!

Wybranko wieszcza! wiesz ile to miano
Wszechanielskiego mieści posłannictwa?
Najkosztowniejsze że zawiera wiano
I duchownego palmę przodownictwa.
Ale zarazem, bo tak napisano
Że się powinność łączy do dziedzictwa:
Każe ci w zamian nosić dwa sztandary
Szatę kapłanki i serce ofiary.

Wybranko wieszcza! jego duszy Znicza
Masz razem iskrą i kapłanką zostać —
Twoje ci serce tej siły użycza
By tej kapłańskiej powinności sprostać.
Bo to jest twoja władza tajemnicza —
O ty! od której sfinksy wzięły postać
Że czego tajnia rozumu nie zgadnie
W postaci uczuć — chowasz w sercu na dnie.

Twoje więc serce będzie motowidłem
Z którego pieśni nić wysnuje śpiewną
W chwilach polotu, ty mu będziesz skrzydłem
W chwilach pogromu — ty przystanią pewną —
A gdy się zbłąka za sennem mamidłem,
Za jaką marą wietrzną i powiewną
Jeden twój uśmiech ze snu go ocuci:
Wróci do prawdy — gdy do ciebie wróci.

August Kościelski.

TESSALIANKA.

To nad Olimpu cichym szczytem
Ogniste słońce wstaje;
Owiane drżącej mgły błękitem
Tessalii szumią gaje
Lecz coraz jaśniej błyska z góry
Egiejska topiel płonie.
Falami złota i purpury
Szemrzące płyną tonie.

Wtem Tessalianka czarnowłosa
Z cichej wybiega chaty,
Z wiatrem rozwiana leci kosa,
I białe fale szaty,
Aż wybieżała na szczyt wzgórza
Skały wyżynę dziką,
Wzrok gdzieś w potokach świateł nurza
Pierś jej gra pod tuniką.

— „Kto cię tak dziewko zbudził wcześnie,
„Z pod śnieżnej twej kotary?
„Czy cię słowicze bawią pieśnie,
„Czy cichych dumań czary?
„Może w tym gaju nad potokiem,
„Poranku pić chcesz wonie,
„Gdzie pod ognistem Feba okiem
„Wstydliwa Dafne płonie?
„Tam Zefir drżące chyląc kwiecie
„Skroń ci uperli rosą“.

— „Na dzikiej skały nagim grzbiecie
„Nogą stanęłam bosą;
„Bo tu z laurowych rosa kwieci
„Jak łza się ślni zdradziecko,
„Niech z Termopilów wiatr przyleci
„Pierś mi owionąć grecką“.

— „Lecz zkąd tak rąbek drży u łona,
„Twarz pali się rumieńcem,
„Pewno ty czekasz utęskniona
„Za miłym ci młodzieńcem,
„I wzrok po modrej puszczasz fali
„Czy biały żagiel płynie?“

— „Siostrzyca Klefta, czekam fali,
„Co drga przy Salaminie,
„Fala ta cicha choć spieniona,
„Wzdłuż greckich brzegów bije,
„Białe zanurze w niej ramiona
„Czarną w niej rosę zmyję
„A kiedy wyjdę z tej kąpieli
„Na złote ognie słońca,
„Jak Niobe w czystej stanę bieli,
„Marmurów blaskiem lśniąca.
„Bo wszystka greckiej krwi purpura,
„U serca mi się zbierze;
„Wtedy czarownic starych córa,
„W drgającą pierś uderzę,
„A strasznej klątwy jęk tak głuchy,
„Poranku zabrzmi ciszą,
Że wszystkie starej Grecyi duchy
Od razu mnie usłyszą.

I z niebios, ziemi, gór, przepaści,
Moc taka wyjdzie święta;
Że na półbogów znów namaści,
Ilotów niemowlęta!

Marya Ilnicka.

LILJA.

U r y w e k.

Nad brzegiem wody nędzna chata stała.
Z sitowia lepione ściany,
Dach rozrzucony słomiany,
I w ziemię wpadłe okienka miała.
Przez tych okienek nierówne szyby
Z rozpalonego ogniska
Czerwony płomień połyska,
I te okienka świecą się niby
Dzikiego zwierza jaskrawe oczy.
A kiedy ogień w górę poskoczy
I słupem iskier nad dach wyleci,
Widać przed ogniem rozwieszone sieci,
Widać przy ogniu postać gospodyni,
Jak skrzętny zachód do wieczerzy czyni;
I najlepiej z wszystkiego oświetloną głowę
Rybaka co w milczeniu sieci wiąże nowe.
On jakby niespokojny, jakby niecierpliwy,
Czasem ręce opuści, popatrzy, posłucha,
Znać jednak że daremnie, bo żaden głos żywy
Natężonego nie doleci ucha.

I żaden obraz przed okiem nie błyśnie
Chyba nad wodą wiatr jękliwy świśnie,
Albo po niebie chmurki się przegonią.
Nareszcie w sercu kryte niepokoje
Przerwały tamę milczenia
I popłynęły w słowa zażalenia
Jak słotą wezbrane zdroje.
— „A też to wiecznie, wiecznie kłopot o nią
Powiadam ci kobieto, że mnie ta dziewczyna
Przestaje trwożyć, a gniewać zaczyna —
Już tak późno — i chociaż niby letnia pora
Dobrze chłód czuć się daje, nad brzegiem jeziora,
Jej nie ma — ani szukać, ani wiedzieć komu,
Jak tę zbiegłą ptaszynę przywołać do domu.
Ja ci mówię że kiedyś“ — rybak złożył dłonie —
„Oh! strzeż Boże! kiedyś nam w jeziorze utonie,
Albo jeszcze ją samą błądzącą po lesie,
Wilk zgłodniały uniesie.“
Kobieta w znak przeczenia głową poruszyła.
— „Bądźcie weselszej myśli — czyliż nie pomnicie
Ile już razy jej życie
Nieznana moc ocaliła?
Jak w świętych Pańskich, ja w nią teraz wierzę,
Jej anioł ciągle pilnuje i strzeże;
Onaby mogła chodzić po powierzchni wody
I z wiatrem na wierzchołkach lasów iść w zawody,
Ona tak od kolebki z cudów w cuda żyła,
Różna i obca innym dzieciom ziemi
Że gdybym jej w łonie mojem nie nosiła
I nie karmiła piersiami mojemi,
Tobym dziś wierzyć nie mogła nie śmiała
Że ta jak kryniczne zdroje,
Że ta jak Boża-Rodzica.
Czysta i piękna dziewica
Jest moja Lilijka mała
Jest jedyne dziecię moje!“

— „Wyście ją też, wy matko zepsuli pieszczotą,
I teraz biedny ojciec niechaj co chcę robię
Ani wiem jak począć sobie
Z tą nadzwyczajną istotą?
Ot, nie dalej jak wczora
Przyszła nad brzeg jeziora,
Kiedy ja właśnie sieci zakładałem.
Skinęła ręką — podpłynąć musiałem
I wziąść ją z sobą — lecz mnie, co nie wierzę
W siłę jej cudów, ino kocham szczerze
Jak ojciec córkę — Boże! cóż mi było
Ile się razy czółno przechyliło?
Aż zimno wspomnieć — ona cichuteńko,
W przeciwnym końcu na słomie siadła,
Głowę podparła ręką,
Rękę czółna krawędzią i ponad zwierciadła
Przejrzystej wody tak się wychyliła,
Że gdyby czółnem choć rybka trąciła,
Jużbyśmy na dnie spali oboje.
Chciałem powiedzieć czego się boję,
Przestrzedz; nie dała, na znak milczenia
Do ust palce przyłożyła
I tak błagalném spojrzeniem patrzyła...
Że cóż? wy najlepiej wiecie,
Ja ojciec nie kamień przecie!
Na prośbę tego spojrzenia
Sambym się do wody cisnął
Więc też zamilkłem — a ona
Znów się wsparła pochylona
I wzrok jej nad wodą zawisnął
Potem zaczęła coś sama do siebie,
Dziwnemi gadać słowami —
Że my płyniem obłokami
Po złote słońce na niebie;

Że dna jeziora — to światy inne
Że tam są lasy, góry, doliny,
Że rybki zwinne
Są lotne ptaki
Owej nieznanej krainy,
A drobne muszelki,
To zwierząt rodzaj wszelki;
A ludźmi tam są — ślimaki,
I tak się w różne, w różne rozgadała czary,
Że ja oto — ja stary
Słuchałem jej — jak dziecko, które niańka pieści,
O zaklętych księżniczkach nieznanej powieści
Słucha okiem i uchem — ale nie dość na tém
Wyciągam nakoniec sieci,
Patrzę, ryb dużo — w odzieniu bogatem,
Karp złotą łuską świeci
I król szczupak sążnisty — ciemno centkowany,
I lin w tęczową sukienkę ubrany,
I srebrnych płotek i okoni roje:
Aż w ręcem klasnął — wszystko było moje!
Więc składam na brzeg — ta pusta dziewczyna
Wysiada z czółna i zostaje z niemi,
Ja odpłynąłem — nie wyszła godzina
Znowu przybijam z drugiemi,
Gdzie pierwsze były — pierwszych tylko ślady,
Zielsko i wilgoć na ziemi —
Bo zresztą z całej gromady
Nawet i płoteczka mała
Ani jedna nie została.
Żal serce ścisnął — pytam się co znowu
Zrobiła z mego połowu?
A ona ręce obiedwie składa
I tym głosem odpowiada,
Co tak dźwiękiem w sercu płynie,
Jak szmer wody po dolinie,

Jak śpiew ptasząt w chłodnym gaju,
Jak pieśń duchów w jasnym raju:
— „Przebacz, przebacz ojcze miły
Wszystkie rybki tak tęskniły
Że mnie litość zdjęła rzewna,
Oh tak tęskni jestem pewna
Za rosą kwiatek, za piosnką echo,
Smutny za jednej łezki pociechą,
Starzec za niebem, za szczęściem młody
A świat cały za nadzieją.
Oh! przebacz ojcze! ja też koleją
Wszystkie rzuciłam do wody“!
Cóż było mówić? może o głodzie,
O nędzy naszej, o marnym zysku?
Lecz ryby dawno po szklannej wodzie
Pluskały sobie wesoło
A to zepsute dziecko swe czoło
Do ust mi niosło w uścisku.
Nic też nie rzekłem — tylko jak zawsze
Jak codzień myślę, tak wtedy
Myślałem także strapiony,
Czy będzie kiedyś wśród naszej biedy,
Ów anioł z nieba rzucony,
Miał od nas losy łaskawsze?“
I zamilkł ojciec — matka westchnęła
Gorzkiem, stłumionem westchnieniem,
I wywołana trwogą, czy wspomnieniem
Łza po jej twarzy spłynęła.
— „O szczęście“, rzecze, „trudno na tym świecie
Każdemu z ludzi — jednak nasze dziecię
Wszak prawda mężu — córka nasza droga
Tak piękna, dobra, i tak kocha Boga
Że choćby nawet... choćby nad jej głową
Przekleństwa słowo,

Groźbą ciężyło straszliwą...
Ona musi być szczęśliwą!“
I zwrócona ku stronie kędy malowany
Wizerunek Maryi, w paciorki przybrany,
Złotą suknią z małego promienił ołtarza
Jakby w odpowiedź na myśl swą lękliwą
Jeszcze raz biedna rybaczka powtarza;
„Ona musi być szczęśliwą!“
W tém lekko drzwi skrzypnęły i młoda dziewica,
Powoli weszła do chaty;
Takie kształty powiewne, takie cudne lica
I takie woniejące w ręku niosła kwiaty,
I była w taką białą szatę przyodziana,
I tak się w izbie od niej stało piękniej, jaśniej,
Że tylko przed nią, jej rodzice właśni
Mogli nie paść na kolana.
„Dawno cię już czekamy“, rzekł ojciec łagodnie,
„Choć noc piękna, wiatr wieje, zziębłaś niezawodnie,
„Pójdź do ognia Lilijo!“ i powstał z siedzenia,
Które sam przy kominie z robotę zajmował:
Lekko ją w białe czoło pocałował
I patrzył okiem pełném zachwycenia.
Kiedy ona w pokorze, na tkliwą podziękę,
Do ust kościstą jego przyciskała rękę;
Matka tymczasem skromną wieczerzę zastawia,
Ale śliczna Lilija obojgu odmawia.
— „Ni mnie zimno, ni ja głodna,
Matko moja; ojcze mój
Twarz księżyca tak pogodna,
W górach taki czysty zdrój,
Że mi ciepło od promieni
Że mi rzeźwo od strumieni,
Od strumieni tych przejrzystych
Niech nie smuci ojca matki,
Że dziś wracam do ich chatki

W tak spóźnionej porze,
Bo to jutro Ciało Boże,
A ja do kościoła;
Najwoniejsze rwałam zioła
Najbarwistsze kwiatki".
To rzekłszy przy Maryi ołtarzu klękneła
I piękne równianki układać zaczęła.
I z każdym kwiateczkiem coś mówić koleją
A ojciec i matka na ławie dębowej
W milczeniu tej dziwnej słuchają rozmowy,
I nawet pytaniem, przerwać jej nie śmieją.

„Moje kwiateczki! moje kochane!
Jakie wy lica macie powabne!
Jakie pięknie malowane
Sukienki jedwabne!
Oh ja z wami — jak z siostrami
Kocham się i znam,
Ja zwyczaje i wspomnienia,
Ja rozkosze i cierpienia,
Opowiedzieć mogę wam.

Ot ten haber, to przez pola
Biegł anioł uroczy,
A gdzie spojrzał kwitła rola,
Kwiatkami ślicznemi,
Prześlicznemi, bo modremi,
Jak anioła oczy.

Ta przylaszczka drobna, biała,
Znam ją dobrze, ona spała,
Lekkim śniegu płateczkiem,
Aż do zimy spała końca,
Dopiero ją promień słońca
Obudził kwiateczkiem.

Lecz już czasu nie starczyło,
By ją słońce zrumieniło,
Zawsze taka wybladła;
Zawsze w cieniu tak drzymie,
Jako dawniej gdy w zimie,
Martwym szronem upadła,

Nieśmiertelnik mój złoty!
Wiem ja także dla czego
Przejdą burze i słoty,
  Przejdą wichry jesieni,
  Mrozy, lody, a jego
  Nic listeczków nie zmieni.

Bo to dawno już było;
Tyle gwiazd raz świeciło,
Że gdy między niemi
Wionął wietrzyk skrzydlaty,
Jako strząsa drzew kwiaty,
Tak ich strząsnął promyki,
  I rozsiał po ziemi.

I z rozsianych każdą wiosną
Złote kwiateczki rosną,
Złote nieśmiertelniki!
W nich trwałości zjawisko,
Bo jakże zwiędnąć mają
  One co pamiętają
  Że były Boga blisko"...

Tutaj na chwilę zamilkła dziewica
Jak słońce srebrną chmurą, smutkiem zaszły lica,
    Wzięła do ręki jakieś ziele nowe,
    Długo je, długo trzymała,
    I długo, dlugo dumała,
Niby tajemną listków rozważając mowę,

Nakoniec rzekła:
„Oh! to dziwne ziele!
Na pustkowiach wśród cmentarzy,
Rośnie go bardzo wiele,
I nieraz mi się zdarzy,
Zerwać je do równianki, albo wpleść do wianka,
Lecz zaraz w tedy cięży na piersiach równianka,
Zaraz pod wieńcem każda myśl wesoła,
Jak ptak spłoszony ucieka mi z czoła,
To dziwne ziele! gorzkie i w wiecznej żałobie,
Na każdém miejscu się rodzi,
Ale gdzie tęskno, głucho, samotnie,
Tam ono stokrotnie,
Bujniej i żyzniej wschodzi,
A najbujniej, najżyzniej, na człowieka grobie.
To dziwne ziele! pieśń jego słyszałam,
I chociaż wszystkie słowa spamiętałam
Ja niewiem co ta pieśń znaczy?
„Od ufności ku rozpaczy
„Życie ludzkie płynie,
„Od piękności ku zniszczeniu
„Idzie wszystko w przyrodzeniu
„A potem jedynie
„Na zwaliskach i na grobie
„Ja piołun rosnę sobie,
„Bo mnie tak posiał anioł żałoby,
„Między zwaliska i między groby,
„Ach gorzkiem posiał nasieniem —
„Garścią popiołu, co się została
„Z ludzkiego serca, z ludzkiego ciała,
„Gdy się to serce, gdy się to ciało
„Długą tęsknotą, długim cierpieniem
„W proch rozsypało.“
Oh nie — ja słów tych wcale nie pojmuję
Tylko w głębi duszy czuję

— Coś—jak gdybym rodziców przy sobie nie miała —
Coś — jak gdybym nad sobą nieba nie widziała —
To takie smutne — takie brzydkie ziele!
A jednak — nie chcę go rzucić
Razem z innemi w kościele,
Na Pańskie ołtarze
Złożę je w darze;
Jemu tam lepiej będzie,
Bo choć smutek gorzki wszędzie,
Słodko to czasem przed Bogiem się smucić!

A teraz pójdź dla ciemnych myśli rozjaśnienia
Pójdź tutaj biały kwiecie mojego imienia
I ty z nim równie biała
Moja konwalio mała.

Wolę dźwięk waszej pieśni, wolę barwę szaty
Nad kraśnej róży wdzięki,
Nad wszystkie w świecie dźwięki,
Chociaż i wy żałoby — i wy śmierci kwiaty,
Lecz cóż to za różnica!
Gdy umiera dziewica —
Dziewica siostra anioła —
Jak gromnice przy pogrzebie
Złote gwiazdy na niebie,
Świecą jej dokoła,
A nad szklistym strumieniem
Lilja biała ubrana,
Lilja niepokalana,
Kapłanka rodzinnych błoni,
Modli się za nią żałobnym pieniem
A konwalija modlitwie dzwoni
W swoje wonne i czyste
Dzwoneczki srebrzyste!...

Ach gdyby to już dla mnie lilija nuciła,
Ach gdyby konwalia już dla mnie dzwonila!
To musi być tak miło tak błogo radośnie,
Umrzeć w samej życia wiośnie!
Wszak prawda matko?" —
I podniósłszy czoło
W oczy swej matce spojrzała wesoło, —
Biedna rybaczka! łza jej na twarz ściekła
Nim drżącym głosem Lilji odrzekła:

„Być może — nie wiem — nie wiem moje dziecię,
Ja dawno już żyję przecie.
A czy zła czy dobra dola,
Nie sądzę, duchem uboga,
Tylko się modlę do Boga,
Niechaj będzie jego wola —
I ty Liljo módl się — módl się szczerze,
Oto właśnie w tej godzinie
W samą północ księżyc płynie,
Czas na wieczorne pacierze" —
Lilia wstała — i bliżej okienka
Cicho pokornie klęknęła,
Głośno „Ojcze nasz" — mówić zaczęła
A jej biała sukienka,
Księżycem świeci jak duchów szaty,
A w koło przy niej rozsiane kwiaty
Jak przed Maryi obrazem.
Ojciec i matka klęczą z nią razem
Z nią razem mówią pacierze
„Zdrowaś Marya" — i „Wierzę".
Ale już oni dawno skończyli
Boga westchnieniem,
Ją uściśnieniem
Ostatniem błogosławili.

A ona ciągle klęczy przy okienku,
Głowę na białem oparła ręku,
Oczy w niebie utopiła
I długo jeszcze, długo się modliła
Swoją modlitwą — swojej duszy pieniem
Poezją — i zachwyceniem!...

Gabriella.

Z DZIEJÓW PIEŚNI.

Wrodzona z uśmiechów i łez młodej matki,
Drżąca, z serca jej wschodzisz nad kołyską oto
Jak z serca ziemi wschodzą nie posiane kwiatki;
Piosnko! pieszczoto!
Lecisz na białych skrzydłach, jak anioły stróże —
Imię twoje „najmilsza“, a dźwięk twój opada
Tarczą, pomiędzy dziecię, a życiową burzę,
Co dysze blada!

Młodość cię z piersi swojej ciska jako strzały,
Tobie na imię „sława“, „miłość“, „ideały“
Rozpalasz gromy w duchach i w głębie zadumy
Unosisz tłumy.
Tyś orzeł, co się gnieździ na myśli wyżynie,
Ty słowo, co się ciałem staje w wielkim czynie,
Wstrząsasz purpurą królów i nędzy siermięgą,
Pieśni potęgo!

Ty wreszcie cicha stajesz nad świeżą mogiłą —
Pochwycona jak ptaszę praw wieczystych siłą,

Łez pełna, Hiobowych żalów stroisz lirę
Szepcąc „dies irae“.
I w odmian wszechistnienia uniesiona wichrze,
Tając jako śnieg, w tony cichsze, coraz cichsze,
Aż ujdziesz, jako strumień, w oceanu wody,
W pieśni przyrody.

Marya Konopnicka.

MŁODEMU ARTYŚCIE
NIEUŻYTECZNA PRZESTROGA.

Ach! strzeż się! ach, strzeż się! ta czarnoksiężnica,
Co pieśnią rozmarza, co wdzięki zachwyca,
Już leci tu blisko, już gwiazdy przesłania,
Już serce wydziera, już duszę pochłania.

Ach! prędko, ach! prędko, relikwia do ręki!
Bo pieśni cię strują, bo porwą cię dźwięki,
Bo w wieczność daleką polecisz za niemi
Bez ojca na niebie, bez braci na ziemi.

Ach! spiesz się, ach! spiesz się! relikwia odczyni
Zły urok senliwych widziadeł władczyni.
Weź tylko, weź świętą, weź bardziej ci drogą,
Niż głosy jej zaklęć drogiemi być mogą,

I przyłóż, och przytul do piersi artysty
Dłoń szczerej przyjaźni, proch ziemi ojczystej,
Ukochaj coś wyższém nad sztukę kochaniem,
Zostaniesz się z nami, my z tobą zostaniem.

Ja wołam, ja wołam — artysta nie słucha,
Ta czarnoksiężnica spętała mu ducha,
I wzięła na skrzydła szerokie, tęczowe,
I makiem snów wiecznych zwieńczyła mu głowę.

Już usnął — już wzleciał — już ku nam jedynie
Głos czarnoksiężnicy, nie jego głos płynie;
Toż cuda się dzieją, och! cuda wśród ludzi!
Ten głos go usennił — a nas tu on budzi.

Ten głos go roztęsknił — a nas tu pociesza.
Ten głos go zabija — a nas tu on wskrzesza,
Więc dalej, więc dalej, w muzykę zaklęty,
Leć duchu! tyś grzeszny sam sobie — nam święty.

Gabriella.

Z PIEŚNI LITEWSKICH.

Czegoś smutny, ojcze stary?“
— „Wyprawiłem syna mego,
Wyprawiłem na Tatary
Syna mego jedynego.
Wąs mu jeszcze nie wypłynął,
W pierwszej teraz będzie bitwie,
Drży mi serce, by nie zginął
Lub nie zrobił wstydu Litwie“.
„Śmiało, synu mój,
Przy chorągwi stój!
Myśl o kraju, nie o sobie.
A jeźli cię zły los spotka,

Za ojczyznę śmierć jest słodka,
Będziesz wspominan w grobie".

Powrócili towarzysze,
Powrócili przyjaciele.
— „Gdzie jest syn mój? niech usłyszę!"
— „Syn twój wszędzie jest na czele,
Gdzie proporzec swój rozwinie,
Gdzie się mieczem swym zamierzy,
Krew tatarska rzeką płynie,
Broń tatarska mostem leży".
— „Dobrze, synu mój!
Walczysz za kraj swój,
Chwała mnie i tobie!
Choćbyś zginął, dosyć żyłeś,
Jeźli żyjąc zasłużyłeś
Być wspomnianym w grobie".

— „Ciesz się, starcze! w synach Litwy
Pamięć twego nie zaginie.
Kurhan jego w polu bitwy
Jako góra na równinie.
Nie z darniny, lecz z turbanów
Nie z kamieni, lecz z głów Hanów,
Nie z piasku, ale z popiołu
Jeńców spalonych pospołu".
— „Dzielnie, synu mój!
Ległeś za kraj swój.
Kraj płacze na twym grobie!
Jak się twą chwałą nacieszę,
Ja też za tobą pospieszę
Powiedzieć o niej tobie".

A. E. Odyniec.

NAD WODĄ WIELKĄ . . .

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne.

Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż i grom ryknął;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło, głos zniknął,
A woda jak dawniej czysta
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę dokoła
I wszystko wiernie odbijam:
I dumne opoki czoła
I błyskawice pomijam.

Skałom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginąć:
Mnie płynąć, płynąć i płynąć!...

A. Mickiewicz.

PROŚBA MAJTKA.

„Lepiej raz przepaść w zaburzone fale,
„Niżli żyć gnijąc po trochu na skale".
Wyjątek z „*Giaura*".

Ticho, tak sennie na morskiej przestrzeni
Śpią wiatry, śpi żagiel i majtek się leni,
Bo w ciszy krew stygnie, dłoń jego martwieje,
Dla niego tém burze, czém innym nadzieje.

Patrz, czoło pomarszczył, brwi gęste nasrożył,
Wzdął piersi, dłoń szorstką na sercu położył
I groźnym pojękiem zawołał: „Mój Boże!
Rozdmuchaj tę ciszę, rozhulaj to morze!"

„Czym przeto nie pragnął na ziemskim żyć świecie,
Porzucił chudobę, i żonę i dziecię,
Bym usechł na maszcie, słuchając niedbale,
Jak lekko swawolne muskają się fale;
O nie! nie! ta cisza, ten spokój mię nuży,
Kto majtek, ten żyje śród wichrów i burzy!"

Bruno Bielawski.

KRAKOWIAKI.

I.

Tu mi słońce zeszło, tu w dziecięcia oku,
Jaśniał spokój duszy, jak gwiazdka w obłoku,
Tu wśród pól rodzinnych jam wesoło skakał,
I tylko za cackiem, gdy się stłukło płakał.
Ale łza dziecięcia przecież szczęściem ludzi,
Choć na chwilę smuci zgryzot nie obudzi,
Nie obudzi zgryzot i serca nie splami,
Radbym cały żywot płakać dziecka łzami.
Płakać dziecka łzami i z dziecka uśmiechem,
Przeigrać, prześpiewać to życie z pośpiechem.

II.

Tu mi błysła miłość w czarnem Halki oku
I znurzyła duszę w burzliwym potoku,
Wtedy w dzień i w nocy tylko o niej śniłem,
I z marzeń kielicha zgubną rozkosz piłem.
Ale choć styrałem młodą moją duszę,
Miłe jednak dotąd miłości katusze,
Miłości katusze radbym zawsze znosił,
Uśmiéchem o uśmiéch, łzą o łezkę prosił.

III.

Gdyś się urodziła moja Halko miła,
Po nad twoją główką gwiadeczka świeciła,

Świeciła gwiazdeczka, jej blask w oku błysnął,
Na usteczkach zapał poranku zawisnął,
Bo Bóg sobie przyśnił aniołka na niebie,
Ulał serce z łezki, żeby stworzyć ciebie,
Żeby stworzyć ciebie, po świata przestworze,
Zbierał gwiazdki, tęcze, obłoczki i zorze.

IV.

MARYACKA WIEŻA.

Patrz, Maryacka wieża stoi,
Dla miasta strażnica,
Na jej widok myśl się korzy
A dusza zachwyca.
Na wysmukłej jej kibici
Sześć wieków zdrzémało,
Przecicż piękna jak dziewica,
Przecież stoi cało.
A poważny w swym ogromie
Niby rodzic miasta,
Kościół pod nią z rynku łona,
Jak olbrzym wyrasta.
Śród sklepienia oko ginie,
Za myślą poleci,
Aż tam gdzie na skroniach Maryi
Gwiazd dwanaście świeci.

V.

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórza i doliny, zapalcie w nich ducha,

Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią na okół,
A ty myśli moja podlatuj jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarno na tę glebę, a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Nie dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją.
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo maj — wiosny kochanek.
Dalej razem jak te wołki idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Ty fujarko brzmij po drzewach, niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście;
Uroczyście zagra jakby przy niedzieli,
Jak piosnka kochanki serca rozweseli.
A więc skrzypki i fujarko na ojczystej grzędzie,
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni;
Polny mak się płoni, jużci wstyd go ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma.
O boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli.

Dalej skrzypki! grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jej brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie;
Słowiki są w lesie, na dzióbkach zanucą,
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek,
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Edmund Wasilewski.

ODA DO GENIUSZU.

Geniuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
Skrzydłem twém Boskiém obwiewaj mą duszę,
A śpiewać będę, i śpiewem poruszę
Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!
Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
Niebo zakryją — zadrży świat w przestrachu,
Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty,
Tam — w chmury czarne —
Pieśń i tam zadźwięczy;
A okiem tęczy
Chmury w krąg ogarnę.
Geniuszu! gdy burza zeszle wiatry mściwe
I niebo morzem ognia się zapali,
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
I twojém skrzydłem popędzić na fali.
Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą:
Wiatry zdepcę moją nogą
I do jarzma wiatry znaglę.
Geniuszu! gdy ludzie uśpieni bezwiednie
Legną od burzy co zmysły ich głuszy,
Śpiew ty mój natchnij! a z duszy do duszy,
Jak słońce w oko śpiew mój błyszcząc wpadnie,
Wszystkie siły wstrząśnie na dnie,
Wstrząśnie cały świat uśpiony,
Jako lutni mojej struny,
Kiedy ręka niemi władnie.
Geniuszu! ty i pierś natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,

Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią;
I ludzie — niebo — staną mu na świadki:
Jako sercu, myśl wysoka,
Jako, myśli czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność.
A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Geniuszu ty i w śmierci bądź moim aniołem;
Niech życie skończę, jak życie zacząłem,
Życie i śpiew mój, ach, w jednej godzinie!
Niech ostatnie głosy moje,
Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
We śnie miłym tam dostroję,
Tam dosłyszę, w przypomnieniu!

Stefan Garczyński.

OBRAZ CZŁOWIEKA.

Nieścigły czas sprężyny ujarzmiać słabemi,
W krótkich znakach na martwym głos skreślić papierze,
Złoty blask koron z łona twardej krzesać ziemi,
Na piędzi płótna życie naturze dać świeże,
Ziejące śmiercią zamknąć, uśpić błyskawice,
Dźwięk wabiący w uroczym znaleść strun przycisku,
Postrach ludzkiej natury, srogie kiełznać lwice,
Żar słoneczny w krągłego szkła więzić ognisku,
Cienką igłą rozbrajać zgubne niebios groty,
Krążyć w znikomej kuli pod niebem dalekiem,
Dzikie korzyć bałwany, liczyć gwiazd obroty,
Jest to być cząstką Twórcy, jest to być człowiekiem!...

Ależ zdradzać niewinność udaną słodyczą,
Deptać ubogą cnotę, zbrodnię wieńczyć możną,
Tracić żonę i dzieci na kartę zwodniczą,
Palić stosy nieszczęsnych wściekłością pobożną,
Topić zmysły i rozum w powabnej truciźnie,
Mrzeć głód na worach złota, które zbytki trwonią,
Dla podłych zysków własnej być wrogiem ojczyźnie,
Rwać krótki życia wątek świętokradzką dłonią,
Wdzierać się w dzieje świata przez mordy, pożogi,
Zabijać się o fryny, co twą duszę plamią,
W niedołężnych szemraniach wieczne sądzić Bogi,
Lub bełkotać przysięgi, co na wargach kłamią,
Grzeszyć młodemi laty, gnuśnieć późnym wiekiem,
Oto są dzieła twoje, co się zwiesz człowiekiem,

Ty, coś zwalczył żywioły, zmierzyłeś świat cały,
Gdy tak wielkim być możesz, dlaczegoś tak mały?

ZADANIE ARTYSTY-MUZYKA.

Ustęp z poematu „*Gwido*“.

I.

Precz sąd puszczyków! ciebie niech osądzą
Bijące serca, promienne źrenice,
Błogosław ciszę od zachwytów drżącą,
Błogosław drżącą spojrzeń błyskawicę,
Oczy nie zwodzą, a serca nie błądzą.

Zapal młodzieńca, zarumień dziewicę,
A starcom z piersi serdeczne westchnienie

I łzę wyciśnij — taką łzę młodzieńczą!
Po której zapał i prawicy drżenie,
I echa silne jak żelaza brzęczą,
I na wtór pieśni gra już czynów pienie...
O, taka sława, to już Bożą tęczą!

Błogosławiony, kto jak ptak na drzewie,
Rodzinną pieśnią wyspowiadał duszę,
Kto zna poezyą, a o sztuce nie wie;
Nie błądząc w ciemnej pojęć zawierusze,
Ducha melodyi duchem przeczuł w śpiewie;
Komu muzyka jak rusałka śpiewna,
Powiała czarem w cichą noc majową,
I rozpłakana na mogiłach, rzewna,
Jak senny anioł latała nad głową;
A w noc burzliwą, jak nocnica gniewna;
Huczała w chmurach trąbą piorunową,
A po parowach wyciem wilków głuchém!
Błogosławiony, kto melodyi słucha
W naturze całej ducha wieszczym słuchem,
Kto w szacie dźwięków poznał dźwięków ducha,
I czuciem piękna stał się równie duchem
Promiennym, jasnym.

Gołąb, co tam grucha
Na starym dębie lasu, szum ponury
I ryki trzody, co idzie górami,
I ranne echo, którém mówią góry,
Krzyk orłów, wicher, co leci stepami,
Wszystko to Bożej harfy jest strunami,
Wszystko jest Bożą pieśnią wiekuistą.
Kto duchem w pienie nie wcielał się Boże,
Za czysty akord nie stał duszą czystą,
Nie padł kropelką w to bezbrzeżne morze,

Ten nie jest duchem poetą, artystą,
I berła ducha posiadać nie może.

Muzyko! jasny, święty cherubinie!
Błogosławionaś, niebios posłannico!
Ty nad kolebką śpiewasz już dziecinie,
Na łąkę kwietną płyniesz za dziewicą,
Rolnika łany przemieniasz w świątynie,
Na polu bitwy męztwa błyskawicą
Zapalasz duchy.

Ty nawet na grobie
Grasz cichém, smętném, łzawém narzekaniem,
Ty jako płaczka, gdy naród w żałobie,
Serdeczną dumą lamentujesz za nim...
Serca cnotliwe za kościoły tobie!
Jak mową duszy, każdy naród graniem,
Serdeczną miłą dzieje opowiada.

Nasz duch melodyi jeszcze rozsypany,
Świeci jak gwiazda stupromienna blada,
Huka po górach i wyje przez łany,
Z stepowym wiatrem w dumie stepów gada,
I nad mogiłą jęczy rozpłakany...

A dotąd nie masz mistrza silnej ręki,
Z natchnioną duszą, myślą promienistą,
Coby te dumy, te sieroce jęki
Zebrał i przelał w jedne pieśń ojczystą,
Rodzoną, naszą, — i sieroce dźwięki,
Wyśpiewał z piersi melodyę czystą,
Natchnioną, wielką, jak ta nasza ziemia.

Nasz duch melodyi wieje pośród ludu,
Artystów serca jakiś czar zaniemia,

Zaślepia oczy. Mogliby bez trudu
Kwiat co na własnej grzędzie rozplemia,
Podnieść, rozjaśnić w błyskawicach cudu.

Grałem raz — sala była przepełniona,
Śród światła drżały kamelje i róże,
I wiały pióra, czoła i ramiona
Dziewic świeciły, jako śnieg na górze,
Dalej kolumna młodzieży ściśniona,
Jak czarna chmura przy aniołów chórze.

Grałem, a duchem, śmiało i serdecznie,
Całą mą duszę przelałem w to granie,
Całe uczucie.

Nie zapomnę wiecznie!
Struny mówiły, by duch wstąpił na nie;
Anioł melodyi zajaśniał słonecznie
I grę mą mienił na niebios wołanie.

Sierocym płaczem zajęczały struny,
Dźwięki płynęły, jako łzawe fale...
Ciszej i ciszej — niby jęki z truny,
Nad którą dzieciom wzbronne nawet żale.
Nagle zagrzmiałem — cisnąłem pioruny!...
I łzawém okiem spojrzałem na salę.

Na sali — śmiechy rozmowy, aż gwarno...
Sypnęli oklask — jakbym prosił o to!?
Pierwszy raz na świat popatrzyłem czarno;
Grałem kamieniom, perły'm rzucał w błoto,
Sprzedamże duszę za ich płacę marną?
Wstałem...

I w oczy cisnąłem im złoto.

II.

Nad sinym Bohem leży wieś w dolinie,
Na wzgórzu domek — szlachecki dom stary,
Z gankiem, ogródkiem i bramą gościnnie
Otwartą zawsze. Nad nim dąb konary
Zwiesił szeroko, — dalej na jedlinie
Bocianie gniazdo, a dalej czahary,
Gdzie nieraz trąbki rozmawiają z echem,
Grają ogary, piorunują strzały,
Gdzie wiatr północy szumi dzikim śmiechem,
I nieraz uszy wieśniaków słyszały,
Jak biedne dusze okowane grzechem,
Jęczały w łozach, aż kury zapiały.

A tam Boh świeci — Boh nasz rusałczany,
Co ranną falą zaklina w uroki,
W wieczornej fali jak ze śnieżnej piany,
Śnieżne boginie migają przez mroki;
Po rosie kwiatów wędrują przez łany,
A rankiem nikną, by mgliste obłoki.

Dokoła pola — te podolskie pola,
Szemrzące kłosem, pełne miodu, woni,
Wzdłuż jako zajrzy źrenica sokoła:
Tu wietrzyk do snu łan pszeniczny kłoni,
Tam Czarnem morzem płynie czarna rola
A wszędzie tęskna, rzewna nuta dzwoni
Dum ukraińskich.

Zda się, że przykuta
Do pól, co wszystkie rajskie wdzięki mają —

Tęskna za rajem biednych ludzi nuta!
Albo pomyślisz, że pola śpiewają,
Że z fal bohowych srebrna pieśń wysnuta,
Albo niebiosa do snu stepom grają.

Henryk Jabłoński.

TRZY NATCHNIENIA.

Kiedy wieszcz lutnię weźmie do ręki,
Gdy z brzmiących strun jej cichemi dźwięki,
Harmonijne łączy pienia,
I cóż mu w łonie ogień roznieci,
Jakimże skrzydłem z ziemi uleci,
W rajską krainę marzenia?

O! trzy są gwiazdy z których promienie
Zlewając z góry wieszcze natchnienie
Świecą dla śpiewaka duszy,
O! trzy są gwiazdy, światłość ich cicha,
Silnie w poety piersiach oddycha,
Gdy brzmiące struny poruszy.

Pierwszą jest gwiazdą widzów natury,
Zielone łąki, doliny, góry,
Szum gajów, szelest strumienia;
Kto zimném okiem widzi te wdzięki,
Ten niech nie bierze lutni do ręki,
Nie zna on iskry natchnienia.

Drugą są gwiazdą kochanki oczy,
Blask ich czarowny, połysk uroczy,
Silniej do serca zaświeci,
A kto nie zaznał co ich potęga
Ten niech po lutnię próżno nie sięga
W krainę marzeń nie wzleci.

Trzecią jest gwiazdą to czucie święte,
Z mlekiem wyssane, z życiem poczęte,
Rodzinna ziemia jego podnietą,
W kim się ten boski ogień nie żarzy
Wzruszać strun lutni niech się nie waży
Nie jest, nie będzie poetą.

Seweryn Goszczyński.

WIDZENIE.

Jam śpiewak jest, jam lirnik, bo jakiś dźwięk cichy
Kołysał mnie od dziecka muzyką tajemną;
I ojczystych niw kłosy, i kwiatów kielichy,
I drgające sfer głosy śpiewały nademną.
A kiedy cichy szedłem przez lasy zielone,
Szumiące drzewa grały, jak powietrzne lutnie,
Mogiły zapomniane, groby nieuczczone,
I starych świątyń echa budziły się smutnie,
Pieśni! pieśni! wołały — aż raz rozpłakany,
Jak Jakób padłem jęcząc na grobów kamienie,
I pod ciepłem mej piersi zadrżały kurhany,
I ziemi tajemnicze uczułem westchnienie

Wtém wśród fali błękitów ujrzałem anioła:
Po drabinie promieni spływał niby ku mnie.
Ja z mogiły rycerskiej podniosłem się dumnie,
Po światła namaszczenie nadstawiłem czoła.
Tutaj! tutaj! wołałem, aniele skrzydlaty,
W każdą taką noc cichą szukam cię po niebie;
Bom ja ciebie w snach dziecka widywał przed laty,
Bo stary krzyż rozdroża obiecał mi ciebie!
I czekałem cię czysty aż zjawisz się wreszcie,
W łaskę Bożą wierzyłem na spruchniałej trumnie,
A teraz przez łzy wszystkie, i wszystkie boleście,
Zaklinam cię, posłańcze niebieski, zstąp ku mnie!
Zstąp ku mnie — rzuć mi srebrny snop twojej jasności;
Ja na lirę promienie naciągnę jak struny,
I z grobów zmartwychwstanie dam nieśmiertelności,
Na nagie sarkofagi narzucę całuny.
Potém pójdę stęskniony przez pola i łąki,
Pod słomianych strzech cieniem przysiądę na progu,
Lira moja zadzwoni, jak szare skowronki,
Gdy nad niwą ojczystą rozmodlą się Bogu,
I może za piosenką, co rwie się ku górze,
Znojne czoła się wzniosą, jak dzikie puszcz kwiaty.

Tak błagałem klęczący, a tu na lazurze
Chwilę jeszcze nademną drżał anioł skrzydlaty;
Potém wionął gdzieś daléj przez powietrzne szlaki,
Światło za nim się smugą ciągnęło promienną,
A on lilije śnieżyste i woniące maki
Z mglistego rąbka szaty na ziemię siał senną.

Marya Ilnicka.

DO LIRYKÓW DZISIEJSZYCH.

Potęgi! prawdy! życia! —
Promiennych myśli! serca bicia!
Natchnienia, co do czynów budzi!
Natury! — ludzi!
Nie innej pieśni świat dziś żąda;
A na tych którzy wiecznie kwilą,
Marzenia kołysani chwilą...
O lirycy! już nikt się nie ogląda.

Napróżno w roztkliwionej piersi
Stawiacie ołtarzyki drobne,
Wiankami polnych ziół ozdobne...
O najrzewniejsi i najszczersi!
Przestańcie wyśpiewywać luźnie
Bezmyślne egotyczne dumy;
A wejdźcie w pracy gminnej kuźnie,
Śpiewajcie to co czują tłumy...
Lub milczcie! bo nie dla was jutra brzaski
Nie dla was wiek... nie dla was ciżb oklaski...
Nie dla was nawet raj poety —
Miłością wrząca pierś kobiety!

Leonard Sowiński.

DRUGA PIEŚŃ GĘŚLARZA.

Kniaziu mój dumny! kniaziu mój groźny!
Napróżno gniewem zbladły twe lica,
Napróżno ogniem błyska źrenica,
A brwi szerokie, w skrzydła sokoła
Po zmarszczkach twego zbiegły się czoła;
A uśmiech dziki, szyderczy, mroźny.
Jak mróz co ścina lody zimowe,
W zsiniałych ustach ściął mowę.

Napróżno kniaziu! oh gęślarz stary,
Jak stary łabędź, co go wysoko
Nie dojdzie strzała, nie dojrzy oko,
Nie znęcą sideł złocone dary;
Jak stary łabędź, który bez trwogi,
Ostatnim lotem ziemię porzucił,
Ostatnim hymnem Bogu zanucił,
Na szlakach nieba — ostatniej drogi,
I ciebie już się kniaziu nie zlęknie. —

Kniaziu mój pyszny! krogulcze młody!
Choćbyś chciał nawet krzywemi szpony,
Z głębi mej piersi wyszarpać tony,
Dla twej zabawy lub chwały;

Och! nie, na siwy włos mojej brody,
Oh! na gęśl moją — niech i gęśl pęknie!
Nim się w niej jedna struna poruszy,
Odmiennym dźwiękiem, odmiennym pieniem
Jak ten co mi bogi wlały
Niepojętym natchnieniem,
Lub co ja sam dla siebie z własnej ciągnę duszy.

Kniaziu mój dumny! kniaziu mój bogaty!
Masz zdobne namiotu ściany,
W łosiowe skóry, w drogie makaty;
Gdzie rzucisz okiem, szerokie łany,
A po nich twoje konie hasają,
Masz i służebne wzorem Germana,
Których kark miękki, schylona głowa,
Które na twoje słowa,
Na jedno skinienie Pana,
W drżącej pokorze rozkazów czekają;
Masz piękne branki, masz lśniące zbroje,
Masz wszystko kniaziu, wszystko jest twoje —
Tylko ta gęśla jest moją...
Tu ciebie kniaziu wszyscy się boją —
Tylko ja jeden nie boję!...

Ja biedny jestem — nie mam rodziny,
Z przeszłości droga moja daleka,
A jak Polabii idą równiny,
Tak nigdzie żadna chata
Z wypoczynkiem mnie nie czeka!
A jak ludzi jest wiele, tak wśród ludzi wielu
Nikt mi nie powie: „witaj przyjacielu“ —
Nikt nie uściśnie jak brata!
Ale mam jeszcze w piersi głos silny,
By śpiewać bogów wyrok niemylny,
Przeszłości śpiewać wspomnienia.
Mam gęślę w ręku, gęślę jedyną,
Z której tak rzewne dźwięki mi płyną,
Tak zgodne do mego pienia...
Kniaziu! mam więcej od ciebie!
W proch się rozsypią mnogie dostatki,
Zniszczeją głazy, twej wielkości świadki;
Sługa najemny w grobowcu zagrzebie

Trochę łez zakupionych i pamięć imienia,
A jak dzwońce padają pod dzióbem sokoła,
Tak i pod zębem czasu padną twoje dzieci;
Jednak wszystko masz kniaziu, wszystko masz dokoła,
Tylko tam się nie przedrzesz, gdzie ma pieśń przeleci —
Za krainę zapomnienia!
Masz kniaziu całe dzisiaj, lecz jutro jest moje,
Kiedy powieść ułożę i gęślę nastroję
I kiedy gmin powtórzy w pamięci zachowa,
I nutę pieśni i powieści słowa,
Oh! kniaziu wtenczas o ciebie nie stoję —
Nie ty mną wtedy, ja tobą rządzę,
Mój dumny kniaziu! według mej chęci
Wieczystej sławie, lub niepamięci,
Ja twoje imię przysądzę! —

Gabriella.

VIII.

IRONIA.

Ironia dziwnym jest kwiatem,
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita,
Choć krwawe ślady w łonie swojém kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita,
I własną pustkę i smutek wyszydza
Przed okiem widza.

El...y.

DRZYM SOBIE DUSZO!

Drzym sobie duszo! co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata,
Że ktoś ciekawy początku swego,
Że starych grobów kurze obmiata,
Woła do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi,
I z tego wróży: życie po śmierci!

Życie po śmierci!? drzym sobie duszo,
Czyż może to być, czego już nie ma?
Kiedy raz umrzesz, już cię nie wzruszą,
Łagodność Abla, ni złość Kaima.
Bo śmierć po życiu, i śmierć przed życiem,
A między niemi maligny chwila,
To wszystko serca nazwano biciem,
To życiem zowią człeka — motyla.

Drzym sobie duszo! co cię ma budzić
Oko dziewicy miłe, ułudne?
Trzebaż się palić, by potem studzić.
W dłoń szczerą chwytać dłonie obłudne?
Drzym sobie duszo! ty byś nie śpiąca
Spłonęła ogniem, od zimna skrzepła,
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna, ni ciepła.

Ty sobie możesz stworzyć, co zechcesz,
Mar fantastycznych osnuć się wiankiem,

Ty, gdy przyrodę myślą połechcesz,
Milej ci, niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali ,
Że jesień wichrzy, lub śniegi pruszą;
Ty na promykach, zapachów fali,
W pieluchach marzeń, drzym sobie duszo!

Edmund Wasilewski.

OWIDYUSZ NA POLESIU.

August Cezar, co niegdyś dla pańskiego tronu
Posprowadzał do Rzymu muzy z Helikonu,
Nie szczędząc hojnych darów i sutych przyrzeczeń,
Wirgilich i Horacych zapraszał na pieczeń:
Dostrzegł, że z etykiety straszliwą obrazą,
Bałamuci mu córkę Owidyjusz Nazo.
Był to poeta, dworak przy wielkim Auguście,
A pannie były jego pentametry w guście...
Julka, to panie była hoża czarnobrewka,
Rzymianka, krew nie woda, spirytus nie dziewka...
Diabeł nie śpi w tych rzeczach, może być niełladnie...

Tak myślał Cezar August...

Więc się radzi przyjaciół, nie zwlekając chwili.
Agryppa i Mecenas tak mu poradzili:
— „Trzeba zaraz ostudzić te zapały wieszcze.
„Szkoda, że nikt Kajenny nie wymyślił jeszcze.
„Lecz jak można w tych czasach zaradzając biedzie,
„Niech nad morze Euxyńskie poeta pojedzie;

„A tam jeśli się gadać nie nauczy prozą,
„Niech go na szuhalei do Pińska zawiozą“.

Jak się rzekło, tak stało: znękany i chory,
Już Nazon w pińskich lasach zbiera muchomory,
Łowi wjuny i raki, Cezarów dworaczek
I z łuku sarmackiego, pudłuje do kaczek.
A co, poczta przyjaciół swemi listy nudzi:
„Jak mi tęskno do Rzymu, do tamecznych ludzi!
„Proście! niech mnie Cezar uwolni od kary,
„Bo tutaj mnie poleskie zagryzą komary“.
Przyjaciele, zwyczajnym torem przyjacieli,
Przyrzekli uroczyście, potém zapomnieli.
Julja! puchu marny! istota kobieca!
Do junkra pretorjańskiej straży się zaleca...

A poeta wygnaniec, z głodu i ze smutku
W dobrach Radziwiłłowskich, umarł w Dawidgródku.
Dotąd jego imieniem góra się nazywa...
Otóż czułych poetów dola nieszczęśliwa!

Ja, co żadnej Julji nie zaszedłem w drogę
Ja, co z Owidyuszem równać się nie mogę,
Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopocie,
Siedzę w Borejkowszczyznie, jak on w pińskiem błocie.
Kazano mi natury napawać się wiosną,
Patrze na wielkie brzozy — a tam rózgi rosną;
Na łąkach nie masz trawy, a kłosów na niwie,
Wśród kwiatów, bujny oset wyrasta szczęśliwie.
A ja biedny wygnaniec z krainy dalekiej
Nawet raków nie łowię, bo tu nie ma rzeki
A Litwinki nadobne, a królowe żniwa?
Każda się z nich do roku, dwa razy umywa,
Każda snać dla większego sielskiego uroku;
Czesze złocisty warkocz tylko raz do roku.

A swą śnieżystą szatę z góry aż do dołu
Ozdabia w długie pasma sadzy i popiołu.

Bohaterki litewskie, Aldony, Pojaty!
Musiałyście myć częściej oblicza i szaty,
Albo wasi rycerze w kudłatej niedźwiedni,
W zapalczywej miłości nie byli wybredni,
A dzięki wajdelotom i harfie pieśniarzy,
Litwinki wyszły piękne choć nie myły twarzy.

Wychodzę do ogrodu, a tu żyd się kłania,
Polak mojżeszowego, chcę mówić, wyznania.
Za czterdzieści srebrników, co mi dał do dłoni,
Arenduje owoce gruszy i jabłoni,
I jako mąż przezorny, przygląda się bacznie,
Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie.
Więc krok w krok postępując od drzewa do drzewa,
Jerozolimskie hymny pod nosem mi śpiewa.
Jakże tutaj potrafisz, o synu człowieczy!
Zgłębiać filozoficzne lub dziejowe rzeczy,
Lub siadłszy pod gałęźmi cienistej topoli,
Grać na wiejskiej fujarce twemu sercu gwoli?
Choćbyś został Newtonem, domyślać się snadno,
Że tutaj żadne myśli z jabłkiem ci nie spadną.

Powracam do komnaty, do cichej komnaty,
Kędy człowiek pracował i marzył przed laty,
Gdzie były stosy książek, mój pokarm młodzieńczy:
Dzisiaj echo samotne pod stopami jęczy...

Władysław Syrokomla.

RYCERZ NA CZATACH

czyli

PIEŚŃ RYCERSKA O HERBIE ŁZAWA

z podania heraldycznego.

I.

Kiedy panował w Polsce Biały Leszek
W czasach niezgody i krwawych zamieszek,
Żył, jako stara kronika wspomina
Rycerz Belina.

A herb miał dawny, jak świat zapamięta:
Na hełmie ręka rycerska ucięta,
Na tarczy zasię, z krzyżem miecz stalowy
I trzy podkowy.

Zrodzon szlachcicem, choć miał miękkie serce,
Musiał rad nie rad oddać się żołnierce
Kędy się zuczył zręcznicj niż my piszem
Machać bardyszem.

Dodawszy k'temu żelazną kolczugę
Pancerz kowany i kopiję długą
I hełm z wizyrem do okrycia powiek
Straszny był człowiek.

Swego rumaka, co wolałby paszę,
Strojno rycersko zakowywał w blasze;
Czaprak, nagłównik, napierśnik i siodła.
Blacha obwiodła.

Bo rycerz bywa w rozmaitej doli.
Lepiej się okryć bezpieczności gwoli:
Bo ani strzała, ni miecza zamachy
Nie ugną blachy.

Nieszczęście jeno, że gdy dusza trwożna
To serca blachą zakować nie można;
I choćbyś zakuł, to i w takiej zbroi
Jeszcze się boi.

Rycerska służba krwawego Gradywa
Dobrze zważywszy, nie wielce straszliwa:
Gdy insi niosą na szwank swoje zdrowie,
Ukryj się w rowie.

A gdy wygrana, gdy twierdza zdobyta,
Kiedy żołnierstwo do łupów się chwyta,
Wymknij się naprzód, a łupu dopadłszy
Bierz co bogatszy.

A takim kształtem kierując swe życie
Mieszek i chwała urosną sowicie,
Zwłaszcza gdy rycerz wróciwszy z oddali,
Huczno się chwali.

Tak doświadczeniem własném nauczony,
Sprawiał Belina rzemiosło Bellony,
Z chrobremi męże wielkich czynów chwała
I nań spływała.

A choć na wojnie krył się za rycerzy,
Chociaż się strachał, gdy trąba uderzy,
Lecz krzepiąc serce, a mówiąc pacierze
Wawrzyny bierze.

II.

Pewnego razu gdy z hufcy polskiemi
Bojował Roman, kniaź Halickiej ziemi,
Kędyś nad Sanem w granicach sąsiada
Nocleg przypada.

Zwolniono konie, puszczono na paszę
Odjęto hełmy, odpięto pałasze,
I wedle ognisk drużyna szczęśliwa
Wczasu zażywa.

A jak rycerski obyczaj mieć każe
Dokoła gęste postawiono straże,
A dalej czaty w krąg obozowiska
Stanęły z bliska.

Więc na pagórku, gdy się noc poczyna,
Przodową czatę sprawował Belina;
Takie hetmańskie było rozkazanie —
(Odpuść mu Panie!)

Samemu... w polu... pośród nocnej głuszy
Toć i najśmielszy upadnie na duszy,
Wróg w każdej chwili, nie dopuszczaj Boże,
Uderzyć może.

A tutaj księżyc jak na złość, na zdradę,
Ciska z za chmury swoje światło blade,
Przy jego blasku kamień, krzak lub trawa
Człekiem się zdawa.

A tu las bliski gałęzie rozpostrze,
Tu sterczą jodły jakby włóczeń ostrze,
Wiatr je kołysze, chwieją się konary
Jak dzikie mary.

A szelest wiatru, co swe tony zmienia,
Wielce podobien do jazdy tętnienia;
Zgadnij, kto mądry, czy to ruskie syny,
Czy krzak leszczyny?

Tak sobie w myślach rozważa Belina,
Niesprawiedliwość hetmańską przeklina,
Modli się, słucha, patrzy nadaremno,
Bo wszędy ciemno!

Jak ów syn puszczy, co zającem zową,
Uważnym słuchem, z podniesioną głową
W jesienny wieczór rozważa i bada,
Jak liść opada;

Słupi się, staje i strzela oczyma;
Wprawdzie nie blednie, (bo rumieńca nie ma),
Lecz byle szelest posłyszał z daleka,
W pole ucieka:

Tak mąż Belina wśród nocnych straszydeł
Zazdrości orłom ich potężnych skrzydeł,
Chciałby od wiatru, księżyca i lasu
Uciec zawczasu.

I jak polityk każdą rzecz oblicza:
— „Na co ta wojna z książęty Halicza?
„Jakowa korzyść i w jakowym względzie
„Polsce przybędzie?

„A zresztą... nie wiem... i korzyść być może;
„Lecz taki hetman, to pożal się Boże!
„Po co na czaty, kędy pewno zginę,
„Wysłał Belinę?

„Zważywszy zresztą Opatrzności plany,
„Zmrok ciemnej nocy na to został dany,
„By szlachcic sławny parantelą znaczną,
„Wyspał się smaczno.

„Jam przecie szlachcic i spałbym ochoczo...
„A jak, broń Boże, Rusiny oskoczą?
„Zabiją... zginie dostojność jedyna,
„Mój herb Belina!“

Więc patrzy, słucha, myśli po kolei;
Posłannik niebios — sen oczy mu klei,
I chrobry rycerz na swej chrobrej szkapie,
Snem twardym chrapie.

We śnie rozważa najmądrzej, najprościej;
Że sen jest tylko przedsionkiem wieczności,
I że Rusini wnet na śmierć złowrogą
Posłać go mogą.

Śpi ciało męża, ale czuwa dusza,
I oto marzy: że las się porusza,
Że nieprzyjaciół tysiąców, tysiące,
Skaczą po łące.

Że sam kniaź Roman już pali z kopyta,
I chrobrą ręką za gardło go chwyta...
— „Ratuj, kto poczciw, z sarmackich rycerzy,
„Kto w Boga wierzy!“

Tak ze snu krzyknął i w nogi do lasa,
Porywa trąbkę wiszącą u pasa,
I z całych piersi swój sygnał złowrogi,
Zagrał do trwogi.

Wśród ciemnej nocy góry i doliny
Odpowiedziały na sygnał Beliny;
W obozie popłoch wywołało hasło,
Sto trąb zawrzasło.

„Na koń rycerstwo!“ chrobry hetman woła:
Trwożliwy bezład zakipiał do koła,
Ów szuka zbroi, ów konia na dworze
Znaleść nie może.

Gdyby zaprawdę wrogowie w tej chwili
Na potrwożone wojsko uderzyli,
Rycerstwo snadno w takowym bezładzie
Trupem się kładzie.

Belina trąby obozowe słyszy,
Poznaje gwary swoich towarzyszy;
Gdzież nieprzyjaciel, co zda się, szedł drogą?
Nie masz nikogo!

Żegna się krzyżem, przetarł oczy senne,
Patrzy w ciemności — otchłanie bezdenne:
Zda się, coś huczy — zda się, coś porusza —
To polna grusza!

Tymczasem wojsko do szyku stanęło,
Już się gotuje na bojowe dzieło;
Gdzie, i z kim zasię? — nie łatwe problema,
Gdy wrogów nie ma.

Harcują w polu i czaty i straże,
Ale do koła nic się nie okaże,
Belina wespół z drugiemi harcerze
Zwija się szczerze.

Radośnie krzyczy, że nie masz nikogo,
Że towarzysze spać bezpiecznie mogą,
Że to nie Rusin, ale go napadło
Senne widziadło.

Lecz po obawie znów przyszła obawa,
Bo król był srogi, gdzie idzie o prawa;
Za marny popłoch, nieuważne straże,
Śmiercią się każe.

Więc przeczytano wojenne statuty,
Płacze Belina, w kajdany okuty,
Już kosa śmierci zawisła surowo
Nad chrobrą głową.

Król winowajcę osądzić poleca;
Zeszła się tedy sądownicza wieca,
Na której hetman i przyboczna rada
Belinę bada.

Może go czasem wrogi przekupili,
By, dawszy sygnał w niestosownej chwili,
Sprowadził wojsko na swoją obronę
W przeciwną stronę?

Rycerz Belina, mąż prawego ducha,
Kiedy bolesnych wyrzutów wysłucha,
Przejęty strachem, pobledniał widocznie
I płakać pocznie.

I padłszy do nóg Białemu Leszkowi,
Wszystko jak było, całą prawdę mówi:
Jak liche krzaki wyobrażał z trwogi
Za hufiec mnogi;

Jak rozmarzony, stojący na zimnie,
Snem niewinności małą chwilkę drzémnie;
Jako przyśniwszy, że Rusin doń mierzył,
W trąbę uderzył.

Król Leszek Biały w dostojnej postaci,
Słuchał go, słuchał — i powagę traci,
A usłyszawszy, jako śnił Belina,
Śmiać się poczyna.

Wojewodowie, hetmani, kanclerze,
Każdy serdecznie za boki się bierze,
Szczerego śmiechu nie powstrzymać mocą,
Wszyscy chychocą.

Po krotochwilnym śmiechu tylu osób,
Wyroku śmierci podpisać nie sposób;
Więc rada w radę — wydał król surowy
Wyrok takowy:

Aby mu z herbu podkowę odjęto,
A z hełmu rękę zbrojną i uciętą,
By się śmiesznemi nie wstydziło czyny
Gniazdo Beliny.

I już rycerskie odmieniając miano,
Łżawym Belinie zwać się rozkazano;
To znaczy: kłamcą — że swemi sygnały
Zwiódł obóz cały.

I herb ów nowy, dziś Łżawym się zowie,
Zostali z herbem starym Belinowie,
I ztąd się wiodą z kolei wiadomej
Dwa różne domy.

A śpiący rycerz rozpowiadał długo,
Że herb swój nabył wojenną zasługą;
Lecz nie oszukał kłamliwemi słowy
Karty dziejowej.

Stała się znaną nie dobra przygoda
I wiek wiekowi ze śmiechem ją poda,
By poszła powieść z dziadów aż na wnuki
Dla ich nauki.

III.

My potomkowie protoplastów owych,
Zeszliśmy z dawnych warunków dziejowych:
Zamiast jak starzy wywijać bardyszem,
My książki piszem.

Dziś mądra ludzkość, kiedy śpi po trudzie
Rozstawia czaty — a piśmienni ludzie
Winni dać hasło: gdzie? u jakiej drogi
Postępu wrogi?

Biadaż ci, biada piśmienny skryptorze!
Jeśli ze strachu kędyś w nocnej porze
Dasz mylne hasło — zbudzisz mylne czyny
Wzorem Beliny!

I zamiast tego, co widzisz na straży,
Będziesz nam bajał, co ci sen wymarzy,
Gdy marną trwogą twój sygnał poruszy
Nasz spokój duszy!

Bo mszcząc się ludzkość za obłędu winę,
Nazwie cię **Łżawym** jak męża Belinę,
Z twojego kłamstwa przez wieków koleje
Świat się naśmieje.

Władysław Syrokomla.

KUNDEL.

La proprieté est un vol.
Proudhon.

Gdzieś tam na dworze, rzuconą na śmiecie,
Porwał kość kundel i zaniósł w krzaki.
Mnieby specyjał nie skusił taki,
Lecz różne gusta są w świecie;
Kundel go smacznie ogryzał,
Nieraz się nawet oblizał.

Widząc to zdala liczne psów roje,
Z straszliwym wrzaskiem przybieżą:
— „Co za kryminał gryść własność swoję —
„Własność jest czystą kradzieżą,
„Kość ta należy do psa każdego!“
I nuż więc szczekać na niego.

Kundel nasz z razu nie zważał na nie,
Na chwilę nawet nie sarknął,
Lecz ciągle głupie słysząc szczekanie,
Tak im odwarknął:
„Szczekacie wszystkie jakby opętane,
„Ledwie wam gardziel nie pęknie,
„Co na psy dworskie lepiej wychowane,
„Nie jest ni mądrze, ni pięknie.
„Czemuż zamiast głupiej wrzawy,
„Nie tak szukać jak ja strawy?
„Pracujcie tylko a na ostatek,
„Każdy z was znajdzie swój gnatek".

Gdy wtém ogromny brytan przypada —
Kundlowi kość tę wydziera,
Spokojnie sobie zasiada,
I smaczny kęsek obżera,
Wrzawa więc nowa, większa niesłychana —
Wrzeszczą, krzyczą na brytana;
Sam kundel nawet między psy ucieka,
I najgłośniej z wszystkich szczeka.

Liczna jest takich kundelków gromada,
Trafia się nawet i na naszej ziemi;
Oszczekiwana, póki coś posiada,
Straciwszy — szczeka z drugiemi.

Fr. Morawski.

SZYNA.

Szyna żelazna w ogniu rozgorzała,
Tak pod młotem narzekała:
„O kiedyż tego młota się pozbędę,
„I dopókiż znosić będę,
„Takie ciosy i męki!“
Ale próżne skargi, jęki,
Póty ją bito tłuczono;
Aż ją na młot przerobiono.

Zapytasz pewnie, co zrobiła potem?
Z wszystkich młotów najsroższym była dla szyn młotem.

Fr. Morawski.

OSIEŁ.

Tak się raz osieł dąsał;
Tak się też z innych natrząsał,
Taki był pyszny, zuchwały,
Że go zwierzęta nie poznały;
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło;
Nakoniec wszystkim dowodził,
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tém gadal,
Powiadał:

Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych :
Jak niezmiernie dawnych,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Jakie to były głowy i figury,
Co to były za osły!
A lis mu na to: Jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!

Fr. Morawski.

SĄD NA OWIECZKĘ.

Bajka.

Porwali wilcy owieczkę wśród trzody,
Lecz nie tak robią, jak robili wprzódy;
Nie chcą się sami, samowładnie rządzić,
W las ją zanieśli, ażeby osądzić.

Dziki, rysie, niedźwiedzie siadły między borem,
A lis był prokuratorem;
Wyliczał długo jej występki czarne,
Nareszcie prawo zacytował karne:

„Czeka świat niecierpliwie, co wasz wyrok powie?“
„Śmierć!“ jednomyślnie krzyknęli sędziowie.
Tu się owieczka wzięła bronić żwawo:
„A któż to pisał? wy sami to prawo?

„Czy nasza trzoda wzywana tam była?“
Ledwo to rzekła już biedna nie żyła.
Prysnęła krew jej potokiem,
I choć niewinnie przelana,
Lecz za sądowym wyrokiem
Prawnie jest na śmierć skazana.

Antoni Gorecki.

EPOPEJA.

„Napisz nam Epopeję!“ rzekli młodzikowie
Do pewnego poety — a ten im odpowie:
„Wszak mógłbym i napisać, jestem waszym sługą,
„Aleście tak zajęci, że czasu minutki
„Nie macie dla bajeczki posłuchania krótkiej,
„A któżby z was chciał czytać Epopeję długą?“

Antoni Gorecki.

BEKAS I KUROPATWA.

Do Niemców.

„Co za nudne kraje tych Polaków,
„Nie obaczysz jak szyszki na drzewie,
„I nie spotkasz innych ptaków,
„Jak tylko same cietrzewie“.

Tak sobie na pińskiém błocie,
Siedząc w słonecznéj spiekocie,
Ów włóczęga wszędzie znany,
Rozmawiał bekas oblany.
Nikt nieuważał na tego próżniaka,
Lecz kuropatwa
Do gniewu łatwa,
Tak go łajała wyszedłszy z pod krzaka:
„Zkądże to waści taki tonik wzniosły,
„Powiedzcie przecie pod czyjém to niebem,
„Takie wam dzióby i piórka porosły,
„I czyim to tak napasłeś się chlebem?
„Wtenczas pamiętam, nie brały cię nudy,
„Kiedyś przyleciał tak jak czapla chudy,
„Teraz cietrzewi widok nie powabny,
„Przypatrz się klocu jak sam jesteś zgrabny,
„Żebym ja kiedy tém państwem rządziła,
„Wszystkiebym ptaki takie wymroziła,
„U których to we zwyczaju
„Że choć ich kijem nie wypędzi z kraju,
„Choć na naszym chlebie żyją,
„Co rok objedzą, opiją,
„A jednak niewdzięczni przecie,
„Spotwarzają nas po świecie“.

Antoni Gorecki.

ŻONA UPARTA.

Bajka.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niechno człowiek się ukaże.
Co na afisze nie patrzy
I od sklepikarzy bladszy,
Niedbale utrzewiczony,
I źle urękawiczony:
Myślą, że się chce topić;
A więc pełni zgrozy,
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.
Taki to jakiś po Sekwanny brzegu,
Biegł przeciw wody.
Żandarm zatrzymał go w biegu,
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.
„Nieszczęście, woła biedak, pomocy! ratunku!
Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,
Wpadła mi w rzekę".
A na to żandarm mu rzecze:
„O! praw hydrauliki nieświadom człowiecze!
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku,
Ona z góry w dół płynie wedle praw przyrody
A ty za żoną biegniesz przeciw wody".
„Boć to ciało, mąż rzecze, było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne:
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło rzeką przeciw wody".

Adam Mickiewicz.

PRZYJACIELE.

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie,
Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie!
Tam żył Mieszek kum Leszka, i kum Mieszka Leszek,
Z tych co to: gdzie ty tam ja, co moje to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje:
Słowem tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono nie wiele:
Rzekłbyś dwójduch w jednym ciele.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul i krakań gawronich;
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!“
Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz: a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło maca: jak trup leży;
Wnosi że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.
Dopieroż Mieszek odżył... „Było z tobą krucho!“
Woła kum — „szczęście Mieszku że cię nie zadrapał!

Ale co on tak długo tam nad tobą, sapał,
Jak gdyby coś miał powiedzieć na ucho?"
„Powiedział mi" rzekł Mieszek „przysłowie niedźwiedzie,
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie".

Adam Mickiewicz.

DO POETY.

Urywek.

Patrz poeto: tu sadzawka,
Nad nią wybujała trawka,
Kąpie w wodzie kryształowej,
Cudny warkoczyk majowy!...
Tam żabka wytrzeszcza ślipki,
Tu pluskają młode rybki,
Tu kurczątka wodzi kwoka,
A figlarny lis z pod oka
Romantycznie patrzy na nie,
Chcąc je schrupać na śniadanie!
Małaż uczuć to podnietą?
Nastrój lutnię... nuć poeto!

* * *

Śpiewaj! niech śpiew łzy wyciska,
Kłam, a wzniośle, pięknie, gładko,
Zbliżaj się do prawdy rzadko,
Bo co zdala
Myśl zapala,
Niekoniecznie piękne z bliska!

* * *

Widzisz... kwiatek się rozwija...
Nim nastroisz twoją lutnię,
Z pod kwiatka wyskoczy żmija,
I śpiewaka w serce utnie!...
Na dnie twej szklannej sadzawki
Lęgną się gady, szczypawki,
Z trawki, gdy ją wiatr rozdmucha —
Ukaże ci łeb ropucha,
W gaiku, twych dumań chwilki,
Zakłócą niegrzeczne wilki,
Albo jaki śpiew wyniosły
Zgłuszą bekiem głupie osły!

* * *

Gdyby nie to
A! poeto!
Ty byś piosnkę mi zanucił,
Z tobą śmiałbym się lub smucił,
Z tobą w inny świat z ochotą,
Wzleciałbym w zachwycie duszy!...

* * *

Ale cóż? przeszkadza błoto
W którém grzęznę tu po uszy,
Nazbyt mocnych skrzydeł trzeba,
By wyrwały ztąd... do nieba!
Twego śpiewu czcza pociecha,
W piersi mej nie znajdzie echa;
Myśl przykuta tu, do ziemi,
Coraz głębiej się w niej ryje,
I za słowami twojemi
Już się pod gwiazdy nie wzbije!

A łzy? zkądby ich się brało?
Nim poetą być przestałem,
Tożem wylał ich nie mało,
Toć nad lada czém płakałem,
Dość ich dość!

* * *

Jak wspomnę sobie
Chwilę, gdy podobny tobie
Błądziłem z głową do góry,
Roztrącając nosem chmury...
Jakaś chwyta mię tęsknota,
I serce jeszcze kołacze...
I płakać bierze ochota
Idź!... bo resztę łez wypłaczę!

Jan Chęciński.

JAKO KRÓL SOBEK,
PRZEGRAWSZY DOMA, WYGRAŁ POD WIEDNIEM.

Pan Hetman, silny w ducha, w dłoń i w słowa,
Przecież mniej silny, niźli białogłowa;
Jeździ po karku Turczyna sąsiada,
Ale samemu Jejmość na kark wsiada;
Jest dzielnym wodzem na czele swej młodzi,
Lecz go samego Jejmość za nos wodzi.
— Proszę cię duszko, mówi słodkiem słowem,
Wygrzmoć mi tego Tatarów pod Lwowem. —
— Jeśli masz litość dla słabej kobiety,
To pod Chocimem wykrop Turkom grzbiety. —

— Jeżeli nie chcesz, bym mdlała ustawnie,
To podpisz serce układy w Żurawnie. —
Pan Hetman kropi, podpisuje, grzmota,
Wreszcie odpocząć bierze go ochota,
Aliści Jejmość znów mu głowę suszy:
— Wiesz co, rybeńko, jak cię kocham z duszy,
Tybyś powinien królem Polskim zostać. —
Więc został królem...
Nowa rzeczy postać:
Francuz i Austryak stoją przeciw sobie.
Myśli król w duszy: „teraz wiem, co zrobię;
Czas z rakuzkiemi skończyć praktykami,
Trzymam z Francuzem“.
Gdy raz byli sami,
Jejmość na nerwy wielce się uskarza.
— Proszę cię, kotku, wszak wesprzesz Cesarza?
— Nie mogę. — Możesz. — Ale, Marysieńku,
To chciwiec wielki. On mi pomaleńku,
Nieznacznie, gotów wleść aż do Krakowa. —
— Nie mów tak głośno, bo mię boli głowa;
W twe przewidzenia nie zupełnie wierzę,
Ktoś ci je podał. — A więc wyznam szczerze,
Że król francuzki... — Co? ten gbur prostaczy,
Który mię w rękę całować nie raczy?
Słabo mi! mdleję!... Rwetes! rejwach! biegą
Ratować, trzeźwić. Tegoż dnia samego
Król, sam się dziwiąc z nagłej w sobie zmiany,
Zamiast z Francuzem, sprzągł się z Rakuszany.

Jak na to, Turek z wojskiem niepośledniém,
Wybrał się gracko pohulać pod Wiedniem.
Więc Cesarz takie wyprawi pisanie:
— Życzę ci zdrowia, Mości ex-Hetmanie,
Dzisiejszy królu! Oto rzecz jest taka:
Ty bij się za mnie, a ja dam drapaka,

Boć nie napróżno sprzęgliśmy się ściśle. —
— Co? co? za Niemca bić się? Ani myślę. —
— Ale serdeńko; kiedy Legat prosi... —
— Choćby i skrzypiał, jak koło na osi,
To mię już więcej z Niemcem nie pobrata. —
— Legat papiezki... — Przeproszę Legata,
W rękę go, w nogę pocałuję w skrusze,
Ale Niemcowi wręcz odmówić muszę. —
— Lecz Ojciec Święty... — Sam mam dość kłopotów;
Ojcu Świętemu wszystkom zrobić gotów,
Byle nie trzymał z Niemcem. — Jak chcesz wreszcie;
Nie mnie to słabej sprzeczać się niewieście;
Zrobisz, jak zechcesz, boś ty przecie panem! —
— No... jakbym... tego... —
Z licem zagniewaném
Umilkła Jejmość, i tylko bez przerwy
Na ból się głowy skarżyła i nerwy.

Nazajutrz rano czarcia moc przyniosła
Wilcze grafiątko, cesarskiego posła.
On tedy Wilczek łasi się nie lada,
Wyrzeka, skomli; wszystko nic nie nada,
Więc plackiem do nóg. — A toż sroga męka!
Patrz, Marysieńko, on przedemną klęka. —
— To proś go siedzieć. — On ledwie nie płacze. —
— Ależ bo twoje obejście prostacze
Łez tylko warte. — Patrz, on ręce składa. —
— Daj mi tam pokój. Jam już bardzo blada,
Zaraz zemdleję. — Czekaj tylko chwilę.
Jeśli i dziś się ku Niemcom przechylę,
To już wyraźnie, żem jest kiep, dowiodę. —
A ona na to, głaszcząc go pod brodę:
— Fe! brzydkie słowo, tchnące kordegardą.
Nie trzeba nigdy stawiać się tak twardo

Słabej kobiecie, mającej swe plany.
Ja wiem, tyś człowiek dobrze wychowany.
Ty mi obronisz Wiedeń...
Kusa sprawa!
Więc król rad nie rad zakasał rękawa,
I w chwilę potém Turcy umykali,
Aż się za niemi kurzyło w oddali.

Wtém wraca Cesarz wśród licznej czeredy:
— Cóż? Wiedeń wolny? No, to dobrze. Tedy
Idź teraz każdy, gdzie jest droga komu;
Kłaniam i żegnam. Ja zostaję w domu,
A Mospan Polak wracaj w swoją stronę. —

Rzeknie król, kręcąc wąsy nastroszone:
— Jabym tu został na zimowe leże. —

Na to Leopold: — Ja sam radbym szczerze,
Lecz owies drogi, a i wy też przecie
Jeść wasser-zupki cienkiej nie zechcecie.
Więc szczerze radbym... ale cóż? nie mogę, —
Servus mój panie i krzyżyk na drogę. —

Rzeknie król: — Z Polski, zkądeśmy ściągali,
Przyszliśmy syci, z miną gęstą, cali;
Wracamy ranni, głodni i obdarci...
Żegnam, mój panie, niech cię porwą czarci! —
I myślał idąc: — Dobrze mi. Nie chciałem
Nosić miecz chwały przed królem Michałem,
Co był i szlachcic, i szedł z rodu Piasta;
Więc mię dziś za nos wodzi mdła niewiasta...
Ale tym sztuczkom będzie wreszcie *satis,*
Takie jej wytnę *verba veritatis*
Za mym powrotem, że spazmów dostanie;
A ja... nic na to. U mnie tak, Mospanie! —

Kiedy już wjeżdżał w bramy Willanowa,
Patrzy, aż żonę strasznie boli głowa.
Wtém ta królowa wielce słabowita:
— Jak się masz serce? słabym głosem pyta. —

Na to jej ostro król strapiony srodze:
— Ha! mam się spyszna, tak jak groch przy drodze.—
— Fe! brzydki wyraz, rzekła słowem miłém. —
Król stracił rezon. — Jak chciałaś, zrobiłem.
Kazałaś bronić Wiednia. Wiedeń oto
Swobodny. Chciałaś, bym się bił z ochotą,
Nie oszczędzałem ni głowy, ni piersi... —
Na to mu rzekła Marysieńka: — *„Merci“*. —

Felicyan Faleński.

JAKO ŻYD BORUCH
DOSTAŁ BASARUNEK OD SASÓW I OD LESZCZYŃSKICH.
Historya trefna a prawdziwa wielce.

W owe to czasy, kiedy do korony
Per fas et nefas dwóch się panie darło,
Kiedy Szwed i Sas, każdy na wsze strony
Gospodarował i walczył na gardło:
W owe to czasy drogą od Tajkurów,
Co wężem płowym bieży koło wioski,
Toczył się wózek maleńki żydoski,
A w nim żyd stary i para bachurów.
Wózek lichota, same grochowiny,
Dziury mu w bokach świecą od starości —
A koń u wózka toż skóra i kości.
A żyd, jak zwykle żyd, potulny z miny,

W futrzanej czapce, za całe ubranie
Hałat z wytartej zeszyty opończy,
Kiwa się ciągle, znać pacierze kończy,
Lub na bachurów zaszwargocze z cicha,
Co chude członki wyległszy na sianie,
Chrapią jak tartak, co woda popycha.

Choć droga gładka jak mówią, po mydle,
A do popasu milek jeszcze ze dwie,
Noga za nogą koń się wlecze ledwie,
Zwykle żydowskie, na wpół zdechłe bydle,
Chociaż to instynkt lepszy ma od człeka;
To też na wolę żyd mu puścił wodze,
I wzrokiem powiódł ciekawym po drodze,
Bo tam na drodze coś czerni z daleka.

Czerni się, czerni, coraz więcej wzrasta,
I tuman kurzu wreszcie się przerzednia;
To szlachta panie, a znać sama przednia,
Bo mina u niej gęsta i sumiasta;
Przodem na siwku, co w dzielnym podskoku
Bokiem podrywa najeżywszy grzywę,
Z czapką na bakier, z demeszką u boku,
Jakieś chłopisko harcuje straszliwe.
Wąs jak u suma, a twarz ogorzała,
W oczach mu wyraz płomienieje djabli,
Brwi nastrożone, a szrama od szabli
W lewo z policzka w czoło wybieżała;
A pięść u niego taka zamaszysta,
Że jak cię rąbnie, to do nóg upadam,
Zanim powstaniesz, zjadłbyś czartów trzysta.
To sam chorąży: pan Szmigielski Adam.

W żydzie krew ścierpła, lecz cóż robić w biedzie,
Odkręcił na bok i ku polu dąży,

A wtém „Stój żydzie!“ krzyknął pan chorąży,
I cała szlachta wrzasnęła: „Stój żydzie!“
„Gdzie to waść jedzie o tak wczesnej dobie?
Proszę sam do mnie, pogawędzim sobie“.
Żyd wylazł z bryki, poznawszy po mowie,
Że to nie żarty, nachylając karku,
Do nóg się kłoni.
„Przezacni panowie,
Ja biedny żydek, powracam z jarmarku,
Jadę do domu“.
„Hola, za to ręczę,
Że gdzieś przeciw nam podążasz z językiem“.
„Jak mi Bóg miły, ja nie zmówny z nikiem,
W Tajkurach skórki sprzedałem zajęcze
I wracam doma; jeśli kłamię słowo,
Niech mi jasności niebieskie zagasną“.
„Więc dobrze, gdy chcesz z rąk naszych wyjść zdrowo,
Mów, za kim trzymasz, wyraźnie i jasno“.
„Nu, za kim trzymam? za panami juści“.
„Żydowski język zawsze krzywo hasa,
Tać wiem, że wszyscy jesteście oszuści;
Twoja rzecz wyznać, łapserdaku, szczerze,
Komu ślubujesz w twej pogańskiej wierze,
Kogo chcesz królem, czy Sasa, czy Lasa?“ *)
Żyd zadygotał, twarz zbladła jak kreda,
Strach przejął kości i grzbiet zgiął we dwoje,
I gadać bieda, i niegadać bieda,
Bo nie żartują te psiawiary goje.
Chciałby coś mówić, lecz się jeno jąka,
Bo strach ognisty na języku ciąży;
Wtém niecierpliwy krzyknie pan chorąży:
„Panie Jacenty! dajno waść postronka,

*) Partyzanci Augusta II. tak nazywali Leszczyńskiego, ztąd znane przysłowie.

Kiedy jest takiej milczącej natury,
To go mosanie powiesim tymczasem".
Jak oparzony żyd skoczył do góry:
„Aj, daj pan pokój, ja trzymam za Lasem".
„Więc poganinie jesteś w partyi szwedzkiej,
Czekaj; rozłożyć to plemię hajducze,
Dwadzieścia batów... na honor szlachecki,
Ja cię tu króla nazwiska nauczę".
I kawęczeniem nie bawiąc się długiém,
Wraz rozłożyli żyda bez kobierca,
A pan Jacenty, podchodząc z kańczugiem,
Wlepił dwudziestkę, ale to od serca,
Że to aż iskry sypały się panie.
Więc kiedy dzieło skończyło się owo,
Siadając na koń, tak na pożegnanie
Rzekł mu Szmigielski:
„Będzie waści zdrowo,
I pomnij sobie odtąd na raz drugi,
Że Sas panuje, a my jego sługi,
A kto nie wierny, to kropim batogiem".
Uchylił czapki i odjechal z Bogiem,
A za nim szlachta.
Żyd podniósł się z ziemi
I wzrokiem powiódł gniewliwym za niemi
I mruknął z cicha: „żebyście zmarniali
Jak proch na polu, razem z waszym Sasem;
Tfy, szelmy, goje!" ścisnął hałat pasem,
Poprawił pejsów i pojechał dalej.

Bachury spały, szkapa lazła stępa,
A żyd mamrotał na gojów pod nosem.
Na prawo drogi od pola ukosem
Nie wielka drzewek czerniła się kępa,
A za nią grobla z piaskowych kamieni
Bagniskiem z obu naciśnięta boków,

Grobla nie jeszcze, lecz o kilka kroków
Znów jacyś ludzie stoją uzbrojeni,
I chociaż minąć radzi myśl ostrożna,
Grobla tak wązka, że minąć nie można,
A i tak panie konisko zmęczone;
Bieda, bo bieda, lecz żyd się pociesza:
„Może mię zbawi wielki Bóg Mojżesza,
Co wiódł mych ojców przez morze Czerwone“.
Więc tedy błaga pokornie Jehowę:
„Panie, niech ku mnie twa łaska się nagnie,
Spraw, żeby sługi te Faraonowe
Co do jednego zatonęły w bagnie,
Lub niech ich piorun twój ognisty spali,
Bo to są goje nikczemni i podli“.
Tak się żyd panie po swojemu modli,
A bryka tandem ciągle idzie dalej,
I już na grobli i jezdnych spotyka.
Brzękły podkowy, zaszczęknęły kordy,
A koń schwytany za cugle u mordy
Stanął jak wryty, a za nim i bryka,
I Boruch jakby wyciśnięty procą,
Znalazł się nagle przy bryce na ziemi;
Tu jeden starszy snać pomiędzy niemi
Zagadnie:

„Żydzie, gdzie jedziesz i po co?“
„Nu, gdzie ja jadę? ja jadę do domu,
Toż ja nie żaden Tatar ani Turek.
Ja biedny handlarz od zajęczych skórek
I nigdy w drogę nie wlazłem nikomu“.
„A komu służysz, ty pogańskie dziecko?
Z jaką ty partją, czy Saską, czy Szwedzką?“
Zlękniony Boruch macnął się po grzbiecie,
Bo u tych także za pasem kańczugi:
„Nu, wszak panowie wszyscy dobrze wiecie,
Że królem polskim tylko August drugi“.

„A więc tak śpiewasz, ty pohane plemię;
Rozłożyć żyda, niechaj się wraz dowie,
Że kiedy naszą zamieszkuje ziemię,
To musi służyć naszemu królowi“.
I znów batogi.
A bachury spały.
Dawno świadomy już o tém świat cały,
Że w żydzie tchórza natura i słaba;
Skórę ma twardą, ale miękkie serce;
Boruch jako mógł, okutał się w ścierce
I jechał dalej, a beczał jak baba,
I choć mu djable dokuczyli, iście
Już nawet nie klął, bo piekło siarczyście.

Żydowska karczma przy drodze za lasem,
Przed nią, jak mrowie szlachta wysypała,
Tartas i rwetes, tu widać popasem
Stoją pancerni, ba, chorągiew cała;
Żołdactwo łaje gospodarza z krzykiem
Albo bachurów szturga ku zabawie,
A przede drzwiami na kamiennej ławie
Siedzi chorąży z panem namiestnikiem;
Oba już z mocno zrumienioną twarzą;
I popijają miód z dzbana, a gwarzą.

„Więc pan Kijowski odstąpił już Szweda?
No, poznał *quidem*, zkąd wiatr panie dmucha,
Jeszcze Lövenhaupt“.
„At, Lövenhaupt mucha.
Ale z Potockim zawsze będzie bieda,
Sparty jak kozioł, *et tandem* przysięga,
Że nie odstąpi. Niechaj Szwedów łupią,
Kaduk ich zabierz, z obcym nie mitręga,
Lecz ze swojemi jakoś djable głupio;

Kord we krwi bratniej zawsze się bezcześci;
Żeby to jako zkąd zasięgnąć wieści...
I... patrzno waszmość, tam na drodze oto
Podróżną brykę wstrzymali żołdaki,
Może to do nas jest posłaniec jaki?
Dajcie sam żyda... gadaj-no hołoto,
Kto ty zacz jeden, za kim i do kogo?“

A Boruch stanął z wyciągniętą szyją:

„Nu, co się pytać? niech panowie biją,
A potém przecie zapytać się mogą,
Wszak tu wam tylko o batogi idzie?“

Taki jest morał gawędy o żydzie.

Wacław Szymanowski.

ŻEBY.

Żeby to mnie! żeby owo!
Żeby tak, lub tak się wiodło!“
Człowiek żeby ma za godło;
Żeby pierwsze nasze słowo.
Żeby tacy byli bliźnie!
Żeby tak, lub tak w ojczyźnie.
Żeby żona! żeby domek!
Żeby — żeby znów potomek!
Wciąż niepokój dzwoni z łona:
Insze, insze znów potrzeby,
Liczba zer, a nieskończona,
Niż chwil w życiu więcej — żeby;

Człowiek tu na ziemi gości.
Żeby! zawsze czegoś trzeba.
Och! Rozstrzeni — i wieczności!
Ojcowskiego domu — nieba!
Człowiek, żeby już nie powie,
Gdy ożyje tam — duchowie.

Bohdan Zaleski.

MACIEJ
czyli
WDZIĘCZNOŚĆ LUDZKA.

Maciej, człowiek prostej wiary,
Bez żony nawet, bez dzieci.
Przy pieniądzach sknera stary,
Gdy już szósty krzyżyk leci

I gdy w chacie sam się nudzi,
Chcąc wejść jakoś między ludzi,
Krewnych do siebie zwoływa.
Zwoławszy, tak się odzywa:

— „Co dał Bóg zebrać, zbierając,
I z pracy i z nieużycia,
To ja dla was przeznaczając,
Chcę oddać jeszcze za życia;

Lecz kiedy już podział zrobię,
To tylko wymawiam sobie,
Abym potem bez pieniędzy
Sam dla was nie doznał nędzy.

Za pierwszy kładę warunek,
Do śmierci mnie utrzymanie;
Pewny wzgląd, pewny szacunek,
To do was samych zostanie;

Słowem, wzajemną wypłatą,
Do śmierci mię żywić za to
I opatrywać będziecie.
No! jakże? czy przystajecie?"

Aż wszyscy się wraz poruszą,
Otaczają go do koła,
Ściskają, mało nie zduszą;
— „Zgoda, zgoda!" każdy woła.

— „Niech u mnie Maciej osiędzie!"
— „U mnie mu najlepiej będzie!"
— „Ja pierwszy prośbę zanoszę!"
— „Proszę do mnie!" „Do mnie proszę!"

Prosili, aż omamili.
Z duszy się staruch weseli,
Że znalazł w tak krótkiej chwili
Tylu dobrych przyjacieli.

Wywleka ze skrzyni wory;
Kładzie jeden worek spory,
Drugi, trzeci, czwarty składa,
Piąty, szósty! rzecz nie lada!

Daj go Bogu! co talarów!
Wysypał wszystkie na ławie,
Mierzy, i z równych wymiarów
Każdy dostał równo prawie.

Wszystkich radość była szczera,
On jednego dom obiera;
Gospodarz go wzywa, prosi;
Maciej do niego się wnosi.

Na wnosiny goście, trunek,
Skrzypki, tany, organista;
Pewny wzgląd, pewny szacunek,
To rzecz nadto oczywista.

Aż tu miesiąc, drugi, trzeci,
Czwarty, piąty, szósty leci.
Cóż to? jakoś nie swój stary!
O! talary! o! talary!

Zrazu w procent z kapitału,
Strawę, odzież, wszystko dostał,
Aż tu pomału, pomału...
Maciej sługą domu został

— „Macieju! przynieście wody,
Macieju! pójdźcie do trzody,
Macieju! zróbcie ognisko“ —
Męczyło się Macieisko!

Całkiem już wsiedli na niego:
— „Maciej taki, to owaki,
Maciej gawron, do niczego!“
Takie miał wdzięczności znaki.

Wreszcie oburzony stary,
Aby za własne talary
Jeszcze taką biedę znosić,
Poszedł gdzieindziej się wprosić.

Do drugiego więc krewniaka
Wybrał się w najpierwsze święto,
Lecz niestety! tam biedaka
Wcale nawet nie przyjęto.

— „Nie naprzykrzaj się nikomu,
Pilnuj się pierwszego domu!“
Rozdawszy wprzód grosz po groszu,
Osiadł dziś Maciej na koszu.

Ani sposób wytrwać dalej;
Już tego dłużej nie znosi,
Przed organistą się żali
I o radę jaką prosi.

Dobrej rady nie odrzucić:
— „Oto naprzód wszystkich rzucić,
Zrobić wór, napchać guzików
I tak podejść niewdzięczników“.

Chętnie się posłuchał stary:
Wypchał worek należycie
I jakby bite talary
Na cmentarzu wkopał skrycie.

I poszedł tegoż wieczora
Do owego sukcessora,
Do którego wprzód się wnosił
I przyszedłszy, rydla prosił.

Dają mu rydla coprędzej,
Lecz każdy chciałby być świadkiem,
Czy też dziad jeszcze pieniędzy
Nie miał gdzie jakim przypadkiem.

Idą... patrzą... kopie stary...
Trudno oczom nie dać wiary,
Worek ogromny dobywa,
Dobywszy, tak się odzywa:

— „Myśleliście, niewdzięcznicy,
Że już byłem bez pieniędzy,
Bogaci z mojej skarbnicy
Zapomnieli o mnie w nędzy.

Ale jeszcze, dzięki Bogu,
Nie pójdę żebrać u progu —
Bez cudzej łaski, tej ćwierci,
Dość by mi było do śmierci;

Mam worek, ale się nie dam
Tak łatwo teraz oszukać,
Już sam się wam nie zaprzedam,
Abym znów biedy miał szukać.

Który mię przyjmie do siebie,
Ten tylko po mym pogrzebie,
Aż po pogrzebie, nie prędzej,
Będzie panem tych pieniędzy".

Aż się wszyscy wraz poruszą:
— „Ach, drogi panie Macieju,
Zawsze cię ciałem i duszą
Kochaliśmy, dobrodzieju".

— „Niech u mnie Maciej osiędzie!"
— „U mnie mu najlepiej będzie!"
— „Ja pierwszy prośbę zanoszę!"
— „Proszę do mnie!" „Do mnie proszę!"

— „Ręczę, że się wam odpłacę,
I, by każdy wiedział jeszcze,
Że tych pieniędzy nie stracę,
W depozycie je umieszczę.

Organistę wszyscy znamy,
Jemu ten worek oddamy;
Obwarujcie więc go sami
Własnemi wprzód pieczęciami".

Lak, pieczęcie, duchem znoszą,
Herby wszędzie wyciskają,
Organistę sami proszą,
Sami worek mu oddają.

Każdy rad na dobrodzieja
Złapać sobie w dom Macieja,
Każda prośba była szczera.
Maciej jednego wybiera.

Na wnosiny goście, trunek,
Skrzypki, tany, organista,
Pewny wzgląd, pewny szacunek,
To więcej, niż oczywista.

Aż tu miesiąc, drugi, trzeci,
Czwarty, piąty, szósty leci.
Cóż to? zawsze kontent stary?
O! talary! o! talary!

Strawę, odzież, wszystko dostał,
Żył nieuległy nikomu,
Jakby przyjacielem został,
Jakby ojcem w dzieci domu.

Upraszali go o radę;
W żadną nigdy nie szli zwadę;
Lubiony, czczony był stary.
O! talary! o! talary!

Na wygodach w pomyślności
Rączo mu zbiegały lata;
Po krótkiej wreszcie słabości
Zszedł stary Maciej ze świata.

Na ostatnie już zaszczyty
Pogrzeb zyskał przyzwoity,
Który z niemałym nakładem
Sutym się skończył obiadem.

Po pogrzebie, po obiedzie,
Wniosek już sam z siebie czysty,
Pyszny dziedzic wszystkich wiedzie
Wprost do pana organisty.

Biorą worek; wszystkie święcie
Dochowane są pieczęcie;
Otwierają... straszne krzyki...
Czerepy, szkiełka, guziki! —

Stefan Witwicki.

IX.

REZYGNACYA.

Sonet.

Nieszczęśliwy kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwy jest, kogo próżne serce nudzi:
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy z ludzi,
Kto nie kocha, że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa rozkosz co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłém sercem iść do stóp anioła.

Albo drugiemi gardzi, albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A na obiedwie patrząc żegna się z nadzieją;

I serce ma podobne do dawnej świątyni.
Spustoszałej niepogód i czasów koleją
Gdzie bóstwo niechce mieszkać... a ludzie nie śmieją.

Adam Mickiewicz.

DANAJDY.

Sonet.

Płci piękna! gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki
Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty!

Dzisiaj wieki są tańsze a droższe zapłaty.
Ta której złoto daję, prosi o piosenki;
Ta której serce daję, żądała mej ręki;
Ta którą opiewałem pyta czym bogaty.

Danajdy! Rzucałem w bezdeń waszej chęci
Dary, pieśni i we łzach roztopioną duszę:
Dziś z hojnego jam skąpy, z czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę:
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko prócz serca.

Adam Mickiewicz.

DZIEŃ DZISIEJSZY.

(Wyjątki).

Możem ja zasnął — umarłem już może,
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi:
Próżno mnie wskrzeszać — nic mi nie pomoże,
Nikt rany mojej pod niebem nie zgoi. —

Jam bardzo smętny, jam bardzo znużony
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś ze mną,
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony.

Dajcie mym skrzydłom wybujać z tych cieśni.
Już i tak długo byłem z wami razem:
Wy życia tylko rozbitym obrazem
We mnie brzmią głosy nieznanej wam pieśni.

Na co czekacie? Czegóż jeszcze chcecie?
Czy żebym przyznał że dobrze na świecie?
Czy żebym płakał że umieram młody,
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody,

Zostać i starzeć — zaprządz się do pługa
Wić się po ziemi jak ucisku sługa,
Czuć tylko w nocy — w dzień działać inaczej?
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy...

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem —
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
Ja brat wasz — człowiek — ja na was spozieram
Z miłością brata — i cicho umieram...

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem,
Ciało w myśl natchnąć i myśl stworzyć ciałem;
Ach! nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi
Snuć węzły życia i wieńce potęgi!

Nad grobem świętym — nędznych waśni sporem
Nie Chrystusowym płomieniem my gorem;
Jedni w bojaźni swej się zasklepili
Drudzy żądają gwałtu w każdej chwili...

Jam ciężko grzeszny — wyznaję — o bracia
Bom dał zamieszkać w sobie tej żałości,
Co z czucia w końcu w krew się przepostacia
I myśl zatruwa, przewciela w szpik kości.

Mnie smutek zabił — mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych nieskończonych marzeń,
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Mnie te dni naszych wciąż tak podłe dzieje!

Jam pił zanadto z krynic mętnych łzami,
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem.
Wiek wołał „czekaj" rok ciągnąc za rokiem,
Codzień świeżemi witał mnie trumnami!

Wszystko com kochał, w ziemi pogrzebałem
Miłości moich — krzyże — tam na błoniach
Gdzie blade jeźdzce śpią przy śpiących koniach
Z godłem na piersiach — sennem, krwawem białem.

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty
I czajka woła — jak wprzódy na dzieci
I słońce cicho, nad równiną świeci...

Ach teraz wszystkie — wszystkie te obrazy
Walą się na mnie jak grobowe głazy
Mówcie mi bracia spokojne pacierze —
W ostatnich skonu podrzutach już leżę!

Zygmunt Krasiński.

XIX. WIEKOWI.

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości!
Co nad przepaścią stanąłeś ponury,
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury,
Wieku zwątpienia, o wieku niewiary!
Jakże ty straszny jesteś dla cierpiących —
Sfinxową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących;
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
„Wszystko skończone, zginiecie na zawsze“!

Na co się przyda mistrzu twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącej rzeszy?
Gdzie masz pociechę, której ona szuka?
Gdzie masz tę miłość, która ją rozgrzeszy?
Dałeś jej ziemi obszary jałowe,
I dożywotnie dałeś jej dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę,
Idealnego świata uczestnictwo;
Choć jasne źródła stoją jej otworem,
Ona z nich przecie rozkoszy nie czerpie,
I woła sercem, upadając chórem:
„Po co ja żyję, umieram i cierpię?“.

El...y.

ŻYDÓWKA.

Od brzegów Afryki, od brzegów Hiszpanii,
Dwa razem okręty wybiegły z przystani,
Na błękit od słońca jaskrawy;
Wesoło majtkowie żeglują po wodzie,
Oh! niechaj się w swoim nie zdybią pochodzie
O Boże! te obie nawy!

Tam z masztów korsarskich lśni księżyc dwurożny,
Tu rabin z Kordowy, Ben-Mojżesz pobożny,
Do braci w kraj płynie odległy;
Grosz darów pobożnych gromadzi po świecie,
A grosze zebrane w rabina kalecie,
Na kościół Jehowy to cegły.

Z nim młoda małżonka trud dzieli podróży,
Oblicza urodą, podobna do róży,
Co kwitnie na błoniach Saronu,
A duchem swym smętnym, wyniosłym, przeczystym,
Do owych cór judzkich, co bólem ojczystym
Płakały u rzek Babilonu.

I siadł na pokładzie Ben-Mojżesz z Rebeką,
To wzrokiem po fali, po złotej powleką,
To w sobie oczyma utoną.
On mówi: „Jehowę niech język mój chwali,
Że dla mnie tułacza wśród lądu i fali
Dał ciebie o luba ma żono!“.

I mówił: „Najmilsza, już wkrótce mój święty,
Mój wielki cel życia obaczę dopięty,
Ostatniej wędrówki to trudy,

Na ziemi wygnania w hiszpańskiej Kordowie
Wspaniałyż przybytek wystawi Jehowie
Pielgrzymi, żebrzący syn Judy".

Na nawie afryckiej, polotem obłoku
Szybuje tymczasem El-Hassan z Maroku,
Najchciwszy, najdzikszy z korsarzy;
Za łupem po fali oczyma pogonił
Przed blaskiem słonecznym skroń ręką osłonił,
Na maszcie jak mewa się waży.

„Jest połów", wykrzyknął, na pokład się zsunął,
„Ho, urra do wioseł!" jak orzeł już runął
Na okręt pod flagą hiszpańską,
Daremny był opór, załoga spętana,
Ben-Mojżesz uczony już jeńcem Hassana,
Rebeka już branką pogańską.

„Ho! połów nie lada! O piękna żydówko!
Nim sułtan mi za cię zapłaci gotówką
Niech twoja uroda huryski,
Wprzód moje miłosne zapały ugasi...
Oh! cudnyż ten szkarłat co lica ci krasi,
I w oczach twych gniewu te błyski".

„Pójdź do mnie! pójdź do mnie!" i w żądzach rozpasan
Zuchwałem ramieniem już sięga El-Hassan
Już w swoich objęciach ją trzyma...
Krzyknęła, wydarła się z szponów korsarza,
Spojrzała jak lwica, co wzrokiem zatrważa,
„Ratunku!" — ratunku tu niema!

Szyderczo się śmieją u wioseł enuchy;
Szczęknęły u masztu rabina łańcuchy,
U stóp jej fal szumią otchłanie;

Więc wzrokiem rozpaczy do męża się zwróci:
„Mojżeszu! kto w morza przepaści się rzuci
Czy w Panu ten zmartwychstanie?“.

Stał blady u masztu, bez głosu, bez ruchu,
Nie widać z oblicza tej walki, co w duchu
Sto uczuć to wznieci, to zgnębi,
Wzrok podniósł na żonę i spuścił na wodę,
I rzekł jej: „Pan mówi: ja z Bazan wywiodę,
Ja z morskiej wywiodę ich głębi!“.

Skoczyła — rozbiegły, znów zbiegły się fale
I kropel spienionych stubarwne opale
Trysnęły ku słońcu i gasną,
I białych szat rąbek gdzieś mignął się jeszcze,
I zniknął i morze znów głucho szeleszcze
I słońce przyświeca tak jasno.

Był wieczór, przy maszcie stał rabin ponury
Wzrok czepiał na nieba zachodzie purpury,
Na falę, co u stóp się kłębi,
Łzy gęste na gęstą spadały mu brodę,
On szeptał: „Pan mówi: ja z Bazan wywiodę,
„Ja z morskiej wywiodę ich głębi!“.

Adam Pajgert.

ŚWIAT.

Mów, co nie myślisz, opasz serce stalą,
Na ustach osadź uśmiech fałszu wieczny,
Nie płyń pod wodę, ale płyń wraz z falą,
Choćby brat tonął, byleś był bezpieczny;
Zaprzyj się Boga, świętość miej za fraszkę,
Zaprzyj się uczuć za świecącą blaszkę,
I najbredniejsze lichwiarskie rachuby
Umiej ubarwić prawości pozłotą,
A świat cię nazwie honorem i cnotą.
Piękna dziewica powie ci: mój luby! —
Celu zazdrości, gdzie tłumy, gdzie pany,
Iść będziesz w blasku przez życia manowiec,
Rozkosz ci wieniec nawiąże różany,
I złote cyfry przystroją grobowiec.
Lecz jeśliś serce wpół nagie, dotkliwe,
Otoczył tylko niewinności zbroją,
Jeśli twe usta jak czucia poczciwe,
Łatwo przepuszczą rzetelną myśl twoją:
Biedna istoto będziesz jak wał kruchy,
Po którym deptać innowiercy będą,
Prostotę twoją potępi szmer głuchy,
Na gruzach marzeń sępy duszy siędą,
I niespodzianie na świata obrębie
Ujrzysz się jeden, sam jeden posępny,
Jak jeden listek na stoczonym dębie,
Jak pusty kościół, z którego występny
Pozdzierał wszystkie kosztowne ozdoby,
Zostawił tylko — świętości i groby.
Gdy Bóg osądzi w powijakach dziecię,
Że mu źle będzie i ciasno na świecie,

Wtedy zawczasu bierze je do raju;
Gdy ci wyroki pozostawią Boże,
Duch, który przystać do świata nie może,
Utwórz świat inny w własnej duszy kraju;
Zacznij żyć w sobie, chociaż nie dla siebie,
I tak się obwiń w tkanki twej osnowy,
Jak liszka, co się dobrowolnie grzebie,
Lecz z niej powstaje owad brylantowy.

J. Paszkowski.

BLUSZCZE.

Piorun zwalił stare dęby,
Smukłe brzozy zwalił z góry
Stary zamek, osamiały
W ołowiane patrzy chmury.

Dąb pamiętał stare lata,
Liście jego każdej wiosny
O przeszłości coś gadały,
O przeszłości o radosnej.

Brzoza smętna i żałobna,
Tam do baszty przytulona,
Na umarłych święte prochy —
Opuszczała swe ramiona.

Dziś sam został stary zamek,
Na ponurej został puszczy,
Wiatr nie zerwał tylko wiotkich,
Bujnych zeń nie zerwał bluszczy.

Gdzieś z podnóża się spinają,
Milionami liśćmi dążą
Na wysokie dążą mury,
I zielenią głazy wiążą.

Patrz, gdzie wisi herb rycerski,
One wieńce w herbie plotą,
Tu ciekawie nachylone —
Odczytują płytę złotą.

Festonami mur oblokły,
Z bram spływają bujnym splotem,
Słońce jasne, uśmiechnione
Niże je promieniem złotym.

A gdy wieczór księżyc blady,
Srebrną tkanką je odzieje,
W bramy grodu umajone
Płyną duchy — stare dzieje.

Lśnią się zbroje i przyłbice,
Sztandar z wieży szumi chwałą;
W oknach grodu cne dziewice,
Połyskują szatą białą.

Jakie życie! jaka świetność!
Rzędem sklepią się komnaty,
Na rycerskich wnuków plemię;
Z ścian się patrzą antenaty.

Gwar podrasta w krzyk zapału,
Z tłumu wstaje mąż wspaniały,
Rżą rumaki na dziedzińcu
I proporce zaszumiały.

Po zwodzonym moście grodu
Słychać koni krok mierzony,
Z okien patrzy zamiast bluszczy
Białych niewiast wzrok stęskniony.

Drogą trąba grzmi wojenna
Ciszej coraz, coraz dalej:
Chwilkę jeszcze łza niewieścia,
Tam się w oknie grodu pali.

Zgasła! Cisza! Tam pod górą,
Jako dawniej rzeka pluszcze;
Z okien zamku w miejscu niewiast,
Smętne tylko wieją bluszcze.

J. Szujski.

NADGROBEK.

Chwilę nad krwawym zbłąkany zagonem,
Wracam z pola, znużony drogą nadpowietrzną
Z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonėm
Kończąc wędrówkę marną choć konieczną,
I w tył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętném jest mi to — co rzucę.

Nigdym się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką,
Próżnom się stworzyć sferę życia silił,
Sen mi był życiem, przebudzenie męką,
I z za obłoków chyląc się niechętnie,
Patrzałem na świat łzawo choć namiętnie.

I nigdym w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci;
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia,
Bezsilność nosząc w cielesnej pieczęci,
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem za to bez plonu i wrażeń.

I nigdym usty nie dotknął drżącemi
Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały,
Senne mnie tylko widma kołysały,
I dziś me serce złożą do podziemi,
Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie,
Że nad niém płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona,
Dała mej mglistej duszy świąteczną pogodę,
I melancholii łagodnej zasłona
Spadła na dziwną narcyzów urodę,
Co nieznalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własném musi utonąć odbiciu,

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie.
Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły;
Błyszczałem rosą uczuć nieustannie,
Lecz i tę ptaki niebieskie wypiły,
I tyle tylko pozostanie śladu,
Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
Choć zniknie cienia mego przeźroczysta białość,
Nie pójdę błądzić po księżycu blady,
I od zbudzenia zbawi mnie ospałość,
I głuche nawet echa nie powtórzą,
Żem się już ukrył przed boleści burzą.

El. . .y.

FANTAZYA.

Tysiąc wieków mijało jak człowieka plemię
Codzień świeżemi trupy zasilało ziemię,
A ziemia ich żyznemi sokami karmiona,
Codzień też więcej bogactw wyrzucała z łona,
Kędy dziś błotne bagna, zdradne trzęsawiska,
Zgubnych wyziewów matki i gadów siedliska,
Tam łąki wypłynęły, w nowe strojne szaty,
I drzewa niebotyczne i barwiste kwiaty;
A co tylko jest kruszców, lub drogich kamieni,
To wszystko w cudnych kształtach na ziemskiej przestrzeni,
Tysiącem ogniów błysło od promieni słońca;
A morza zwyciężone od końca do końca,
Cofnęły się przelękłe przed lądem, swym panem —
I ląd nad niezmierzonym zawisł oceanem,
I był piękny, zielony, rozległy, szeroki,
I do koła go srebrne owiały obłoki;
I zdawało się wtedy, że natura cała
Rześka, silna, z przeszłości swojej tak powstała
Jak młodzian, co z dzieciństwa do życia się budzi.
Gdzież była starość świata? — starość — sercach ludzi.
Dawnemi cierpieniami młode smucił ziemię,
I sam tylko był stary, zgrzybiałą starością,
Która śmieje się z czucia, pogardza młodością,
Która w duszy polotach i serca słodyczy,
Widzi grobu igraszkę, kruszcowy zysk liczy;
Która wszystko, co tylko jest pięknością, cnotą,
Przekuwa zimnym mózgiem na kłamstwo, lub złoto.
I człowiek był tak stary! — od kolebki dziecka,
Mowę jego kształciła obłuda zdradziecka:

A jak dziś w wyobraźni pobożnego ducha,
Anioł dziecięcia strzeże, i słów jego słucha,
I przemawia do niego snem, lub matki pieśnią,
Tak wtedy, myśl siejąca zgubną grobu pleśnią,
I chciwą żądzą złota, przy kolebce stała,
Fałszem, albo rachunkiem dziecię kołysała.
Kiedy z chłopca mąż wyrósł, z dziewczynki dziewica,
Pierwej nim wiek, namiętność zorała im lica.
Wpierwej nim lat późnych troski, zwątpienie i chciwość,
Przywiały im na czoło zbezcześciową siwość.
Żaden już głos na ziemi, z uczuciem wesela,
Nie wyrzekł imion brata, ziomka, przyjaciela!
Każdy był groźnym wrogiem, lub wroga ofiarą,
Przyjaźń, zwano oszczerstwem, miłość, śmieszną marą,
Sławę, echem próżności — szczęście, złem zuchwałém,
Poezyę, próżniactwem — poświęcenie, szałem. —
I tak bez wiary, czucia, smutne było życie,
Choć natura swe dary rozlała obficie,
Choć cała kula ziemska i niebios osłona,
Na wspólne szczęście wszystkich była urządzona.
Raz tylko — w długiej wieków ludzkości kolei,
Raz błysła odrodzeniem iskierka nadziei —
Zjawił się człowiek nowy, z młodzieńczym zapałem,
Wzniósł się myślą szlachetną i sercem wspaniałém;
A jak nad duchem ciemnic postać archanioła,
Tak on, gdy inni w ziemię pospuszczali czoła,
Szukając reszty złota dla duszy pogrzebu,
Śmiało stanął nad niemi, wzniósł oczy ku niebu
I wziąwszy dzielną ręką, wieszczej lutni tony,
Zabrzmiał hymnem proroka wśród tłuszczy zdziwionej:

„Ludzie, słuchajcie! Ludzie, bracia moi!
Czy który z was wysoko włada i panuje,
Czy nisko pochylony wśród trudów i znoi,
Czy schodzi z tego świata, czy na świat wstępuje,

Czy złotem z ziemią matką skuty, czy żelazem,
Kocha czy nienawidzi, złe czy dobre działa,
Wy wszyscy moi bracia — moja wszystkich razem
Jedną, wielką miłością dusza ukochała.

Bracia, słuchajcie pieśni! pieśń, to anioł Boga!
Pieśń, to nauka wieków — przyszłości przestroga —
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła,
Jasny promień nad głową prawdy Apostoła!

Bracia, słuchajcie pieśni! Jak anioł odleci,
Zginą wieków pamiątki — przyszłość zaciemnieje —
Głos zwiastuna o twarde serca skamienieje —
A jasny promień zgaśnie. Kto z was go rozniecі?
Gdy wszystko będzie zimne i martwe i głuche,
Kto wywoła na ziemię silnemi piersiami,
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłości naukę?
Kto was w niebo powiedzie jasności szlakami,
Jeźli pieśń wieszczów zmilknie? O ziemscy mieszkańce!
Póki Bóg jeszcze pieśnią do was się odzywa,
Póki w dusze wybranych hymn natchnienia wlewa,
Jako wonną oliwę w świątyni kagańcę,
Słuchajcie jego głosu! Ludzie bracia moi!
W pokorze przed nim wasze nachylajcie czoła.
Otrzyjcie serce z pyłu ziemskich niepokoi;
Dziś Bóg pieśnią — lecz kiedyś piorunem zawoła!

Ludzie, słuchajcie pieśni! Ja słowo pociechy,
Ja, ludzie, niosę słowo przyszłego zbawienia,
Ono wasze i dawne ojców waszych grzechy,
Zmyje wodą zapomnienia!

Ludzie, słuchajcie słowa! w niém świat, przyszłość cała,
W niém Bóg! słuchajcie ludzie! w niém szczęście i siła,

W niem się najpierwej ziemia nasza odczwała,
Wieczność dobrego zrodziła!

Ludzie, słuchajcie słowa! Jego to zgłoskami
Świat ku doskonałości toczy swoje kręgi,
I o nieskończoności pisze niebios księgi —
I stwórca łączy się z nami.

Ludzie, słuchajcie słowa! Miłość, miłość wieczna,
Nieokreślona czasem w istnieniu konieczna;
Niechaj z pochwalną pieśnią brzmi w nieskończoności,
Bóg słowo! Słowo miłości!

O ludzie, ja was kocham! Ja tak ukochałem,
Że gdyby mi na barki ciężki krzyż przykuli,
I biczem katowali, i na twarz mi pluli,
I na skronie cierniową włożyli koronę —
I żółcią napawali me usta spragnione,
Ludzie! ja bym nie płakał — a wtenczas płakałem,
Kiedym patrzał na lud wasz niedolą znękany,
Na ducha obłąkanie, i serc ciężkie rany;
I gdym pierwszy raz wołał, a wyście nie przyszli,
Słuchać pieśni o Bogu, świętej uczuć myśli.

Ludzie! ludzie! gdzie wy dążycie,
Przez łzy i zbrodnie?
Stójcie chwilowi przechodnie,
Oh! stójcie, bo zgasicie,
W kałuży krwi i błota,
Promienną iskrę żywota.

Ludzie, nie idźcie, gdzie bogacze świata
Purpurą, złotem, zbytkami,
Urągają nędzy brata,
Żywiąc się jego ciałem, pojąc jego łzami!

Ludzie, nie idźcie, gdzie głosem szyderca
Duch piekieł kłamie Bogu, i bluźni nauką,
Żeby stokroć przeklętą sztuką,
Resztki nadziei wyszarpać wam z serca,
I cięźej niźli ciała, w żelazne łańcuchy —
W przewrotne fałsze, okuć wasze duchy.

Oh! nie idźcie tam, ludzie! Ludzie, bracia moi!
Do mnie, do mnie! ja wszystkich przytulę,
Moja pieśń ukoi
Wszystkie troski, wszystkie bóle —
Moje ramie obejmie jednem uścisnieniem,
Wszystkie ludy — o bracia! pójdę mojém pieniem,
Budzić uśpione w obojętnej nocy,
Z południa ku północy,
Z zachodu ku wschodowi,
Głos mój wypowie —
Pieśń moja wyśpiéwa,
Rozkaz Boga — cel ludzkości,
Słowa braterskiej miłości,
Ziemia będzie szczęśliwa!".

Umilkł wieszcz — a w długiém milczeniu
Zdały się tłumy ludu, dziwić jego pieniu —
On drżący, jako jeszcze drżące lutni tony,
Patrzył okiem w ich duszę — śledził bieg ich myśli,
Aż głos jakiś z pośrodku zawołał: „Szalony" —
I ludzie powtórzyli — i poszli jak przyszli —
I on sam został tylko — głowę schylił smutnie,
O sterczące skał brzegi rozbił swoją lutnię,
I znowu spojrzał w niebo, ostatniém spojrzeniem,
Ostatnią łzę uronił nad bratniém cierpieniem,
I skonał. A ród ludzki dalej szedł bez celu —
Ginął, niszczał — na ziemi zostało nie wielu.

Potém... dwóch tylko ludzi — dzieci matki jednej,
Ale dalsi od siebie, niż ziemia od słońca,
Niźli niebo od piekła — bogaty i biedny. —
I biedny sięgnął ręką po brata dostatki,
Z głodu zgrzytnął zębami — własności obrońca,
Bogacz, szkielet bez serca, zdobył sił ostatki,
Całym skarbów ciężarem cisnął w piersi brata —
Aż nędzarz padł pod ciosem — sam bogacz wśród świata,
Dumnie powiódł oczyma — i cieszył się z tego —
Oh! cieszył się samolub, że nie ma drugiego,
Że jest sam. Ale chmura płynęła po niebie,
Ostatnia — grom ostatni wyrzuciła z siebie,
I ostatniego w świecie zabiła człowieka —
I wtedy pieśń harmonii zabrzmiała zdaleka;
I drzewa się w miłosne posplatały wianki,
I ziemia drżała szczęściem jak łono kochanki,
I w piękniejszej naturze wszystko piękniej żyło,
I wszystko było dobrze — bo ludzi nie było!

Gabriella.

BŁĄKA SIĘ WICHER W POLU.

Błąka się wicher w polu,
Nie wie, w którą wiać stronę,
Błąka się w dzikim bolu
Moje serce zmęczone.

Śnieg leży w gęstym borze
I pokrywa krwi ślady,
Tam moje ślubne łoże,
Tam kochanek mój blady!

Tak długo na mnie czeka!
Próżno pytam o drogę —
Droga ciemna, daleka,
Dotąd trafić nie mogę!

Noc czarna świat otacza —
Głucho, straszno i ciemno!
Ktoś płacze, ktoś rozpacza,
Przy mnie, czy też nademną.

Mówiono, że to biedna,
Obłąkana dziewczyna,
Po polu sama jedna
Żale swoje poczyna,

Lecz nie wiem, kto to taki?
Bo tak ciemno, jak w grobie...
Gdy ujrzę krwawe znaki,
To przypomnę ją sobie!

El...y.

X.

SMUTNO MI, BOŻE!

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową
Stoję rozkoszy prózen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkim morzu obłąkany
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom,
Alem jest człowiek, jako co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Juliusz Słowacki.

PTASZEK.

Miałam ptaszka z piękną klatką,
Dawałam mu codzień maku,
Byłam mu jak drugą matką,
Jedz mój ptaku, jedz mój ptaku.

Ale ptaszek nie chciał słuchać,
Jak przynieśli, od tej pory
Wciąż był chory, wciąż był chory.
Nie pomogło chuchać, dmuchać.

Raz zdyszana od pośpiechu,
Ledwie głowa od poduszki,
Lecę, patrzę, sztywne nóżki,
Ptaszek leży bez oddechu.

Skrzydełkami nie poruszy,
Co wyciągnął je po sobie,
Tylko troszkę wody w dzióbie,
Jakby łza z płaczącej duszy.

Darmo się z nim płacząc, noszę,
Jako matka własne dziecię,
Matki Boskiej próżno proszę,
Nie pomogło nic na świecie.

Umarł ptaszek w izbie mojej,
A mnie smutno wciąż po stracie,
Pusta klatka w kącie stoi,
Jakby domek po mym bracie.

Teofil Lenartowicz.

DĄB NAMOGILNY.

Dąb kościotrup, mszysty, głuchy
Rozmachuje tam konary;
Zażegnywa wróżbit stary,
Wycia groźnej zawieruchy.

Wkoło dębu kościotrupa,
Step zawodzi w dzikie świsty;
Od stóp niby płaszcz falisty,
Śmiga w górę liści kupa.

A zaś sen śni tajemniczy:
Duma dumki druh sędziwy?
Lat minionych bodaj dziwy?
Znoje — boje sławne liczy?

Wieszczy dębie, rówienniku,
Stójmyż krzepko wśród zamieci!
Śród nagabań, zmór stuleci —
Błogosławmy z mogilniku!

Inszeć — milsze czasy pomnę;
Gdym tu — przędząc mgłę cieniuchną.
W dłoni dłoń, z rusałką druchną —
Biegł w ramiona twe ogromne.

Zieleniłeś się ty cały,
Ptaszych gniazd kołysał krocie.
Gościł orły w tym namiocie,
Kiedy z bojów powracały.

W cieniu twoim, w oną wiosnę,
Piewca konnej ojców sławy,
Ku Dniestrowi — w słup kurzawy
Słałem: „Hura, hura!“ głośne.

W rozśpiewaniu serca miłém,
Wijąc wodzom co dzień wianek,
Ileż, ile dum, wiośnianek,
W cieniu twoim nie wyśniłem?

Z tobą zawżdy — wieczór — rano —
Jako prądki w latorośli,
Cieńmi my się obaj zrośli —
Dąb i piewcę „braćmi“ zwano.

Aż niebawem — oh! z nienacka
Zaszumiały gradobicia —
Wypłoszyła mnie z ukrycia
Dola — dola moja lacka.

Odtąd w świat. I dalej! dalej!
Mknijcie wody prądem rączym,
Nim brat z bratem się połączym!
Huczcie gromy! burzo szalej!

Dwaj rówieśni — dwaj rodzeni,
Nosim znaki od pioruna —
Pień bezlistny — gęśl bezstruna,
Prochem teraz świecim w rdzeni.

Dwaj rodzeni — dwaj rówieśni —
Zamieramy w chmur całunie;
Jeszcze jeden piorun runie,
I ni śladu nas — krom w pieśni!

Bohdan Zaleski.

ZAKOCHANA.

Wiatr szeleści po topoli,
Pomiata kaliną;
O! a serce — serce boli,
Łzy płyną, i płyną.

Młode latka w smutkach lecą,
A nadal rozpacze;
Wtedy tylko lżej mi nieco,
Gdy w kątku popłaczę.

Łzy niedoli mej nie zmogą,
Lecz służą za leki!
Kto miał jednę chwilkę błogą,
Ten biedny na wieki!

Czemu taka wątła, blada,
Chylam się na wiosnę!
Ja roślinka, mdła rosada,
Na wydmach tu rosnę!

Na około piasek suchy,
Ni rosy, ni słońca,
Nadal burze, zawieruchy,
Przygody bez końca.

Ludziom śmiechy, ludziom dziwy
Że szlocham daremnie;
Oh! a luby, czarnobrywy,
Daleko odemnie.

Ni do siebie mnie przygarnie,
Ni ja go przytulę:
Za Dunajem — tęskni marnie,
A kocha tak czule.

Ja kukułka, na obłędne
Zrywam się, oh! we śnie,
A w pustyni schnę i więdnę,
I konam boleśnie.

Bohdan Zaleski.

WSPOMNIENIE.

Nad brzegiem Pilicy jest gaik różany
A w nim słowik co rano śpiące budzi echo;
W chwilach mojej młodości, jak snem kołysany,
Na różach, piosnek jego słuchałem z uciechą!

Słodkiém tych miejsc wspomnieniem zawsze zmysły pieszczę,
I gdy drzewa rozkwitną z wracającą wiosną,
Myślę — czy w owym gaju słowik śpiewa jeszcze?
Czy jeszcze nad Pilicą wonne róże rosną?

Nie — róże już powiędły — ale w ową chwilę
Zerwałem kilka pączków, świeżą strojnych szatą
I dziś woń z nich zebrana przypomina mile
Wszystkie uciechy lata, choć minęło lato!

Tak pamięć, wprzód nim rozkaz rączym pierzchnie krokiem,
Zbiera wspomnienia, które żyją z lat ubiegiem,
Tak i przed moją duszą, jak wówczas przed wzrokiem
Błyszczy różany gaik nad Pilicy brzegiem!

Konstanty Gaszyński.

POD KRZYŻEM.

O krzyżu Pański, pamiątko przedroga
Po Bogu, straszne godło męki Boga!
Tulę cię krzyżu święty, w sercu mojém,
Rozkołysanym srodze niepokojem.

Krzyżu, puścizno po Bogu-człowieku,
Po Zbawicielu, tajemnico wieku
I wieków wszystkich i całej wieczności,
Azaż me serce godnie cię ugości?

Serce! lepianko moja nędzna z gliny,
Rozszerz się, rozbrzmiej pieśń dobrej nowiny,
Oczyść na gody i myśli i chęci,
Co wichrzą; bowiem Bóg się w tobie święci.

Ukrzyżowany Pan mój ze mną — we mnie,
Światłością ramion swych na łona ciemnie,
Na legowisko różnych zmor — miłośnie
Roztoczył tęczę, ku nowej snadź wiośnie.

Odnówże Panie! wraz i mego ducha!
Każ nawałnicy tam — każ a usłucha;

I cisza wielka w duszy wnet nastanie
I naokoło zamkną się otchłanie.

Bowiem myśl moja i uczucie moje
I długoletnie znoje, bóle, boje
I zachwycenie wieszcze, co mną miota,
To gra mej fali na wodach żywota.

I człowieczego odnów, Panie! ducha...
W duszach szaleje tam wciąż zawierucha
Na oceanie co dziwów okola,
Co nada wielki rozum, wielka wola?

Wszędzie bo rozstrzeń, bezbrzeże, bezdroże.
Ty jesteś, który jesteś!... Ty sam Boże!
Słońce wszech jestestw w krążeniu sfer chyżém
Przyciągasz serca naznaczone krzyżem.

Niechże, o! Panie! prawowiernej słudze,
Krzyż Twój steruje odtąd na żegludze!
W objęciu krzyża nie lękam się fali,
Ani nawałnic wszelkich... Krzyż ocali.

Bohdan Zaleski.

NĘDZA.

Duszo młodzieńcza, jeśli uczuć siła
Nad poziom życia unosić cię będzie;
Jeśli cię marzeń kraina zwabiła,
A myśl fantazyi złotą nitkę przędzie;

Gdy ci na świecie błogo i uroczo,
Zapał ciemne mgły doświadczeń rozpędza:
Pomnij że ciebie cierniska otoczą
Że od natchnienia silniejszą jest — nędza!

Gieniuszu biedny, w gorącym twym łonie
Spoczywa iskra boskiego natchnienia,
Dzisiejszość laurem uwieńcza twe skronie.
Wyzłaca głoski twojego imienia:
I przyszłe wieki podziwiać cię będą.
Lecz sława twoja to pajęcza przędza
Na dumném czole chmury trosk osiędą.
Bo i od sławy silniejszą jest — nędza!

Ołtarz natchnienia pokryje kir wrogi.
Gmach świetnych myśli skruszy się w zwaliska
Sławę twą rzucisz przechodniom pod nogi.
By od twojego stronili ogniska;
Głód w tobie z cnotą straszną walkę stoczy,
W pierś się twą wpije wszech występków jędza
A śmierć moralnie zajrzy w twoje oczy,
Bo i od cnoty silniejszą jest — nędza!

J. Laskarys.

PIEŚŃ WESELNA
DLA SIEROTY.

Sieroto biedna!
Tyś sama jedna,
A dzisiaj twoje wesele;
Wśród dużej chatki,
Ojca ni matki,
Zbór mały, krewnych nie wiele;

Na Ukrainę
Po mą rodzinę
Poślę kukułkę żałosną.
Poślę do nieba,
Że ojca trzeba,
Słowik wyśpiewa to głośno.

Lecz z Ukrainy
Niema rodziny,
I kukułka nie przybywa;
Słowik nie wrócił
Co w niebo nucił,
A ojciec tak się odzywa:
„Wstać cię pocieszyć,
„Z radą pospieszyć
„Chciałbym, o mała córeczko!
„Lecz mi mogiła
„Drzwi przywaliła,
„Zakryła i okieneczko“.

Romuald Zieńkiewicz.

POGRZEB NĘDZARZA.

Idźmy muzo! zajęczał głos dzwonka śmiertelny,
Niosą trupa łazarza na cmentarz kościelny,
Nie długa o nim powieść: wyszedł z kmiotków stanu,
Utracił pierwsze siły orząc ziemię panu,
Potém mienie bogaczy zasłaniał przed wrogiem,
Wrócił ranny i umarł z głodu pod ich progiem;
Patrz, jak skromny jest obchód żebraka pogrzebu;
Kapłan wiejski pobożnie wzniósł modły ku niebu,

Przy nim ubóstwo klęcząc wierne przodków wierze,
Za grzechy przyjaciela błaga Boga szczerze.
A tymczasem już drudzy kładą w dół głęboki,
Łachmanami okryte, nędzą wyschłe zwłoki;
Przysypali je ziemią, ogrzali westchnieniem,
Cichą łzą pokropili i poszli z milczeniem.
Ot i wszystko skończone — nie było nacisku,
Dział ryku, stuku karet, lamp tysiącznych błysku;
Milczą szumni poeci — milczą kaznodzieje,
Żadna piękność w atłasach głośnych łez nie leje,
Zamiast rzewnej muzyki — Bogu pozostałe,
Jęczą tylko przy grobie dwie sieroty małe.
„Chodźcie tu, miłe dziatki" woła pleban stary,
„Podzielę z wami chleb mój i naukę wiary",
Idą, wzrok obracając, gdzie ojca mogiła,
A tymczasem noc szare skrzydła rozpuściła.

Antoni Gorecki.

SZKODA!

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;

Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia;
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

El...y.

CIEŃ I ŚWIATŁO.

Zbladłeś kwiatku młody,
Jakby żyć ci nie miło?
Twe różowe jagody
Pewnie słońce spaliło?

— Oj, nie! bladą mam wiosnę,
Choć gdzieś lato gorące!
Bo w zacieniu tu rosnę,
Dotąd nie znam, co słońce. —

— Zbladłeś kwiatku mój młody,
Jakby żyć ci nie miło,
Pewnie na twe jagody
Słońce nie zaświeciło?

— O! wspominać boleśnie,
Jak mi słońce świeciło,
Bo świeciło zawcześnie,
I zawcześnie spaliło!

Kornel Ujejski.

W ZADUSZNY DZIEŃ.

(Wyjątek).

Wy, co z zastygłą piersią i usty zimnemi,
Klękacie dla zwyczaju na mogilnej ziemi,
Wy, co włóczycie senną istność swą po świecie,
Czy wy żyjecie?
Oh! mnie nad wami chwyta płacz nieutulony,
I modlić — bym się chciała, i kazać bić w dzwony,
I załamawszy ręce stać po was w żałobie,
Jak głaz na grobie!...
Gdzie duch wasz? w jaką miłość, w jakie ideały
Wcielił się ten najświętszy promień życia biały?
Gdzie cel jasny, podniosły i wysiłków godny,
Dla jutra płodny?
Gdzie ujście dla sił waszych? u jakiego zdroju
Rzeźwicie wasze czoła i usta wśród znoju?
Jakie hasło wam wrzawę powszednią przygłusza,
Gdzie wasza dusza?
Wy nosicie ją w piersiach; jak lampę zgaszoną,
W brudnych popiołów pełnej i spękanej urnie;
A kiedy już na wieki zastygnie wam łono,
Wy, wy — umrzecie powtórnie!

Marya Konopnicka.

OBRAZ CMENTARZA SIELSKIEGO.

Ze starych zgliszcz na cmentarz pójdź ze mną za sioło
Na wzgórzu wierzb się kilka rozbiegło w około,
Wał nizki, furtka z krzyżem, żółte i zielone,
Krzyżami, krzyżykami, kamieniem znaczone,
Ściskają się mogiły. A! inny świat nowy!
Nie bujać wam, grobowce, po górach i stepie,
Żal ziemi dla umarłych, głowa koło głowy,
Spać wam wszyscy przy sobie, czerep przy czerepie.

Wkrótce miejsca zabraknie, tak umarłym ciasno!
Dobrze to mieć mogiłę osobną i własną,
Ale pola tak mało, a ludu tak wiele!...
Szczędzi go dłoń grabarza, co to łoże ściele.

Witajcie mi mogiły braci pracowitej!
Raz w rok do was gromada z łzą przychodzi w gości,
Każdy szuka rodziny pod ziemią ukrytej,
I duchom niesie z jadłem, pieśń swojej żałości.

Siedli, płaczą, jak gdyby pracą wysuszone,
Łez znowu pogrzebowych wytrysnęło źródło,
Jęki matek, żon płacze lecą w duchów stronę;
Wszystko im mówią: jak się im wiedzie i wiodło,
Która im zdechła krówka, ile kop w stodole,
Spowiadają nadzieje swe, straty i bole,
Goście mogił z niememi prowadzą rozmowę,
I gorącą do ziemi przykładając głowę,
Niejedną łzą polali trawę co je kryje.
Lecz są biedne mogiły sierot za żywota,

Do których z wieścią usta nie przyjdą niczyje
I potraw im nie trawi serdeczna tęsknota.

W kącie cmentarza wklęsłe, chwastami obrosły
Ani krzyża poprawić, ni ich opleć komu,
Drzewa tylko z litości gałąź nad nie wzniosły —
I strzegą je od wichrów, ciesząc pokryjomu.

Czasem bydełko z pola zbłąka się nad groby,
Na co je spędzać? Któż wie? może panu miło,
Kiedy krówka zaryczy na znak swej żałoby,
Kiedy wolika kroki tętnią nad mogiłą.

Czasem na długo drogi zarosną cmentarne,
To znów w żółte mogiły pstrzy się rola święta,
Wiozą trumnę odkrytą zwolna woły czarne,
A w trumience dziewczyna młoda śpi zamknięta;
Rodzice jej sprawiają pogrzeb i wesele!
Są drużki, są ręczniki, korowaj i wianek.
Tylko muzyki nie ma, duszy nie ma w ciele,
Narzeczony jej cmentarz, a grób jej kochanek.

J. I. Kraszewski.

OSTATNIA PIEŚŃ.

Liro moja ty złota,
Coś służyła mi wiernie,
W tej pielgrzymce żywota,
Przez urwiska i ciernie!

Ej nie jedną, nie małą,
Radość rzewną a błogą —
Przez cię serce poznało,
Liro moja niebogo!

Ach! i troska też czarna,
I nie jedna z katuszy;
Z ciebie przyszła do duszy,
Liro moja niezdarna!

Bo duch jakiś złośliwy,
Strun twych zaklął połowę;
Głos wydarłszy im żywy,
Na milczenie grobowe!

Pomnisz, pomnisz, bywało,
Gdy natchnienia cud Boży,
Duszę wstrząśnie mi całą,
I pieśń świętą w niej złoży.

Ileż razy skwapliwa
Dłoń ma, bijąc w twe struny,
Nadaremnie się zrywa,
Byś te wszystkie pioruny

I orkanów tych szały,
Całą moją pieśń — burzę
Chorał straszny, wspaniały,
W swym odbrzmiała mi wtórze!

Aż mi mdleje, drży ręka,
Aż się z palców krew toczy,
Z bólu serce aż pęka —
I zalewa krwią oczy.

A ty nędzna, ty licha,
Albo milczysz jak drewno —
Albo szemrzesz mi z cicha,
Skargę łzawą i rzewną.

Lub jak piersi złamane,
Pod brzemieniem boleści,
Rozproszone, urwane
Ronisz głosy bez treści,

Liro! z tobą we dwoje,
Całąm schodził krainę;
A któż pieśni zna moje,
Kto zna serca głębinę?

Gdyby klątwy nie było!
Gdybyć wolna jak ptaszę,
Całą swoich strun siłą,
Mogła zagrzmieć pieśń nasze!

Gdybyś!... Maryo Święta!
Ześlijże mi anioła,
Co z mej liry te pęta,
Czar ten straszny zdjąć zdoła?!

Zeszlij, zeszlij litośna!
Niech pieśń moja nie ginie!
Niechaj pełna, rozgłośna,
Choć ostatni raz płynie!

Przed drużyną niech bratnią,
Głąb odsłoni mej duszy,
Niech choć raz ją poruszy,
Choćby była ostatnią!

A gdy marne prośb słowa,
Gdy w tej trosce, żałobie
Z klątwą, biedny niemowa,
Mam już w zimnym ledz grobie;

Niech choć głaz mój mogilny,
Z liry już wyzwolonej,
Wstrząśnie pełny dźwięk silny,
Pieśni długo tłumionej!

Liro moja ty biedna,
Srogie mąk mych narzędzie!
Niech pieśń taka choć jedna;
Choć pośmiertna niech będzie!

Adam Pług.

DWIE PIASTUNKI.

Od kolebki, tylko, tylko
Com przeczołgał kilka lat,
Już mnie rzuca jedną chwilką
Matka, idąc w inny świat.
I zostawia chłopię młode
Na wygodę, nie wygodę.

O już wonczas główka mała
Przędła wdzięcznych widem rój,
Co żądała, nie żądała,
To się pletło w senny zwój;
Zlatywała myśl nieboga
To od Boga, to do Boga.

Raz sennemu tak przypadło
Dwoje dziewic, białych róż,
Jak widziadło, nie widziadło,
Przy nagłówku stały tuż.
Jak do matki, ku nim kłonię,
Jednej dłonie, drugiej dłonie.

I spierały się dziewice,
Która dziecko niańczyć ma,
„Ja śmiejące dam mu lice,
Niechaj zbytek, szczęście zna.
I myśl jego się pobrata,
To ze światem, to ze świata“.

„Puszczaj siostro“, rzecze druga,
„Puszczaj rączkę, w malcu tym
Budzić rozkosz, nie posługa
Ni to jemu, ni to im.
Ja go wniańczę w ostre bole,
I w niedolę, i w niedolę“.

A mówiła taką twarzą,
Tak jej oczy zaszły łzą,
Tak cierpienia w niej się skarżą,
Że mi ku niej piersi drżą.
Żem się rzucił cały pono
Na jej łono i w jej łono.

W on czas zdala znikła, znikła
Druga postać w jasném tle,
A mnie smętność tak nie zwykła
To do główki, to w pierś ssie.
Bo zostałem z własnej woli
Dzieckiem doli i niedoli.

Odtąd niańka, zazdrośnica,
Zaszczepiała dzień i noc
Boleść w serce, smutek w lica,
Słabość ciała w męzką moc,
Urabiała, Bóg wie, na co,
To ladaco na ladaco.

Czasem, czasem z za obłoku
Zapromieni drugiej twarz,
To ja lecę, lecz w wyskoku,
Już, już tęsknię, Boże skarz
Za tą pierwszą zapłakaną,
Tak mi znaną i nie znaną.

Lecz cóż robić, mówcie sami!
Kiedy tak mi lubo z łzami,
Kiedy serce, jak koń w cwale,
Rzuca pianą w cierpień szale.
I z swą raną tak swawoli,
Że nie boli to, co boli.

Lecz cóż robić? kiedy żale,
Co się skąpią w zdroju łez,
To tak wonią okazale,
Jak lilija, róża, bez,
I siostrą ci są i bratem,
I są kwiatem i nie kwiatem.

Darmo, darmo siły krzepię,
Darmo szarpię, widzi Bóg,
Już mej dłoni nie odczepię
Od jej szyi, od jej nóg.
Bo w mej drodze jest sąsiadką,
W życiu matką i nie matką.

Raz wyrwałem się niebodze,
Oh! byłto weselny dzień,
Bębny biły mi po drodze,
W pośród huku, w pośród grzmień,
Zdało mi się... tylko zdało,
Bo się rwało i urwało.

I straciłem raz na zawsze
Do mej chatki rodnej szlak,
Na rozstajne, na najkrwawsze
Drogi wbiegłem, jak ten ptak,
Co go w klatkę pchną sokoły,
Niby wesół, nie wesoły.

Ach! raz znowum na domowym
Progu zdybał szczęścia zdrój,
Usty, sercem niejałowem
Usłyszałem: twoja, mój;
I uciekłem w krąg zamęzcia
Przed nieszczęściem, do nieszczęścia,

I wypchnąłem mą piastunkę
Za dziesiąte siódme drzwi,
I oddałem jej skarbonkę,
Pełną łez i pełną krwi.
I rzekłem jej: to ostatnie
Łzy me bratnie i nie bratnie.

Gdzie tam!... przyszła do podwoi,
Do znajomych sobie wrot.
Tuż przy łożu żony stoi,
I roztacza chorób splot.
A szczęście mnie pożegnało
Trumieneczką jedną — małą.

Ha! cóż robić, piastuj sobie
Ulubieńca, piastuj wciąż,
To w żałobie, to w chorobie,
Mocnem pętem k' sobie wiąż.
Ej, strzeż! bo ci się wyślizne
Z tej mielizny, w głąb, w mieliznę.

Dominik Magnuszewski.

Z PO ZA MOGIŁY.

Kiedym umierał, anioł śmierci blady,
Schylił się nad moje łoże:
„Chcesz żyć?“ rzekł, widząc w oczach mych łez ślady,
„Powiedz, a stać się to może“.

„Mieć będziesz wszystko czegoś nie miał wcale,
Czego ci było za mało,
Za czém goniłeś w niestrudzonym szale;
I co ci wciąż uciekało“.

„Tę, którąś kochał — duszy twej wybraną,
Tę, której pragnąłeś — sławę;
Zbudzisz się niby, jakbyś w letnie rano
Pożegnał sny twoje łzawe“.

„Gdzie były ciernie, kwieciem wiosny świeżej,
Dłoń luba szlak ci uściele;
Toć się i tobie także coś należy“.
— „Słuchaj mnie blady aniele;

„A tam, co będzie? dokąd mnie Pan woła?“
— „Cień, zapomnienie i cisza“;
— „To stróżu blady, nie zwlekając zgoła,
Tam twego wiedź towarzysza“.

Felicyan Faleński.

XI.

TŁOMACZENIE

MARSZU POGRZEBOWEGO SZOPENA.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną o dwa kroki czarny wóz się toczy —
Jak mi ciemno! ten wóz czarny zciemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu — krzyż jaśnieje, migają pochodnie,
A prowadzą mnie pod ręce — idę tak wygodnie,
Same prawie się podnoszą zadrętwiałe nogi —
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą — nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony — krzywe ostre szpony
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach a po twarzy coś zimnego cieknie —
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa,
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóz ciągną cztery konie okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mię za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu — w tej trumnie! w tej trumnie!...

Na atłasie, piękna, cicha.
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiecha —
Oh! ty już nie śnisz!

Oh! nie czujesz ty już woni
Z wieńca białych róż —
Całowaniem twojej skroni
Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą,
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Była słodka i anielska,
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Geniuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebieskich wrót.

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na świat,
I jam kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja pocznę tu?!

Gdzież zawiodło mię na końcu,
Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szedłem w słońcu!
Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
Co ja pocznę tu?!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą — ha! ha! to pociesznie,
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście —
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo — precz z drogi ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi —
Mego bólu żadna z waszych piersi nie pomieści;
I pierzchnęli — a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru, podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny — do mojego tronu!
Ty grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?

O zakop mnie, a głęboko — tak mi źle na świecie!
Ciężej niźli twoja ziemia, powietrze mię gniecie...
Precz z kropidłem! i święcona woda ją poplami —
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokropię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka
Dotknęła mię! a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mię i ponieśli — gdzie oni mnie niosą?

Kornel Ujejski.

KANDYOTKA.

Dymią zwaliska, gruzy się jeżą,
W wąwozie trupy skrwawione leżą,
Górą się kruki ważą i kraczą,
Po co tu idziesz dziewczyno blada?
Tu echa same jęczą już: „biada!"
Głazy kroplami krwi płaczą!...

Stój! gdy krok jeden postąpisz dalej
Serce się w tobie na żuzel spali,
Zgaśnie na światło źrenica:
Tu trzech twych braci, trzy nagie trupy,
Kiedy konali Turek zdarł łupy,
Potém im naplwał na lica.

A tam — tam dalej twój ukochany:
Krew mu z serdecznej ubiegła rany,
Uszła strumieniem gorącym;
Oczy się jeszcze patrzą otwarte,
Widać że młode życie uparte,
Ciężko się żegna ze słońcem.

Zadrżałaś... stąpasz nogi bosemi
Po ubroczonej świeżą krwią ziemi,
Biała w twej białej koszuli.
Pod twą powieką znać już łez nie ma,
Gdy się suchemi patrzysz oczyma
W tę twarz, rozdartą od kuli.

Poznałaś? prawda... to twój najstarszy
W powadze niby dumy monarszej
Legnął na twardej opoce:
Zdjęli zeń kaftan, pas drogi wzięli,
Lecz szabli krzywej tknąć się nie śmieli,
I obok trupa migoce.

A na ten długich chwil posterunek
Blada Greczynko ty pocałunek
Na zimne kładniesz mu czoło.
Lecz patrz: tam oto, to brat twój drugi
Za nim po ziemi czarnej krwi strugi,
I ciała Turków wokoło.

Drogo, o drogo przedał im życie,
Bo za nim matki najmilsze dziecie.
Za nim stał jego brat luby.
On go chciał własną piersią zasłonić,
Cudem rozpaczy chciał go obronić
Chciał go ocalić od zguby.

Razem też teraz leżą przy sobie,
Tak jak ich w jednym schowają grobie,
W święconej pogrzebią ziemi;
Tylko już nie ty, dziewko nieboże
To twarde zimne, ostatnie łoże,
Dłońmi zaścielesz drżącemi.

Ani już ztamtąd zbudzisz ich rano,
Na głos niedzielnych dzwonów nie wstaną
W chacie na ławach nie siędą.
Nigdy... czy słyszysz?.... nigdy dziewczyno...
Nawet weselną twoją godziną,
Drużbami twemi nie będą...

Bo i wesele już też odbyte,
Gdzieś zostawiłaś godową świtę,
Nie wzięłaś ze sobą swatów;
Sama do twego idziesz młodziana,
Świekra ci jutro zapomni z rana
Postawić kosza granatów.

Idziesz — on cichy łagodnie czeka,
Tylko przyleciał wietrzyk z daleka
I włos mu plącze swém tchnieniem.
Włos miękki, długi, w tył odrzucony,
Co z pod frygijskiej czapki czerwonej
Kruczym się zwijał pierścieniem.

Jak cień leciuchny idziesz Kandyotko,
Lecz jakąż cichą odezwą słodką
Przebudzisz tego co drzemie?
Jakiemi będziesz wołać nań słowy
Tej zwisającej tej ciężkiej głowy
Nad mokrą dźwigając ziemię? —

Lecz gdy on niemy nic nie odpowie,
Gdy tylko wilki zaczną w parowie
Wyć, wietrząc zapach krwi świeżej,
A kula słońca gasnąc czerwona,
Zapadnie w morze i światło skona
Nad tym co cicho tak leży? —

Cóż gdy i ciebie noc schylać zacznie
Gdy palce, co się kurczą rozpacznie,
Utopisz w czarnych twych włosach,
I odtrąciwszy trupa od łona
Nad ciszą śmierci krzykniesz szalona,
Czy Bóg jest jeszcze w niebiosach?! —

Ten wielki, mocny, Ten wszechwidomy,
Który ma błyski, który ma gromy
I tron na chmurach usłany!
Czy jest? Przez nieba swego lazury,
Czy patrzy teraz? czy widzi z góry
Kandyockich wąwozów ściany? —

Co będzie wtedy? Co nieszczęśliwa? —
Albo jak struna, która się zrywa,
Serce ci pęknie z boleści.
I jutro rano do tego dołu
Gdzie tylu innych pójdzie pospołu
Jeden trup więcej się zmieści.

Albo z warkoczem tym potarganym
Pójdziesz pobudzisz ludzi przed ranem
Krzycząc, niech bije dzwon z wieży,
Bo Bóg nie może dosłyszyć ciebie,
I nie zobaczy — schowany w niebie —
W ostatniej Sfakiotów leży!...

Ale ty cicha klękasz dziewczyno,
Ino coś bledsza stałaś się, ino
Coś bielsze coraz masz lica,
Czy ty jak Niobe głazem się staniesz
Na krwawym polu śmierci zostaniesz
Biała umarłych strażnica? —

Nie — ty za zmarłych zmówisz pacierze:
Całe Ojcze nasz i całe Wierzę
I wstaniesz, wrócisz do chaty.
Będziesz żyć, chodzić i mówić będziesz,
Będziesz chleb piekła, za krosna siędziesz,
Tkać miękką wełnę na szaty.

Tylko ty zbladła w tej nocy cieniach
Już przy żadnego ranku promieniach
W blask się nie spłonisz różowy.
Lic twych jagody już nie skraśnieją
Żadną miłością, żadną nadzieją
Krew nie uderzy do głowy...

Zawsze już jedna z tą twarzą białą
Będziesz patrzyła że słońce wstało
Że noc opuszcza zasłony.
Że zimy, lata idą koleją,
Że ludzie ziemię orzą i sieją,
A potem żeńce żną plony.

I w każde święto, w każdą niedzielę,
Na odpust, chrzciny albo wesele
Pójdziesz w dom Boży z innemi:
Pójdziesz, przystaniesz cicho u proga
I biała maro będziesz w twarz Boga
Patrzyć oczyma suchemi.

Marya Ilnicka.

IGRZYSKA RZYMSKIE.

Już w wielkim cyrku pyszne siedzenia,
Zajmuje senat wspaniały,
A za nim szlachta, za nią lud cały,
Rzuca ciekawe spojrzenia.
A ten ruchomy, barwisty wianek,
Górą rozkwita w żyjące róże,
Bo w białe czoła, bo w oczy duże,
Bo w śliczne kształty cudnych Rzymianek.

W pośrodku cyrku nikczemna rzesza,
Dzikich szermierzy bić się pospiesza,
Na suche razy, na ostre miecze,
Albo się tłucze, albo się siecze,
Bez myśli w oku, bez ducha w łonie.
Wprawne jedynie migają dłonie,
I na brzęk złota lub rozkaz pana,
Gladiator walczy, zabija, ginie —
Przeraża wstrętem okropna rana,
Ale współczucia łza nie popłynie,
Bo dusze ludzkie dla podłych twarde,
Dają im jedno uczucie — wzgardę.

Lecz już ta tłuszcza skończyła boje,
Nagle otwarto szranek podwoje,
I wyszedł Scyta, wolno, z powagą,
Otrząsnął włosy, pojrzał w około,
Potém zachmurzył wspaniale czoło —
I wzniósł westchnieniem swoje pierś nagą,
I już nie patrzał jak senat świeci,
Jak się kształt niewiast uroczo kryśli,

Bo jemu wtedy stanęły w myśli
Rodzinne strony, żona i dzieci,
I dawna wolność; i wnet rumieniec,
Rumieniec dumy twarz mu osłonił,
On, który Rzymian zwycięzko gonił,
Dziś ma ich bawić, jak nędzny jeniec.

A z drugiej strony wybiegł lew dziki —
Monarcha puszczy, postrach Afryki,
I wielką głowę spuścił ku ziemi,
Wstrząsnął swą grzywą i sierść najeżył,
Potém ogonem w boki uderzył,
Ryknął i nagle skoki szybkiemi
Rzucił się na łup; a Scyta w chwili,
Dobył oszczepu, co go nie myli,
I zaczął walkę.

Lud patrzy, słucha,
Daje oklaski, zachęca, woła,
Umilknij ludu! twoja potucha
Zapalić sroższej walki niezdoła.
Ty, gdy szermierze biją się z sobą,
Draźnisz ich póty, aż krew popłynie —
Potém się śmiejąc, gdy który ginie,
Z szczęśliwym każdą łączysz się dobą.
O gdyby pojął twoje okrzyki,
I Scyta dziki, i lew ów dziki,
Gdyby pojęli, że lud kształcony
Chwali, zapala dźwięcznemi tony,
By obojętnie spoglądał potém,
Gdy który walcząc, legnie z łoskotem;
O pewno! Scyta i lewby razem
Stanęli wryci przed tym obrazem;
Dziczyby pewno z dziwem pytali;
Cóż jest dzikszego nad lud kształcony?

Ale lew nagle wyciągnął szpony,
Bo widzi połysk śmiertelnej stali,
Bo głód go szarpie, i straszną mocą,
Skręca wnętrzności, zwija je kołem;
I Scycie gniewem oczy migocą,
I wściekłość błyszczy nad jego czołem,
Bo Scyta walczy, bo idzie Scycie
O drogie żonie i dzieciom życie.
Aż nagle oszczep krwią się zrumienił,
A lew zaryczał i padł u nogi;
Na chwilę Scyty lica ocienił
Geniusz tryumfu i uśmiech błogi
Przebiegł na ustach. Ale twarz blada,
Nogi się chwieją, westchnienie ginie,
Ręka kostnieje, krew z rany płynie,
I mąż bez ducha upada.

A lud Edyla oklaskiem sławił,
Że go igrzyskiem takiém zabawił.
Dziś świat jest Rzymem, a gladiatorzy,
Są to poeci, których duch mały;
Każdy z nich pieśni nuci i tworzy;
Jeden dla złota, drugi dla chwały,
Inny dla panów. Ich serca twarde,
Gdy chcą rozczulić i w podziw wprawić —
Wprzód nim zdołają źrenice łzawić,
Obudzą słuszny uśmiech i wzgardę.

Lecz lud stępiały, w pogardy szaty,
Ubiera wszystkie poezyi kwiaty;
I chociaż Scyta, ów duch natchniony
Rozpłonie czasem, i z więzów świata,
Do złotych marzeń myślą ulata,
Niby do swoich dzieci i żony;
I choć z naturą i sztuką społem,
Jak z lwem, odważnem zetrze się czołem,

I choć w tym śmiałym, koniecznym boju,
Zwycięzki, do swej muzyki stroju,
Weźmie naturę ze sztuką razem,
Przecież gdy czucia nikt nie podzieli,
Geniusz tryumfu zwycięztw obrazem;
Na chwilę lica mu rozweseli;
A potém — potém pierś ma twardnieje,
W srogich zapasach traci nadzieję,
Wzgarda mu resztę siły wydziera —
I wieszcz natchniony umiera,
A lud po zgonie aż tak go sławił:
„On pisał wiersze, i nas zabawił".

Antoni Czajkowski.

ŚMIECH.

Myśmy wszystko stracili wśród niewiary grzechu.
Do owego głośnego, serdecznego śmiechu,
Od którego twarz szczerą wesołością błyska,
Co policzki rozdyma, z oczu łzy wyciska,
I taki jowijalny, a bez żółci przecie,
Że się człowiek śmiejący, wydawał jak dziecię.

O, śmiech ten nie był milczkiem pełznącą gadziną,
Ale lał się strumieniem, jako stare wino!
Lecz dzisiaj, o ty śmiechu ubiegłego czasu,
Coś jak wino wytrawne nie miał w sobie kwasu:
Ty nasz wesoły kumie, ty drużbo serdeczny,
Już z nami stary śmiechu wziąłeś rozbrat wieczny!

A uśmiech nasz dzisiejszy smutny i nieszczery,
Cichy i nudny jako marjasz bez kozery,

Cierpko potrząsa głową i przygryza wargi,
Które jakby gorączka przepaliły skargi.

Dziś tu cynizm, bezczelność, i jako polipy,
Tak gęsto się wijące, szarpiące dowcipy,
I tyle wszędzie żółci, coby gryzła wściekle
Że w krąg słychać zgrzytania jakby na dnie w piekle.

O śmiechu! zanim do nas wróciłeś ponury,
Wprzód cię okrutna dola wypędziła w góry,
I nieraz cię słyszano w pośród armat huku,
Wśród palących się grodów i barykad z bruku,
Przy ogniu karabinów, przy bębna odgłosie,
I na długiem tułactwie o straszliwym losie, —
A gdy się krwią niewinnych miecz kata rumienił
Tyś się w dwuznacznik śmiechu i rozpaczy mienił.

Odkąd śmiech małpi skrzywił policzki Woltera,
Którym on żegnał ziemię w chwili gdy umiera;
Odtąd w Paryżu skonał ów głośny śmiech stary,
Co miał swoje korzenie, miał swoje konary,
Jak wszystko to, co żyło w czasach silnej wiary.
A w miejsce jego nastał ów uśmiech jałowy,
Jak szkoły d'Alemberta i serca i głowy;
Odtąd Paryż się próżno wśród wstrząśnień szamoce,
Bo niewiara nie stwarza, lecz tylko druzgoce...

O biada talentowi, co pełen zapału,
Chce, jak orzeł, ulecieć w kraje ideału!
Głupi uśmiech go śrótem szyderstwa postrzeli,
I ptak ten, co już słuchał niebieskiej kapeli,
Co już swém okiem niebios zaczerpnął ułudy,
Musi z pod wrót niebieskich upaść w ziemskie brudy,
Nim go ztamtąd bez skrzydeł, tracącego pierze,
Piołunna ręka śmierci przed czasem zabierze.

Antoni Czajkowski.

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! Zkąd ta noc i słota!
Była jutrznia i cisza gdym był bliski brzegu,
Dziś jakie fale, jaki wicher miota!
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu,
A więc porzucić korab żywota?

Szczęśliwy czyjej przewodniczą łodzi
Cnota i piękność, niebieskie siostrzyce,
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi,
Ta puhar daje, ta odsłania lice,
Tamtej widok oświeca, a tej nektar słodzi.

Szczęśliwy, samej kto ślubował cnocie!
Dopłynie kędy sławy góruje opoka.
Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie:
Ale jeżeli piękność nie zwróci nań oka,
Dopłynie we krwi i w pocie...

A komu piękność pokaże oblicze,
Potém wśród drogi zdradliwa odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze:
Ah jakaż później czczość w obszarach świata?
Już nie dość krzepią i cnoty słodycze...

Zamiast piękności niebieskiego wschodu
Walczyć z ustawną burzą, jęczyć pośród cienia;
Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
Zamiast jej rączek, chwytać za ręce z kamienia
I długo wśród takiego nie ustać zawodu?

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani...
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?
Czyli kto raz wrzucony do tylu otchłani,
Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie: tak na mnie świat woła...
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona krąży po niezmiernej głębi
Póki czas wieczne toczyć będzie koła?

Któż krzyknął z lądu? Jakie słychać żale?
Wyż to o bracia moi? Przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale;
I tak się oko wasze znudzenia nie boi
Że aż dotąd patrzycie na mnie i na fale?...

Jeśli się rzucę kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga,
Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
Nie słychać zdala wichru, co tu liny targa,
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska!

I razem ze mną, pod strzałami gromu,
Co czuje, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...
— Ja płynę dalej — wy idźcie do domu.

Adam Mickiewicz.

HYMN BOLEŚCI.

Boleści! witam ciebie, zstępująca z nieba,
Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni,
Posłanko Boża, dłoń twa z powszedniego chleba
Pokarm duszy wyciska, chleb niebieski czyni.
Sercom wielkim tyś matką, — mleka twego trzeba,
By wyrósł niém pojony wielki mąż wśród gminu,
Wieszcz do chwały, bohater do wieńców wawrzynu.

Idziesz królową — siedm koron na twej skroni,
W jednej rózgę, a palmę w drugiej niosąc dłoni.
Na tobie szaty z ognia, czerni i purpury,
Za tobą idzie orszak służebnic ponury;
Z pod nóg, kędy się stopy dotkniesz kamiennemi,
Strumień krwi i łez strumień wytryska na ziemi;
Wichry cię poprzedzają, śmierć dogania blada,
Nad głową chmury sępów, kruków czarnych stada,
A gdzie płaszcz twój przesunie po kwiecistym łanie,
Cmentarz, pustkowie tylko, jęk i narzekanie.

Z tobą wojsko sług twoich, tłumy nieprzebrane,
Obelgi i potwarze z sakwy kłamstw pełnemi,
Smutek czarny, trud czoło potem niesie zlane,
Rozpacz się i zwątpienie tarzają po ziemi,
Ucisk, co sznury dźwiga na ramionach twarde,
Pośmiewisko za rękę wiodące pogardę.

Jak przed burzą ucieka zlękła ptaków rzesza,
Wszystko przed tobą pierzcha, rozbija się, miesza;
Chór jęków cię poprzedza, hymn żałoby goni,
Nic przed tobą nie skryje i nikt nie zasłoni,

Nie rozbroi pokora, pycha nie zwycięży
Od Boga danej siły i Boskich oręży.
Tłumy pierzchają trwożne, lecz zapaśnik stoi,
Pierś nastawił bezbronną, choć ją płomień pali;
Co męczeństwo rozedrze, to wytrwanie goi,
Bo ciało ma żelazne i duszę ze stali;
Wzniósł czoło, które potem krwawym się oblało,
Upadł — męztwa starczyło, lecz już mąk nie stało.

Taką światy nawiedza w zesłania godzinie,
Taką w spokoju nagle na człowieka spada,
Wśród ciszy nocnej ojca porywa rodzinie,
Dotknie — i w stypę gwarna zmienia się biesiada,
A nikt nie wie, gdy przyjdzie, nie wie kiedy minie,
Jak Damoklesa oręż zwieszona nad głową,
Truje wiosny poranek, spoczynek starości,
Błogo sercom — nim szatę przywdziały godową,
Już zimny całun okrył garstkę białych kości,
I wieniec róż przekwitnął w koronę cierniową.

W powietrzu nią oddychasz; nią cię poją wody,
Rośniesz w niej, radość każda z jej kroplą się miesza,
Obok ciebie zasiada na żywota gody,
W ślad cię goniąc, do grobu za tobą pospiesza,
Niema dla niej spoczynku, przeciw niej zagrody.

Biada temu, kto w szczęściu usypia spokojny,
Kto zaufał swej gwieździe i nie czuwa z trwogą:
Puhar wesela wyschły, kielich cierpień hojny,
Długie są dnie pokuty, a krótkie, gdy błogo;
Szermierzu! na strażnicy trwaj w odwagę zbrojny.

J. I. Kraszewski

SYN BÓLU.

Temu od skroni wiatr włosy odegnał,
Gwiazdy ku niemu migały wesoło,
On stał na wietrze — a blade miał czoło,
I takiém okiem potaczał w około,
Jakby konając, świat żegnał.

I z białą twarzą, jak posąg nagrobny,
On patrzał w niebo — a z bólu omdlewał,
A kiedy nocny chłód, co w nim powiewał,
Strzeźwił mu zmysły — on gwiazdom zaśpiewał,
A głos miał drżący, żałobny:

„I nigdyż ciszy nie znajdę dla serca,
Jak Arab w puszczy ku widmu ogrodu,
Stąpam pragnący w ramiona zawodu,
I tracąc wiarę, czyż mam już za młodu
Urągać jako bluźnierca?

Czego się dotknę, w ręku mi się kruszy,
Ciemnieje droga, kędy stopy zwrócę,
Blednieje gwiazda, gdy na nią wzrok rzucę,
Zmarłym nadziejom pieśń pogrzebu nucę
I nową nadzieją w mej duszy.

I czuję niechęć ku dniowi białemu,
W ciemnej ustroni samotny usiadam
I ztamtąd z jednym tylko Bogiem gadam:
Lżej mi, gdy duszę przed nim wyspowiadam,
A jednak smutno samemu!

I znowu sercu ciąży jakieś brzemię —
Rwę się do świata, samotność mię nudzi.
„Tyś śpiewak ludu, więc idź między ludzi,
„O biedny ptaku! jeśli lot cię trudzi,
„Zlatuj z błękitu na ziemię!“

To ziemia! ziemia — jaki gwar w tym wirze,
A gwar niesforny, a wir ciemny, mętny,
Rzucam się w niego miłością namiętny —
Obco w nim jakoś i chłodno: — i smętny
Opieram głowę na lirze.

Śpiewać im będę — mam ja pieśni z nieba,
Słuchaj mię ludu, słuchaj! — gdzież jest rzesza?
Ona wesoło do cyrku pospiesza,
Tam, gdzie ją skoczek najemny rozśmiesza;
Jej smutnej pieśni nie trzeba!

Więc jako pielgrzym, gdy między skałami
Zbłąkany spyta o drogę — i słucha,
A głos mu nazad powraca do ucha,
Nikt go nie słyszał! — i znów cisza głucha —
Jak on, zalałem się łzami.

Kilku zostało — na moją pieśń czeka —
Śpiewam! — o! jak się im źrenice palą,
I płaczą ze mną, wraz ze mną się żalą; —
Odeszli — jutro pieśniarza pochwalą,
Ale potępią człowieka.

Bo śpiewak, jeśli chce ujść od potwarzy
Niechaj przed ludźmi stoi niewidomie,
A pieśń niech swoją zwiastuje im w gromie,
Niech ją jak morze rozleje w ogromie,
Niech ją jak wulkan rozżarzy.

I niechaj będzie, jako Bóg na niebie
Świętą tajnicą zakryty dla świata,
Bo człowiek nawet i Bogiem pomiata,
Jeśli w tym Bogu ujrzy swego brata
I podobnego do siebie.

A więc uciekam przed zawiścią braci,
I znów mię cisza grobowa oblega,
Gdy w serc tysiącu mój głos się rozlega,
Nie mam nikogo! — li po ścianach biega
Cień mojej własnej postaci.

Serce, którego uczuciem gorącém
Ludzkość jak swoją własnością frymarczy,
Nie może spocząć, gdy ból go obarczy,
Niby gladiator skrwawiony na tarczy,
Na drugiém sercu bijącém.

I wiecznie tęsknie za jakąś istotą,
Coby mą głowę do piersi stuliła.
I jako miękki powój się owiła
O moją duszę — i równą mi była
Sercem, natchnieniem i cnotą.

A jeśli wieniec cierniowy mi splotą,
A ból do grobu zepchnie mię przedwcześnie,
To żeby ona, złamana boleśnie,
Przy mojej urnie — świeciła mi we śnie
Jak anioł z koroną złotą.

Nieraz się rzucam zaślepiony w wierze,
Gdzie mię zawabi blask jasnego czoła,
Gdzie mię głos srebrny do siebie przywoła,
Zaczynam kochać — i zamiast anioła
Znajduję potém pół-zwierzę!

A jeśli kiedy szczęśliwym trafunkiem
Znajdę na świecie bliźnią duszę taką:
Którą Bóg z moją, tą samą oznaką
Związał i natchnął ją myślą jednaką,
Świat je rozdzieli rachunkiem.

I wagą złota każdą duszę zważą
I pójdą w targi — kto da więcej za nią,
Każdą z osobna rozedrą, poranią,
I jak kwiat słaby skryją szklanną banią,
A potém zapomnąć każą.

O straszno patrzyć w dalszą drogę ciemną.
Codziennie oczy do światła otwierać,
By niemi tylko w noc czarną pozierać,
Cierpieć za życia, a w końcu umierać,
By nikt nie płakał nademną.

A wszak do szczęścia równe miałem prawo
Razem z drugiemi; — za cóż mię Bóg karze?
Może w tej chwili, kiedy ja się skarżę,
On srogi wyrok zmienia dla mnie... marzę...
Ta gwiazda świeci tak mgławo...

Chcę się w nią wpatrzyć — niechaj oko wieszcze
Jasnym promieniem ciągle na nią leci,
Jeśli ta blada gwiazda się rozniecci
I nagłym blaskiem na niebie zaświeci —
To będę szczęśliwym jeszcze".

I patrzał w gwiazdę — czekał od niej hasła,
I patrzał długo nieruchomém okiem,
I drżał jak listek pod uczuć natłokiem,
I padł na ziemię, a gwiazda pomrokiem
Mgliła się, mgliła — i zgasła.

Kornel Ujejski.

ZAŚLUBINY.

Siadło dziewczę smutne na posłanie.
Rozczesane w koszulence białej,
Założyło rączki na kolanie
I dumało, a drużki śpiewały
Na dobranoc pod oknem jej chaty.

— „Ej, przyjadą jutro szumne swaty,
I ruciany zdejmą wianek z głowy,
I rozplotą twój warkoczyk płowy,
Już ty więcej nie nasza Zosieńko“.

Poszły drużki — puknął ktoś w okienko.
Ona wyszła — łzy fartuszkiem ściera
I na Stacha żałośnie spoziera.
I szeptała dolaż moja, dola,
Już ja jutro żona — a nie twoja.

Stach nie mówił nic, jeno ponury
Wpatrywał się w smutne liczko Zosi,
Wziął za rękę — chodź ty ze mną, prosi
Odprowadź mnie, chociaż do figury!

Nocka letnia — księżyc jaśniał w blasku
Oni poszli i zniknęli w lasku.

Wyszła matka z chaty, woła Doni —
Doni — niema — echo wicher goni —
Matkę strach zdjął i paciorki gada
I pobiegła ku krzyżowi blada —

A na krzyżu — Jezu mój kochany!
Kołysał się wianeczek ruciany —
Zosi wianek — ręce załamała
I znów dalej w ciemny las leciała.

Na zielonej trawce Zosia leży,
Krwi korale płyną po odzieży,
Nad nią stoi Stach i topór trzyma
W bladą Zosię błędnemi oczyma
Patrzy dziko i śpiewa piosenkę:
„Ej, pojąłem za żonę Zosienkę“.

Michał Bałucki.

ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drucianém więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknięto słowika;
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta
Że pierś mu przenika.
Och! nie masz tu cienia w olszynce, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Och! nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Och! nie masz tu lubej, dla którejby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.
Tu zamiast wietrzyka, o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany,
Tu kurzem osypie jadący karocą
Pan w złoto przybrany.

Tu zamiast strumienia, tłum płynąc jak woda,
I tętni i wrzeszczy;
Gdzie tutaj zacisze, gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczy?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi,
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.
Poczyna piosenkę, w tony się rozpada,
Wygłasza swe żądze;
Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna.
Wóz tętni po bruku, o ja go przekrzyczę!
Tak myśli ptaszyna.
I nutą wciąż wyżej, a wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.
Przypomniał swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną!
Przypomniał serdeczne, długie rozhowory
Ze swoją jedyną.
Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannej lał trele.
I głosem królując nad ptastwa tysiącem,
Był zawsze na czele.
„Przebaczę, prześpiewam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!
Do wyższej, do wyższej nastroję się wiary!“
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziej, o bardziej łoskotów grzmią krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekór, w ulicznej ciasnocie
I ludniej i ludniej.

Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza.
Pochwała tém bardziej pierś jego rozdyma
I zapał rozżarza.
Niebaczny! twój tryumf opłacasz zbyt drogo,
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogą
Ich oczy matowe.
Słuchaczów co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;
Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy,
Kto w dłonie zaklaśnie.
Już ból wysilenia, rwie piersi ptaszęce;
Skrzydełka omdlały...
On tego nie czuje, bo w swojej piosence,
Utopił się cały.
Całego słowika ogarnął szał pieśni,
Aż echem drga klatka;
Tém śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,
Z sił swoich ostatka.
A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie, on sobie.
Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy
W ostatniej swej próbie.
Daremnie w swe drobne skrzydełka szeleszcze,
Chwieje się i słania,
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.
I ten co pieśniami górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły;
A koła po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły.

Władysław Syrokomla.

CUPIO DISSOLVI.

Na co mi Panie ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała?
Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie
I zatrzymuje na ziemskim świecie.
Ja jestem duchem... duchem, nic więcej...
Po co mam chodzić w szacie zwierzęcej?
Moje radości, moje katusze,
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,
A nieśmiertelnych myśli osnowa
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mię stworzył wolną istotą
Między występkiem, a między cnotą,
Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba,
Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?
Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,
Czyż tylko ciało braterstwo splata?
Czyż tortur ducha nie masz w Twém ręku?
Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?

Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż choć cień myśli mej wytłumaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy z nich słaby.
Każdy kłamliwy w swojej osnowie,
Żaden mi ścisłej prawdy nie powie;
W uchu i w oku, w smaku i woni,
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczej,
By doskonalej pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciała i kości,
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
Ziemska namiętność swe prawa bierze;
Wysokie żądze giną bezpłodne,
W zamian rozkoszy, co mnie nie godne,
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka.
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca, co było Boże.
Tak... nawet miłość — uczuć królowa,
Tutaj świętości swej nie dochowa.

A zawsze bólem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże,
Ale już dusza nie będzie młoda,
Już jej przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata,
Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

Władysław Syrokomla.

DZIEWCZYNA NA CMENTARZU.

Nieznajomy.

Dziewczyno, nie chodź tędy o północnej dobie,
Co tobie jest do nocy? Do grobów co tobie?
W jednych wieczność z milczeniem, w drugich ciemność
[głucha,
Nie dla twego to oka — nie dla twego ucha.
Jesteś młoda i piękna — więc pewno wesoła,
Tutaj smutne obrazy i rozpacz do koła,
Dla ciebie głośne śmiechy, przyjemna zabawa,
Dla ciebie wonna róża wonią się napawa,
Dla ciebie skoczny taniec, srebrny głos muzyki,
Dla ciebie wieńce kwiatów i biesiad okrzyki,
Dla ciebie są klejnoty, perły, krepy, gazy...
Lecz zostaw nieszczęśliwym nieszczęścia obrazy —
Tyś jeszcze tak niewinna, jeszcze tak szczęśliwa,
Że nie pojmujesz smutku, co duszę przeszywa,
Gdy się do cierpiącego obojętny zbliży,
Nie znając jego cierpień... znieważy, poniży,
Odnowi dawną ranę, tysiąc innych zada,
Choć nie chce tego czynić, nic mu nie powiada...
Ale przyszedł z uśmiechem spokojnym na twarzy,
A w piersi nieszczęśliwej jad piekła się waży!

Dziewczyna.

Ja... ja tu przyjść nie chciałam, lecz zmyliłam drogę
Nocy... grobów się boję — nie chcę i nie mogę
Dłużej zostać w tém miejscu, co mię tak przeraża...
Choć nie wiem, kogo moja przytomność obraża?...
To miejsce jest odludne, i o tej godzinie
Nie ma w niém nieszczęśliwych, żadna łza nie płynie.

Nie ma w niem nieszczęśliwych? więc na łzy się liczy
Srogie losu przygody i krople goryczy?
Oh! dziewczyno, jeszczebyś najszczęśliwszą była,
Gdybyś każdy dzień życia nową łzą zrosiła...
Lecz patrz... jak grom pioruna strzaskał dąb zuchwały,
Jeszcze się pień pozostał, gałązki zostały,
Trochę więcej zczernione, ale one żyją,
Kołyszą chłodnym wiatrem, chłodną rosę piją...
Tylko że już w pożywcze niezmieniona soki,
Ta rosa bujnych ramion nie wzniesie w obłoki,
Nie rozszerzy jak dawniej, bo ogień zniszczenia
Nawet drogi dar niebios w nową boleść zmienia.
Czém jest rosa dla dębu, tém łzy dla człowieka,
Płacze on, gdy jest smutny, jednak szczęścia czeka,
Boleść jego nie przykra... łagodna... powolna,
Bo nadzieja i prawdę zastąpić jest zdolna —
Ah! ja, gdy mego życia przebiegam koleje,
Tego tylko żałuję... że już łez nie leję!!...

Gabriella.

A R A B.

Klęka mój wielbłąd jak Iman ubogi
Co się w modlitwie obraca do wschodu,
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktylów w zapasie od głodu;
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam,
Śmierć niosę nędznym co się śmierci boją,
Wesołych cierpień widokiem przerażam,
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi bledną i śmiać się nie mogą.

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze
Z pod racic ogień wypryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze,
A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty,
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcej ubiegnę drogi od księżyca.

I.

Raz kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,
Gdym biegł na stepy wróg ludzkiej uciechy,
Z łez cudzych winne wybierać haracze
Patrzę: nad morzem uklecona z trzciny
Chata uboga, z ziemi bite strzechy,
Kwieciste morza okryły rośliny;
Światło błyszczało przez łatane szyby,
Po strzechach dym się błękitny rozciągał.
Ha! czy mieszkaniec tej nędznej siedziby
Będzie mi jeszcze weselem urągał?

Nizkiej zagrody przestąpiłem progi,
Nędza tam była, lecz mieszkaniec chaty
Człowiek na pozór cichy i ubogi,
Choć ciężką pracą utrzymywał życie,
Ten drżący starzec pochylony laty,
Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecię.

Był to ubogi nurek, a w tym piasku
Odgrzebał perły... O nędzo żebraka!
Perły — to perły! tak małe? bez blasku?..
Spojrzałem gorzko na szczęście rybaka:
I wiodłem starca po nad brzegi morza;
Patrz! rzekłem, oto z łupów karawany,
Perła ogromna błyszcząca jak zorza:
Oto ją rzucam w te wiry, w te piany!
Dostań ją z głębi, a który z mocarzy,
Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
I wnet się rzucił w wiru fale ciemne..
Zginęła perła, starania daremne!
Wypłynął — była na twarzy zgryzota.

Zatrułem szczęście i pokój człowieka,
Dałem truciznę, dałem mu nadzieję.
O! jakże gorzko nad brzegiem narzeka,
O jak obficie do morza łzy leje!
Widziałem potém jak poszedł do chaty,
Z rozpaczą upadł na liściane łoże,
I wołał z jękiem i z płaczem: O Boże;
Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty.

Śmiałem się gorzko, był to śmiech szatana,
Dalej wielbłądzie! dalej na pustynie!
Może gdzie radość błyśnie niespodziana,
Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie;
Może gdzie zemsta to serce obudzi,
Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą,
Nieraz się smucił przewidując burze,
Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze;
Koral jak majtek cieszył się pogodą;

Ale zerwany wichrami jesieni,
Skamieniał błądząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,
Płynęła z wolna wielka karawana;
Gdy przypłynęła nad pustyni studnię;
Powstała wrzawa ze śmiechem zmieszana;
Tłum cały bieży prędkiemi zawody,
Potém jak stadem spłoszone żurawie
Gwarzy wesoło i zaczerpie wody...
Ale śmierć była w tej wody przyprawie,
Była trucizna... Ha po co się śmieli?...
Już piją! piją! jedna twarz pobladła,
Tam upadł drugi — tam bracia skostnieli,
I drżąca czara z martwych rąk wypadła.
Rzekłbyś, że Diwy, że ciemni anieli
Na świat zarazy wyrzucili tchnienie.
Ani tak liczne na brzegu kamienie
Jak były trupy!... Z całej karawany
Pozostał starzec, młodsi go ubiegli;
Pięciu miał synów — wszyscy trupem legli...
Przybiegł nareszcie, gdzie rozbite dzbany,
Gdzie ciała synów leżały na brzegu
O rozpacz! martwe całe było plemię!
Chciwie jak sorbet ochłodzony w śniegu
Chwycił truciznę, z synami się złączy...
Przybiegłem — starca chwyciłem na strzemię
I szybko w biegu uniósł nas koń rączy,
Z pod kopyt iskry rozniecał w granicie.
Uniosłem starca i puściłem cało...
Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie.
Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało...

Dalej wielbłądzie! poco zwalniasz kroku,
Gdy mię rozkoszne zajmują wspomnienia?
Tu cicho, pusto — i tylko z obłoku,
Księżyc posępne czoło rozpromienia,
Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce jak muszla wyrzucona z fali,
Pełna ślimakiem życie zamknie w sobie;
Cicha — lecz kiedy słońce ją wypali,
Słuchaj! usłyszysz gwar w kamiennym grobie,
Rzekłbyś, że wspomnień napełniona tłumem,
Wszystkie zmięszanym rozpowiada szumem.

III.

Dawnemi laty... Jeszcze byłem młody,
Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
Bystrego konia puściłem w zawody;
Leciał i parskał, i białemi piany
Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła,
Struś nie mógł skrzydeł rozwinąć, ścigany,
A koń mój leciał jak gdyby miał skrzydła.

Wtém patrzę... między dzikie pustyń głazy,
Jakby czarowne raju malowidła,
Kwieciem błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą między źródła kryształowe,
Stała dziewica królowa oazy,
Omglona w lekkie szaty muślinowe,

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku,
W połowie widna, skryta przez połowę;
A promień szczęścia jaśniał w czarném oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
Uciekać trzeba od szczęścia widoku,
Oto koń nawet spina się i zżyma.

Dalej mój koniu!... Sroższe nad tygrysy
Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
Koń mię zrozumiał — zaniósł pod cyprysy.

Tam Solim w cieniu cyprysowym drzémie.
Dzięki ci koniu! Patrzę, jego rysy
Błyszczały szczęściem... Zginałeś Solimie!...

Dziewico! Wkrótce wróciłem w te strony,
Chciałem się łzami nacieszyć twojemi:
„Ha! gdzież twój Solim? gdzie twój ulubiony?
Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?“

— „Mój luby“ rzekła „na piaskach spoczywa,
A wiatr pustyni jego ciałem miota;
Lecz skoro pierwsza błyśnie gwiazda złota,
Dusza się jego od ciała odrywa...
Ty nie wiesz! nie wiesz jakem ja szczęśliwa!
Jego duch w niebios niesiony błękicie,
Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,
A dusza jego zgaduje przybycie“.

„Gdy nic milczenia nocy nie poruszy,
Gdy nawet serca, co wzruszone bije,
Zanadto głośném wydaje się bicie; —
On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje“.

„Nie są to zmysłów znikome utwory,
Ja go tu czuję — widzę — on ponury,
Lekki, jak z mglistej utworzony chmury,
Ubrany w tęczy złociste kolory.
Jego głos, długi i długie godziny,
Jak szmer fontanny duszę mi zachwyca;
A gdy ustami dotknie lekko lica,
Zda się że spadły kwieciste jaśminy“.

„Potém się zbliża i krwi krople pije,
Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie;
A kiedy od niej błyśnie i odżyje,
Gdy w niém już krążą mojej krwi strumienie,
Widzę z rozkoszą jak źródło wysycha.
On z piersi moich chwyta wątłe tchnienie,
I sam z rozkoszą tém tchnieniem oddycha;
I na chwilę moje zatrzymuje serce,
I jego serce zaczyna bić z cicha;
Z oczu mi bierze po światła iskierce,
I jego oko tym się ogniem pali;
Z lic mych pożycza jasnego szkarłatu,
I jego lice bierze blask korali,
Cały rozkwita podobny do kwiatu“.

„A gdy on smutny wini los i siebie,
Serca Solima zachwycona biciem,
Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie!
Że Solim jeszcze żyje mojém życiem.
Wśród nocy w całej piękności i sile,
Błyszczy jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwilę;
Lecz skoro pierwsze promienie poranka,
Oświecą, w niebo w mgły różane strojne,
Próżno go tuli do łona kochanka,
On drży i zwraca oczy niespokojne,

I coraz gaśnie i coraz blednieje,
I tak jak księżyc kiedy słońce zoczy,
Blednie i we mgłach topi się i mroczy,
Tak Solim w mgły się błękitne rozwieje.“

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?
Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci,
Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
Upiór mogiły stepów nie porzuci.
Teraz dziewica cienia nie zobaczy,
Napróżno czeka każdego wieczora;
I miała umrzeć w objęciach upiora —
Przezemnie — tylko umarła — z rozpaczy...

Dalej wielbłądzie! tak pusto dokoła,
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,
Tylko sęp krąży nad samotną skałą,
I głośno bije skrzydłami czarnemi.
Szczęśliwych niema odemnie na ziemi!

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa!
Źródło się kryje pod stopami drzewa,
Patrz jako liściem miłośnie powiewa;
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa.
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.
Lęka się oczu srebrnego księżyca,
Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
Wodom niebieskie odebrała szaty,
I dała swoją barwę — swoje lica,
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty...

Stój! stój wielbłądzie! tę palmę podpalę...
O, nie! zasypię źródlane kryształy!
I skona palma w piekielnym upale,
Wkrótce z jej czoła kwiat spadnie biały,
Zostanie sama wśród pustej krainy,
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
Niech cień uwiędłej wskazuje godziny,
Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój wielbłądzie, zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom — śmierć się zbliża
Czuję do biegu mniej polotną nogę,
I strzała z mojej cięciwy mniej chyża.
Widzę zdaleka śmierć posępną, ciemną,
Już się skrzydłami czarnemi nasuwa;
Zasnę... już widzę jak wkrótce nademną,
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa,
Gdy wicher w stepach posępnie zawyje,
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli że pan żyje,
Że się pod śpiące skrada karawany.
Wielbłądzie! pan twój w innym błądzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o raju.

Nie! nie chcę raju, lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mój wrogów okryją mogiły;

Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takiém szczęściu serce moje marzy!
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
Tej samotności przerwać się nie waży!

Juliusz Słowacki.

ŚLEPI GLADIATOROWIE.

Do Kolosseum dziś, zaledwie Feb wstał biały,
Kto jeno w Romie żyw, tłocząc się, pędem zmierza.
Roma wylega dziś wygrzać się w słońcu chwały.
Wilczyca siedmiu wzgórz dziś syte kły wyszczerza,
Dziś tylko poi węch, tylko pożera okiem...
Jak w jamie żywy łup, pod jej się szarpie bokiem.

„Niegdyś hekatomb wał z swych synów, za swe bogi
Roma musiała kłaść. O! przez Jowisza gromy!
Dziś się na chwały stos same mordują wrogi,
Przynosząc krwawy hołd z swych ciał w obliczu Romy.
Dziś każdy świata człek — to rzymski gladiator!“
Taki z areny głos wznosi do lóż orator.

I tak zamyka rzecz: „Jak pierwsze uczt wiwaty,
Wesoły ogień serc wzniecają przez Falerny,
Tak ku zabawie wam: dwa Sklawy, czy Sarmaty,
Na oślep mieczem tnąc, otworzą serc cysterny.
Brat brata nie ma znać (tak Fatum chce) przed ciosem,
Więc niech pozdrowią cię, o boski! śmierci głosem!“

Natychmiast z różnych bram Charonów tłumne maski
Prowadzą braci dwóch, co we krwi się zabroczą;

Miecz trzyma każda dłoń, na oczach zaś przepaski.
W żelazną obręcz wnet spiętej dzidy tłoczą.
Merkur dotyka ciał palącém się żelazem,
I „Walczcie!“ krzyczy w głos, „albo zginiecie razem“.

Syknąwszy, skoczą wraz, miotając po arenie
Próżny za ciosem cios, co grzmot oklasków dwoi...
Powoli obręcz z dzid wciąż zwęża swe pierścienie...
Już zgrzyta miecz o miecz, już częściej krwią się poi...
Aż trafił brata skroń najślepszy z ślepych ciosów.
Fontanną trysła krew, wśród pełnych śmiechu głosów.

Raniony wydał jęk i legł na piasek biały.
Na głos ten zadrżał brat, opuścił rękę z bronią,
Drugą przepaskę zdarł z ócz, w których łzy już stały,
Przypadł do brata zwłok: ranę zasklepił dłonią,
Wargi przywarł do warg i tchu swego zapałem
Ożywić ducha chciał, co już nie władał ciałem.

Ta czuła scena łez znudziła cyrk krwiożerczy;
Ziewnął i wrzasnął: „Krwi! — Miękki tchórz to niewoli,
Na widok bratnich ran już w górę miecz nie sterczy,
Schwycił mu rękę kurcz! Niech więc jak dłoń Scewoli,
Spali ją ognia żar!“ I cały tłumu nawał
Lasem wzniesionych rąk — znak potępienia dawał.

I zaraz chwycił tłum zwycięzcę w łzach rozpaczy.
Stanął i oparł się, w stopach poczuł moc dębu;
Potém ramiona wzniósł i z czarnych je siepaczy
Otrząsnął drgnienie warg, jak z dzikich gadzin kłębu.
Wnet chwycił krótki miecz z braterskiej krwi szkarłatów,
I rozdarł krzykiem cyrk i rzucił się na katów.

Jeden z gromadą dzid zwycięzko się mozoli...
A cyrk wciąż śmierci krzyk i ręce wznosi obie.

„Na rozkaz Romy domrzeć nie chce z dobrej woli;
Dla Romy życia dać nie ma za zaszczyt sobie?
To barbarzyniec Sklaw!“ Cyrk we czci nie oniemiał,
Bo nie uznawał już, czego w swej piersi nie miał.

„Kohorty!“ Petor wrzasł, i liktorskiemi godły
Ku bramie daje znak; niebawem wbiegły tłumnie
Na poskramiacza zgraj, i z tyłu go przebodły.
Huknął oklasków grzmot — Sklaw się uśmiechnął dumnie...
Wzniesion na ostrzu dzid, powieki w pół zasunął,
I w najpyszniejszą z lóż, krwawą z warg ślinę — splunął.

Był-to tryumfu znak i potępienia piętno!
Tak unicestwił Sklaw igrzysko krwi wszeteczne.
Potęga ludzkich sił budzi żywota tętno,
I nieśmiertelną jest przez odradzania wieczne,
A w co przechodzi moc, ziejąca śmierć w swych czynach —
O Kolosseum! mów, sterczące w rozwalinach!

Stefan z Opatówka.

H I O B.

(Wyjątki).

I.

Był mąż w Suzy krainie, Hiobem nazwany,
Dobry, szczery, niewinny i Bogu oddany,
Siedmiu synów wychował, trzy córy kwitnące,
Pięćset oślic, wielbłądów trzy liczył tysiące,
Siedem tysięcy owiec i czeladzi siła
Pięćset jarzm wołów jego na role wodziła.
Był to mąż najbogatszy pomiędzy wschodniemi,
A z siedmiu synów jego dniami kolejnemi,
Każdy uczty wyprawiał, a zawsze pospołu
Wszystkie z niemi trzy siostry siadały do stołu;

A gdy kolej obeszła, Hiob dzieci zwołał,
Za nie całopalenia Bogu ofiarował
Z bojaźni, by z nich który w zbytku nie zawinił,
Tak Hiob z dziećmi swemi, po wszystkie dni czynił.

II.

Dnia jednego się zeszli niebiescy synowie,
Przed tronem wiekuistym cześć składać Jehowie.
Wrychle do nich i szatan, śledca świata zdążył,
„Zkąd idziesz?“ Pan zapytał. „Ziemiem wszerz okrążył“.
„Nie widziałeś Hioba, rzekł Pan, mego sługi?
Zaiste jemu równy nie zrodził się drugi,
Szczery, prosty, pokorny, bliźnim dobroczynny,
Choć mnie często skłaniałeś, by cierpiał niewinny“.
Na to szatan: „Czyż on się darmo Ciebie lęka?
Czyż go nie błogosławi, nie broni Twa ręka?
Kwitnie mu dom i stada igrają po łanie;
Lecz weź mu, co ma; ujrzysz jak wiernym zostanie“.
I rzekł Pan: „Wszystko, co ma, daję pod twą wolę,
Na niego tylko ręki ściągnąć nie dozwolę“.

U najstarszego z synów gdy była biesiada —
Wbiegł poseł do Hioba i tak zapowiada:
„Gdyśmy oślice paśli i wołmi orali,
Wpadli Sabejczykowie i wszystko zabrali,
Czeladź mieczem wysiekli, ja życie uniosłem,
Abym ci to oznajmił i smutnym był posłem“.
Ledwo skończył, wbiegł drugi i tak zapowiada:
„Ogień spadł z nieba, zabił twą czeladź i stada“.
Gdy kończył, przybył trzeci: „Chaldejczycy wpadli,
W trzech hufcach i trupami twą czeladź pokładli,
I wielbłądy zabrali“. Wnet czwarty przypada:
„U brata najstarszego“, rzekł „była biesiada,
Syny twoje i córki siedziały przy winie,
Alić wicher gwałtowny wpada przez pustynie —

Trzęsie węgłami domu, walą się podwoje,
Gruzami zasypane, leżą dzieci twoje".

Tu Hiob szaty rozdarł, wstał i ostrzygł głowę,
I na kolana padłszy tak błagał Jehowę:
„Nago z matki wyszedłem, i nago powrócę,
Pan dał i Pan odebrał, przeto się nie smucę;
Niech czyni, jak się jego mądrości podoba".
Dotąd nic złego usta nie rzekły Hioba.

Gdy odszedł śledca świata, od stóp aż po głowę,
Zjadłym wrzodem zaraził ciało Hijobowe,
Że jedną było raną; on usiadł w popiele,
Wziął skorupę i rany odzierał na ciele.
Ongi rzekła mu żona, kiedy go ból trawił:
„Jeszczeż i teraz będziesz dobroć Boga sławił?
Sławże ją i umieraj!" „Nie waż się złorzeczyć,
Mamyż dobre przyjmować, a we złem się przeczyć?
O niebaczna niewiasto!" Tak Hiob powiadał,
I dotąd jeszcze ducha pokory nie stradał.

Trzej jego przyjaciele gdy o tem słyszeli,
Obaczyć nieszczęsnego i pocieszyć chcieli;
Ci się zwali: Elifas, stary Thenamita —
Zofar z Nematthu, i Bildat Suchita,
I razem się zebrawszy z ziem swoich przybiegli,
Lecz go poznać nie mogli, gdy z bliska dostrzegli;
Głośno płakać zacząwszy szaty swe targali —
I prochem ziemi głowy swoje posypali;
Przez siedm dni i nocy siedzieli w milczeniu,
Nie śmieli mówić, jego dziwiąc się cierpieniu.

III.

Przeklęty ów dzień, gdym na świat przychodził,
I noc co rzekła: Człowiek się narodził!

Niech ten dzień wieczne przyodzieją chmury,
Niech Bóg o niego nie zapyta z góry,
Niechaj go żaden promień nie doścignie,
Niech na swą czarność, jak na grób się wzdrygnie,
Niech ta noc przeklętą będzie,
Niech z dniem żadnym nie graniczy —
Niech się w liczbę lat nie liczy,
I wieczny cień ją osiędzie.
Od mistrzów Lewiatana ;
Niechaj wiecznie wyklinana,
Nadaremnie światła żąda,
Rannej jutrzni nie ogląda,
Że matki mojej otworzyła łono —
I mnie zakryła co mi naznaczono.

Czemuż jam w matki żywocie nie zasnął,
Albo ujrzawszy światło sam nie zgasnął!
Po co mię pierś karmiła, trzymały kolana,
Byłby mi pokój został, i noc nieprzespana;
Razem z królami spałbym do tej chwili,
Co groby swoje w chmury powznosili.
Razem z możnemi, co skarby władali,
Co i dom śmierci złotem zasypali,
I ja bym zniknął jak płód niedojrzały,
Dzieciom podobien co świata nie znały.

IV.

ELIFAS.

To co powiem, niech twojej rozpaczy nie mnoży,
Trudno ustom zamilczeć, to co myśl ułoży,
I twoje niegdyś usta nauczały,
I ty wspierałeś ręce, które mdlały —
I tyś pociechę opuszczonym wmawiał,
I padających na nogi postawiał;

A gdy na ciebie spadła teraz plaga,
Ty sam zwątpiłeś i trwoga cię wzmaga.
Aniż cię twoja pobożność zasłania
I w twej czystości nie masz spodziewania?
Gdzieżeś niewinnych widział bez obrony?
Gdzie sprawiedliwy bywał potępiony?
Jam się napatrzył, że kto złe zasiewa,
Sam zawsze musiał pożyć własne żniwa.
Za Boga piorunném tchnieniem,
Padł wiecznėm rażon zniszczeniem.

Głosem okropnym już lew nie ryczy,
Stępiała jego paszczęka,
I w sile wieku skonał bez zdobyczy;
Dzieci rozpierzchłe głód nęka.
Raz pomnę pogłos zaleciał mnie ducha,
Ciche wyrazy powziąłem do ucha,
W nocy, gdy ludzi porywa uśpienie,
Wtedy mi kości przejął strach i drżenie.
Duch się przesunął, włosy mi powstały —
I stanął... oczy moje nigdy go nie znały,
Było przedemną jak wietrzne widziadło —
Jak cichy powiew, tak do mnie zagadło:
„Czyż się stworzenie czystszém chce sądzić od Boga?
Czyż mu więcej niż twórcy sprawiedliwość droga?"
Oto i w tych, co jego spełniają rozkazy,
W aniołach sługach swoich On dostrzega skazy,
Bez tego ci, co chaty mieszkają gliniane,
Padaliby jak w pyle robactwo deptane;
Do wolności oddani od rana do nocy,
Ginęliby, wszelakiej zbawieni pomocy;
Pasmo życia wszystkiemu wnetby się przerwało,
Nie tak, jak pana mądre przejrzenie mieć chciało.

V.

Teraz śmiej twe skargi głosić,
By z czynów Bóg ci się sprawił,
Lub którego z świętych prosić —
By ciebie przed Nim zastawił!
Niebacznych dręczy tęsknota,
Złymi tylko rozpacz miota.
Widziałem ja grzesznika, co się w złém zanurzył,
Zaraz jam jego domowi złe wróżył:
Dla dzieci jego ochrony nie będzie,
Padną na nie jego wrogi,
Roztrącać będą o progi,
A na to zamilkną sędzie;
Głodny jego zagon zsiecze —
W koszach poroznosi plony,
Skarby wypije spragniony,
A jego żołdak powlecze.
Nic bez przyczyn nie pochodzi,
Ziemia boleści nie rodzi,
Przecież nie jeden stworzon do wzdychania,
Jak ptaszęta do latania.
Natury jedna otucha została
Zdać się w boleściach na Pana,
Którego moc niezbadana
Niezliczone cuda działa.
On nad przestronną ziemią deszcze niesie,
Zdroje prowadzi po samotnym lesie,
Dumnych poniża, gnębionych panoszy,
Chytrych od niecnej obrady rozproszy.
Zdrajców obłudnych w własne wici łowi,
Przewrotne sprawy krzyżuje mędrcowi,
Tak, że w dzień biały ku ciemności dąży,
Oślep w południe, jak w północy krąży;

Tak On ubogich z sideł złych wybawi,
Tak ich przed paszczą łakomych zastawi,
Przyjdzie ciśnionym z nadzieją
I złośliwi zaniemieją.
Szczęśliwy, komu Bóg nasyła kary,
I ty je przyjmij jako boskie dary;
On cię dotknie i uleczy,
On zagoi, gdy skaleczy,
Z sześciu pocisków cię zbawi,
I przed siódmym cię zastawi.
On cię w głodzie ubezpieczy,
Z pod wojennych wydrze mieczy.
Od ust potwarczych w nim zbawienie twoje,
Ani się lękaj, gdy wyjdziesz na boje;
Wesoły będziesz, gdy cię grad zuboży,
Dziki zwierz lasu ciebie nie zatrwoży,
Z polnym kamieniem uczynisz przymierze,
Że tobie kłosy urodzi;
Przy tobie się polne zwierze
Oswoi i ułagodzi.
Jeśli wrócisz w twoje progi,
Bezpieczność wszelka w nich będzie,
Obejdziesz stajnie i brogi,
Pomyślność obaczysz wszędzie.
Dziatwa się twoja rozplemi,
Jak kwiat, weselący pole,
Lat syty, zalegniesz w ziemi,
Jak snop dojrzały w stodole.
Tak my o Bogu sądzimy,
Byś ty sądził z serca chcemy.

XII.

HIOB.

Zaprawdę, wy za cały lud staniecie
Z wami już mądrość wynurzę na świecie,

Ale w rozumach ludzkich mały przedział,
I któżby tego, co i wy, nie wiedział?
Urągowiskiem przyjaciół zostałem,
Ja, który z Bogiem przymierze trzymałem!
Ta jest niewinnych nagroda,
Ta nieszczęśliwych ochłoda.

Szczęśliwy zawczasu w swej dumie,
Nieszczęście winą rozumie,
I tego, kogo Bóg dręczy,
Dodanym ciosem domęczy;
Tak jest, powtarzam, zuchwali
Szczęście tylko otrzymali!
Łotra w jaskini nikt nie napada,
Bezpiecznie łupy posiada;
Ten ma pokój przed swym progiem,
U którego pięść jest Bogiem.

To ci ptak z góry wymieni,
To ci zwierzęta powiedzą,
I krzewy ziemskiej przestrzeni,
I ryby, co w morzu siedzą.

I któż tego nie pojmuje,
Że to jest Boga zrządzenie,
Który w swych dłoniach piastuje
Życie istot, ludów tchnienie?

Starzy, mówią, rozum mieli,
Starzy mądrze powiedzieli:
On, mówili, wszystkiém włada,
U niego mądrość i rada.

Co on raz zburzy, nikt już nie postawi,
Kogo on spęta, tego nikt nie zbawi,

On wodę zamknie, wszystko omdleje,
Wody rozpuści i wszystko zaleje.

On jest kierownik, On cel naznaczony,
Za nim iść musi zwodźca i zwiedziony,
Z mieczów rozbroi rycerze,
Szlachetnych ze czci obierze;
Często z rozumu on bierze możnych,
Każe im błądzić po stepach bezdrożnych,
Że jak w nocy ociemnieją,
I jak pijani się chwieją;
On, co ukryte, na światło wyjawi,
I w miejscu światła ciemności postawi,
Wzniesie narody, i znowu je zrzuci,
Inne umorzy i znowu ocuci,
Z pasu obierze przemożne książęta,
Postronkiem lędźwie ich spęta,
Usta zarazi starych uczcicieli,
Że zmilkną, jakby mówić nie umieli;
Czci pozbawione więzi kapłany,
Ze szczytu obala pany.

XIX.

I pókiż czczemi wyrazy
Chcecież doraniać to serce,
Skaleczone tysiąc razy,
O wy bezwstydni bluźnierce!
Bo wreszcie, jeślim pobłądził,
Jużem sam siebie osądził.
Lecz wy nademną wielmożyć się chcecie?
A czylim winien — nie wiecie!
Ale widzicie, że Boga potęga
W sieć mię złowiła i biczami sięga.
O prawo wołam a prawo nie słucha,
Litości proszę, a litość jest głucha!

Drogę mi moją zagrodził,
Ścieżki cierniem poobwodził —
Zdjął ze mnie szaty godowe,
I z wieńca obnażył głowę,
On mnie zewsząd wykorzenił,
Że bez otuchy niszczeję,
Jak drzewa, które wyplenił!
Odebrał wszelką nadzieję,
Policzył mnie między wrogi,
Zbrojne na mnie wysłał siły,
Że zaległy wszystkie drogi
I mój namiot otoczyły.
Od domu mego odstraszył braci,
Chwastem do koła zarosły już ślady,
Któremi do mnie chodziły sąsiady,
A kto mnie zaznał, ten pamięć dziś traci;
A w domu jestem jako cudzy,
Nie znają mnie moi słudzy,
Ja, com wydawał rozkazy,
Do próśb układam wyrazy;
Duch mej choroby odstraszył mi żonę,
Gdym ja nadzieją daremnie błagał,
I wychowańce moje ośmielone
Szydziły ze mnie, gdy się jęk mój wzmagał.
Po znikłém ciele twarda kość oblega,
I warga z zębów odkrytych się zbiega.
Wy się przynajmniej żalcie mojej męki,
Gdy od pańskiej cierpię ręki,
Wy się do Boga jeszcze przykładacie,
Pastwiąc się na waszym bracie!
Oby te skargi zapisane były,
W księgę sądów wciągnięte,
Bogdajby rylcem na kamieniu rznięte,
Na wieczną pamięć służyły!

Żyje mój mściciel — i On mnie wybawi,
On w końcu ze mną do szranek się stawi,
Niech cierpi, niechaj niszczeje to ciało,
Lecz kiedyś, będzie na Boga patrzało,
W tryumfie się przypatrzę Wybawcy mojemu,
Czuję go w sercu mojém, bo tęsknię ku Niemu.
Wtenczas wy sprawę moją dokładnie poznacie,
Za cośmy go dręczyli? z wstydem zapytacie;
Wtenczas błyśnie miecz zemsty, trwoga was posiędzie,
Drżyjcie na to, co mówię, albowiem sąd będzie!

XLII.

To wszystko do Hioba gdy skończył Jehowa,
Potém do Thenamity te przemówił słowa:
„Na gniew mój zasłużyłeś i ty i ci oba,
Nie widzę w was szczerości mojego Hioba,
Tak siedem dano jagniąt, siedem wołów sfornie,
A gdy ogień ofiarny złożycie pokornie,
Niech za was Hiob błaga, a może ofiary
Przyjmę wasze dla niego, i przebaczę kary.
Bo nierozumem gniew mój ściągnęliście sobie,
W was nie ma tej szczerości, co w moim Hiobie!
Wszyscy trzej uczynili wedle woli Pana.
A tak prośba Hioba była wysłuchana,
Że Hiob za przyjaciół swoich się ukorzył,
Wrócił mu Pan dostatki i nowych przysporzył;
Nawiedzali go znowu krewni, przyjaciele,
Jedli z nim w jego domu, dziwili się wiele,
A litość wyrażając, potrząsali głowy
Na wszystko, co ucierpiał z zesłania Jehowy;
Każdy mu jednę owcę i pierścień zostawił,
Bóg starości Hioba więcej błogosławił,
Czternaście set miał owiec, za poślednich rządów,
Tysiąc oślic, dwa wołów, a sześć kroć wielbłądów,

Miał siedm synów, trzy córki, nazwane: Jenima,
Kiejsia i Kerenhapach z czarnemi oczyma,
W całym maju piękniejszych dziewic nie obaczył;
Im Hiob wraz z synami dziedzictwo naznaczył,
A jeszcze w sto czterdzieści lat swe życie złożył,
Gdy syt świata, czwartego pokolenia dożył.

Kazimierz Brodziński.

SŁOWIK W KLATCE.

W małej klateczce, ciemnej i ciasnej,
Śpiewak natchniony,
Marząc o chwilach przeszłości jasnej
Przędzę boleści snuł z piersi własnej.
Słowik więziony!

Śpiewał o gaju, uroczych cieniach,
Gdzie ujrzał życie —
O blasku gwiazdek, słońca promieniach
Zielonych łąkach, srebrnych strumieniach
Niebios błękicie!

Śpiewał o wdzięku róży płomiennej!
O swej miłości!
Jękiem tęsknoty rzewnej, bezdennej,
Co darmo puka w pancerz kamienny,
Ludzkiej litości!

Darmo mu w świeże gałązki stroją,
Więzienne ściany —
Nie tknięte z jadłem naczyńka stoją
Tęsknotą tylko karmi pierś swoją,
Ptaszek znękany!

I coraz rzewniej, coraz boleśniej,
Na los się targa!
Ludzie słuchają, lecz im się nie śni,
Jaka się kryje w tej pięknej pieśni,
Zabójcza skarga!

I chwalą piosnkę, słuchają dalej
Z spokojną twarzą —
Lecz że śmierć płynie w jej dźwięków fali,
Że jej żar — serce śpiewaka pali,
Nawet nie marzą!

Że nie wyżyje pierś oskrzydlona,
Życiem niewoli!
Tymczasem ptasze mdleje i kona...
Kończąc ostatnią swojego łona
Piosnkę niedoli!

Marya B.

XII.

JEREMIASZ.

Bo to mówi Pan: „Spustoszona będzie wszystka ziemia i wszakże końca jeszcze nie uczynię".
Jeremiasz IV. 27.

Przyszedł Chaldejczyk jak tygrys krwi chciwy,
I powlókł Judzki lud do Babilonu;
I Jeruzalem rozburzył i spalił.
Zamilknął prorok jak łuk bez cięciwy,
Usiadł, dumając na gruzach sionu,
I jęknął czasem, gdy ból go rozżalił.

I zdjął dłoń z oka i w niebo zapłakał:
„Ludu mój! ludu! gdzieżeś ty się podział,
„Jakaż cię przepaść przedemną schowała?"
A nad nim orzeł libański zakrakał,
Co krwią ociekłém piórem się przyodział,
I w dzióbie kawał niósł ludzkiego ciała.

I rzekł Jeremiasz: „Gdzie źródła Hesbonu,
„Wieczorna schadzka Izraela córek,
„Kędy pląsały one jak gazele?"
I u stóp jego żałobnego tronu
Wybiegło w słońca blask dwoje jaszczurek,
I wszczęło taniec w rozgrzanym popiele.

I zmartwiał prorok i dalej narzekał:
„O Panie! w czynach swych bądź pochwalonym,
Lecz gdzież Twój kościół, gdzie kapłanów hymny?“
A szakal w gruzach świątyni zaszczekał.
I na ołtarzu usiadłszy spalonym,
Zawył — z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

I rzekł Jeremiasz: „Gdzież są wojownicy,
Gdzieżeś ty królu, gdzie twoje hetmany.
Czy i w twej piersi tkwią wrogów oszczepy?“
A wtém niedoperz z przełomu cieśnicy
Wyleciał piszcząc, i tłukł się o ściany,
I rwał się w pętach, jak Judzki król — ślepy!

A prorok twarzą upadłszy na ziemię,
Ciałem złamany i duszą złamany —
Nie chciał już Boga o nic więcej pytać.
I w swojém sercu uczuł straszne brzemię —
I zdało mu się, że wszystkie szatany,
Zaczęły nad nim i śmiać się i zgrzytać.

I odstąpiła go wszelka pokora,
I krzyknął w grozie: „Tyś Ojcem, Jehowo!
„A własne syny wytępiłeś z szczętem!“
I spojrzał w górę — zeschła sykomora
Z podartą korą, z potarganą głową,
Nad nim zwęglonym wahała się prętem.

A latorośli mnóstwo z jej korzenia
Pięło się w słońce zielono i zdrowo,
I ziemię, którą zniszczyła pożoga —
Znów świeżych liści wieńcami ocienia,
I przyozdabia je nadzieją nową,
Ujrzał to prorok i pojął myśl Boga.

Kornel Ujejski.

LEGENDA.

Kiedyś — dawno już temu — żył sobie rybak na świecie
Stary i biedny, biedny!... Nic nie miał prócz wątłej siecie
I czółna... Mieszkał sam jeden w chatce lichej u morza...
Często cierpiałby głód, gdyby nie łaska Boża —
Codzień w sieci znalazło się rybek przynajmniej tyle,
Że miał co jeść, a w niedzielę mógł odpocząć na chwilę...
Niegdyś ojcem on był — lecz siódmy już prawie rok minął,
Jak mu jedyny syn gdzieś na morzu bez wieści zginął,
Raz więc staruszek ten cały tydzień nie był na brzegu,
Bo też od kiedy żył, nie pamiętał wiatru takiego —
Wył dzień i noc... A tu i ryby nie stało i chleba...
Nie jadł już drugi dzień... Nareszcie Pan Bóg spojrzał z nieba
Na morze... Ucichł wiatr i piękna wróciła pogoda...
Rybak na brzeg... do czółna... przepadło! uniosła... woda!...
Biedny jak ściana zbladł i w rozpaczy załamał ręce...
Teraz już pewny głód i śmierć po długiej, strasznej męce...
Więc jęknął: „Otóż Bóg wszystkiego mnie w życiu pozbawił,
Syna, chleba i sił... starość tylko i śmierć zostawił!“

Mówiąc to, wziął kamyczek — i sam nie wiedząc co robi,
Uderzył go i rozbił — aż patrzy: siedzi tam sobie
Muszka drobna jak mak... Wtém zjawia się mu anioł w bieli,
I słyszy cudny głos, jak śpiew najpiękniejszy w kościele:
„Jeżeli Bóg nie zapomni muszki drobnej w kamyczku,
„Gdzie jej nie dojdzie nic, nawet słońce w jasnym promyczku,
„To nie zapomni on i o tobie... Ufajże Jemu,
„Módl się i wierz!“ I zniknął... Polały się łzy biednemu,
Westchnął, pobożnie kląkł... gorąco pomodlił się Bogu...
Skończył... do domu czas... Zbliża się... patrzy... syn w progu.

Leonard Sowiński.

OD POETÓW ODPOWIEDŹ.

Ja lubię was poeci, chociaż wasze lutnie
Trącone łzami, brzęczą ponuro i smutnie.
O! wszakże dziecię kwili na ten świat przychodząc,
Bo chyba szatan tylko, rozśmiałby się rodząc!
Lecz człowiek, co wybujał myślą ponad zwierzę,
Co w zamian za lat kilka, nieśmiertelność bierze,
Pożegna świat z uśmiechem, dumnie, obojętnie,
Bo nad świat człowiek mądrość pokochał namiętnie,
Mądrość, owoc najsłodszy z owoców tej ziemi,
Która jak Bóg pomiędzy aniołami swemi,
Słońca swego promieniem pośród nocy cienia
Drogą szczęścia prowadzi ludzi do zbawienia!
O! niechaj mądrość ludzka zakwita w swej sile,
Niechaj rozbudzi kości zaspane w mogile,
Bo kto z słowa mądrości na ten świat poczęty,
Ten niechaj jak te słowa będzie wielki, święty!
Niech prawdą, jak piorunem z spleśniałego świata,
Z ufnością w Boga przodków śmiecie poobmiata!
A wtedy serce czyste z samolubstwa brudu,
Chociaż zziębnie dla siebie, zapłonie dla ludu.
I choć mu przyjdzie połknąć gorzki owoc w życiu,
Będzie błogi, spokojny jak dziecię w powiciu.
Bo tylko szczęściem drugich, szczęście nasze kwitnie.
Bo tylko śniąc zbawienie — zbudzim się zaszczytnie.

Gdy Odkupiciel przyszedł, powiedział do tłumu:
Uwierzcie w Boga, w mądrość, bom dla was rozumu
Nie uskąpił, by w szczęścia ustroić was kwiecie;
Pragnijcie dobra bliźnich, jak swego pragniecie,

I nadzieją swobody do grobu z powicia —
Karmijcie duszę zwiędłą cierpieniami życia.
Miłujcie, o! miłujcie płomiennie świat cały,
Niech odżyje miłością ten starzec zgrzybiały!

Lecz nie rzekł: wierzcie! bowiem szczęście w omamieniu
Ukryte, jak dyament w błyszczącym kamieniu.
O! nie — prawdę, jak świecznik postawił na przodzie
Przedewszystkiem, jak miłość ojczyzny w narodzie!
My tę prawdę, tę miłość pojęliśmy społem,
Ona, jak gwiazda swobód błyszczy ponad czołem.
I chociaż pieśń rozpaczna z zbolałego serca
Przejdzie czasem wśród ludzi, jak dziki morderca...
Choć łza pada z powieki, jako ukrop wrząca,
Targa się dusza w bolu wytchnienia pragnąca...
Ale z łez, jak z popiołów może iskra błysnąć,
Możem zabrzmieć weselem i świat ten uścisnąć —
Lecz dziś jak serce stroić na weselne tony,
Kiedy w koło bez końca pogrzebne brzmią dzwony.

Edmund Wasilewski.

ZIMOWA ZAMIEĆ.

Wichr straszliwy zaciąga,
Niesie śniegu tumany,
Ślad dróg wszystkich zawiany,
Śmierć się życiu urąga,
Bo dłoń zimy zakrzepła,
Mrozi jasny zdrój ciepła,
Wichr okrutny zaciąga.

Jego dzikie poświsty
Drżą jak groźba złowieszcza,
Która światu obwieszcza,
Dzień posępny i mglisty
Jak to niebo nad głową,
I te, w noc dziś grudniową
Dzikie wichru poświsty.

Pusto, głucho i ciemno,
Wyją wilków gromady —
Myśl ostatniej zagłady
Budzi trwogę tajemną,
Wśród jej błędnych omamień
Przyszłość milczy jak kamień,
Pusto, głucho i ciemno.

„Więc gdy konać już trzeba
Pod zaspami śnieżnemi,
Snać, że piekło na ziemi
Potężniejsze od nieba!
Snać wśród wrzawy rozbicia,
Śmierć silniejsza od życia,
Kiedy konać już trzeba“.

Precz! cmentarne te mary,
Precz! okrzyki bluźniercze,
I sny ducha mordercze
Stare, jako świat stary;
Znane drogi nam mleczne,
Znane prawa odwieczne,
Precz! cmentarne więc mary:

Śmierci nie ma na świecie,
Tylko życia przemiana —
Z nocy, jutrznia różana!

Czém'ż więc śnieżne zamiecie,
Gdy pod śniegu przykryciem
Wszystko nowym drga życiem?
Śmierci nie ma na świecie!

Światła tylko i ciepła,
Jasnych słońca promieni!
A wnet szmerem strumieni,
Drąc, pierś ziemi — rozkrzepła
Pod ożywczym tchem wiosny!...
W chór nam zabrzmi radosny!...
Światła tylko — i ciepła!

Mirosław Dobrzański.

JASKÓŁKA.

Po zimie, po smutnej, gdy wiosna nadchodzi,
Ja lecę, świegocąc jej gońcem,
W łagodnych powiewów woniącej powodzi,
Olśniona wschodzącém z mgły słońcem.

I wracam szczebiocąc pod słomianą strzechę,
Rzuconą w jesienne zawieje;
Stęsknionym, zwątlonym przynoszą pociechę
I błogą dni lepszych nadzieję.

Ja niebo, gdy zewsząd groźnie się zachmurzy
I dyszy ciężarna wciąż spieka,
Przelatam, zwiastując przyjście strasznej burzy,
Nim gromy nadciągną z daleka.

Nim wichry szalone zadmą w całej sile,
Wód łono muskając skrzydłami,
Szybkiemi nad głową migając kręgami,
Niebaczne ostrzegam oryle.

Na moich skrzydełkach piórka białe, czarne,
Zmięszane ze sobą spór wiodą.
Ja wróżę wam burze gromami ciężarne,
I ranki śmiejące pogodą.

Więc komu pierś gniecie ta cisza cieżąca,
Kto tęskni za gromem, za wiosną,
Witajcież serdecznie u siebie ich gońca,
Wróżbę wam przynoszę radosną.

Roman Zmorski.

DO UKOCHANEJ.

Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakiego,
Nagle miał przenieść się do snu wiecznego,
Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć do świata wiążące mnie nicie,
Zniknąć bez śladu, i przepaść bez wieści,
Jak łza w potoku, jak mgła na błękicie!
Lecz nim spór chwili wyrocznej przeminie,
Nim, zkądem wyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie,
I cicho konać na twym ręku, droga!

A gdy już zrzucę wszelkiej troski brzemię,
I ty me ciało będziesz kładła w ziemię,

Proszę cię, nie chcę dusznego sklepienia —
Klasztornych murów mieć nad mojém czołem!
Dość mi już było na świecie więzienia!
Śmierć niech łąk wolnych otoczy mnie kołem!
Gdzie na zieloném i otwartém polu,
Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem,
Złóż moją głowę senną, pełną bolu,
I marmurowym przykryj ją kamieniem —
A marmur ochłódź wonnych krzewów cieniem.
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominajki i nieśmiertelniki,
Italskie mirty, podalpejskie dalje,
I borów naszych pamiątkę — konwalje!
Wszystkie co kochasz i com ci przynosił;
Za życia kwiaty oddaj umarłemu!
Pomnij, żem o nie zasypiając prosił,
I rzuć je wieńcem na głowę śpiącemu!
Niech przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwiecia ciężarem,
W wieczność zapadam — aż w niej się przetworzę,
Na drobne listki, gałązki, kielichy,
I z głębi grobu wyrosną — kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą roztworzę!
Tak każdej wiosny, ócz wonnych tysiącem,
Będę wyzierał za śmierci okręgi,
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi...

Zygmunt Krasiński.

PRZĄDKA.

Przędę ja wiernie kądziel mą białą,
Przędę od świtu do nocy,
I cicha prządka, wzywam nieśmiało
Anioła stróża pomocy.

Nie zawsze jednak anioł mój z nieba
Świeci mi skrzydły jasnemi,
O! bo i z siebie moc dobyć trzeba,
By coś dokonać na ziemi.

A gdy odemnie stróż mój daleko,
Gdy z nieba pomoc nie spływa,
Wolno się w pracy godziny wleką,
Szara nić mego przędziwa.

Serce wątleje, ramię opada,
Głowa bezsilnie się kłoni,
Niemoc dokoła ogarnia blada,
Kądziel wypada mi z dłoni.

Pomnę — ja jednak, mawiała matka,
Wola wszystkiemu podoła,
Wytężaj siły twe do ostatka,
A Bóg ci ześle anioła.

To ja też przędę kądziel mą białą,
Przędę od świtu do nocy,
A gdy sił braknie, pieśnią nieśmiałą
Wzywam anioła pomocy.

I czasem anioł śnieżnemi pióry
Z cicha szeleśnie nademną,
Blade niemocy rozproszy chmury,
W serce tchnie siłę tajemną.

Wszystko mi wtedy w wianek się splata,
W duszy pogodniej, weselej,
I wszystkie cuda Bożego świata
Wsnuwam do mojej kądzieli.

I z cichej gwiazdy, co ludziom płonie
Nocą na modrém sklepieniu,
I z drobnych ziółek, co sieją wonie,
Uśpionej ziemi w milczeniu.

I z tej ulotnej pajęczej tkanki,
Którą wiatr nosi po świecie,
Co nią w jesieni mgliste poranki
I bluszcz i piołun oplecie.

I z tych okruszyn krwawego złota,
Wiary, nadziei, miłości,
Co panu z myrrą w bólu żywota
Świecą pokorni i prości.

I z tej ożywczej pociechy rosy,
Co zeschłe trawy zieleni,
Którą po kropli sączą niebiosy
Z łaski odwiecznych strumieni.

I z wszystkich cudów tej ziemi Bożej,
Wiernie ja snuję nić złotą,
Gdy białe skrzydła stróż anioł złoży
Nad cichą prządką sierotą.

Dobry aniele, pochodnią jasną
Wiernie ukazuj mi drogę,
Niech mi twych natchnień blaski nie gasną,
Rozpraszaj niemoc i trwogę.

O! nie usuwaj twych piór, aniele,
Bo gdy z nich siła nie spływa,
Pożytku z mojej pracy nie wiele,
Szara nić mego przędziwa.

Dość już na ziemi, dość przędzy szarej.
Dziś złotych włókien potrzeba,
By ludzi wiodła święta nić wiary
Anielskim torem do nieba.

Aby spadł obłęd, co im pokrywa
Zorzę niebieskiej otuchy,
Aby miłości jasne ogniwa
Spoiły serca i duchy.

I cóż pomoże słaba nić przędzy,
Z wrzeciona prządki ubogiej,
Gdy ziemia tonie w bólu i nędzy,
Drżąca od chłodu i trwogi?

Ja jednak skrzętnie przędę dzień cały
Kądziel od świtu do zmroku,
Ty przypłyń z góry aniele biały,
Wiernie u mego stań boku.

A gdy piór twoich jasna osłona
Mocy mi z niebios udzieli,
O! może prawdy nić nieskażona
Błyśnie i z mojej kądzieli.

Seweryna Pruszakowa.

CHRYSTUS Z NAMI.

Łódź gibka na modrém jeziorze usiadła.
I pruli spokojnie przeźrocze zwierciadła,
Płynęli powoli wietrzykiem owiani,
Aż fala zahuczy, wełnami bałwani;
To wody się nagle podniosą, to zwiną,
I z łodzią igrają, jak z wątłą łupiną.

Więc uczniе się zlękli, i w okropnej chwili,
Uśpionego Mistrza z przestrachem budzili,
Ach ratuj nas, Rabbi! wołali ze łzami,
A Chrystus: O słabi! wszak jestem ja z wami.
I kazał się burzy uciszyć — opadła,
I pruli spokojnie przeźrocza zwierciadła.

O duszo chrześciańska! gdy burza szalona
Roztoczy nad tobą huczące ramiona,
Ty rozpacz odepchnij świętemi piersiami,
I spojrzyj spokojnie, bo Chrystus jest z nami.

Antoni Czajkowski.

MIŁOŚĆ DOSKONAŁA.

Ty szczęścia jasnym promieniem,
Ty wiecznie odżywczém tchnieniem,
Wśród życia naszego skwarnych lat,
Jak serce w łonie, ma cię świat!

Prawdziwa miłość, niepodlega zmianie,
Żadnym się brakiem nigdy nie zniechęci;
W zaćmieniu szczęścia, wierną nam zostanie,
W zawadach życia, boleść nam uświęci.
Choć burze ryknął, burzom się ostoi;
Choć czas ubiegnie, bieg czasu przetrzyma.
Rozstania, pracy, losu się nie boi,
Twarz ukochana, zmarszczek dla niej nie ma —
Grób nawet nie ma poczucia utraty;
Bo dnia sądnego wyczeka do końca,
I za tym światem, nad wszystkiemi światy,
Spłynie promieniem do słońc Bożych słońca!

Gabriella.

UMARLI.

Toni w grzechach na ziemi tu żyli;
Po falach czasu przemknęli pocichu:
Wrzały ich głosy chwilę — i po chwili,
Głucho i pusto — ni śladu ni słychu;

Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Pokąd tu żyli z żądzami ziemskiemi
Świat, który Chrystus przeklął — niby w dani,
Wielkość, rozkosze, wskazował im ziemi;
Mamił, aż znikli śród czasów otchłani:
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni co zmarli w łasce Twej o Boże!

Krzyż po nad światem — Krzyż Pański z daleka,
Jako ciemnościom światło udzielone,
Stał za wskazówkę na drodze człowieka.
Ale nie wszyscy patrzeli w tę stronę:
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Byli mówiący: „Co znaczą w rozlewie
Wody te czasów? Co tam za żegluga!
My nic nie wiemy — i nikt o tém niewie!“
Biada, o! biada, gwar ich brzmiał niedługo
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni co zmarli w łasce Twej, o Boże!

Byli znów insi, świątobliwsi którym,
Cuda się śniły. O! błogo — jak dzieci
Tu na wygnaniu, witali już chórem
Słońce śródniebne — co wieczność prześwieci
Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twéj, o Boże!

Jak łódź na burzy, w bałwanów nacisku
Świat wszystek pędzi — co stanów! co młodzi!
O! łacniej zliczyć piaski w mórz łożysku,
Niż miliony w które śmierć wciąż godzi.

Gdzież się podzieli — kto powiedzieć może?
Szczęśni, co zmarli w łasce Twej o Boże!

I wiecznie, skądsiś z nieznanego brzega
Niby śpiew duchów w duszy się rozlega:
„Z głębi otchłani wołałem o Panie!
Panie! na jęki, na modły skłoń ucho!
Nie każ za winy, bo któż się ostanie?
Zgładź nieprawości świata naszą skruchą!“

Ciebie o Boże chwalimy! i Ciebie
Pełna jest ziemia i pełne niebiosy
Panie zastępów — święty, święty w niebie!“
I myż tam dążym — zkąd lecą te głosy?
Gdzież się podziejem — kto powiedzieć może!
Szczęśni, gdy umrzem w zasce Twej o Boże!

Bohdan Zaleski.

GLORIA IN EXCELSIS.

Śpiew poranny.

Śliczna jutrzenka na wschodzie świta,
Wnet słońce wzejdzie promieniejąc z góry,
I jasny dzionek ludziom zawita —
Zwiewając nocne z błękitów chmury;
Śród błogich życia nowego tchnień,
Zaświeci: Boży dzień.

Mój Boże! jakie nam to zsyłasz blaski!
Jakie dla ludzi ślesz kwiecia wonie!
Świat cały świeci cudem Twej łaski,
Świat cały Twoim oddechem wionie!
Gdy noc pokrzepia wczorajszy trud;
Do pracy wstaje lud.

I cała ziemia śle modły Tobie,
Jak wielki organ grzmi Ci na chwałę,
A kwiat co wykwitł na świeżym grobie
Ogłasza wonią: zmartwychpowstałe,
Co po przebyciu ziemiańskich burz,
W Bogu odżyli już!

Wrz'komo mijają kształty cielesne,
Lecz duchem Twoim żyje świat cały:
Giną pozornie chwilki doczesne,
By się w ocean wieczności zlały,
Ocean wieków i światów rój,
Kieruje zarząd Twój.

A święte duchy w Twojej miłości,
Tak spromienione jak w słońcu żary,
I rozświetlone w Twojej jasności —
Jako dziękczynne płoną ofiary,
Ich-to z niebiosów posyłasz woń,
Na modlącego skroń.

Na tej-to woni wzlata duch człeka,
Gdy korne czoło zgina do ziemi.
U niebios progów łaska go czeka,
Co mu się w życiu codziennie plemi,
A świętych duchów wciąż śpiewa wian,
Żyje Bóg, żyje Pan!

A jako kłosy burzą zgniecione,
Gdy nowe słonko nad niemi wstanie,
Wstają — i rosą świeżą skropione —
Jak fale znowu bujają w łanie,
Tak się i lud Twój grzechowém złem
Pobity, wzniesie za słońcem Twem.

Słońce Twej łaski rozświeć mu Panie,
W nocy pokutnej długo już boli —
O niech z upadku swego powstanie,
Wskrześ go, o wskrześ go z ciężkiej niedoli;
Pośród ożywczych Twej łaski tchnień,
Rozświeć mu Boży dzień.

Wszakże niech Twoja dzieje się wola,
Tyś Ojciec, Tobie służy karanie —
Widzisz: czy godna serc naszych rola,
Byśmy ujrzeli Twych łask zaranie;
Śród łez pokutnych dni
Śpiewamy: Chwała Ci!!!

Franciszek Zygliński.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

45.—
78258/14и60

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 31813

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

1000182626